

WŁADYSŁAW ZAMBRZYCKI

Pamiętnik Filipka



Władysław Zambrzycki

Pamiętnik Filipka

Wydanie elektroniczne

*Copyright by
Maria Pajzderska i Henryk Babiński*

*Okladkę projektowała i wykonała
Pani Emilia Kiereś
z wykorzystaniem ilustracji
Antoniego Uniechowskiego*

warszawskiego. Uważny czytelnik sam te miejsca odróżni.

Większość średników, od których aż pstro wyglądał rękopis, zastąpiliśmy kropkami.

Autor tych opowiadań pozostawił kilkaset bezładnie zapisanych i nienumerowanych kartek papieru, nic więc dziwnego, że ci, którzy mieli je w ręku, ocenili cały materiał jako rzecz wątpliwej wartości historycznej. Spójrzmy jednak na pamiętnik okiem zwykłego czytelnika, a znajdziemy niejedną godną uwagi drobiazg obyczajowy. W omawianych czasach Warszawa, będąc stolicą Prus Południowych, wchłaniała rzesze emigracji francuskiej z niekoronowanym Ludwikiem XVIII na czele.

Znajdziemy też w tej lawinie plotek i naiwnych obrazków coś nieuchwytnego, co chyba nazwiemy talentem. Nasz pamiętnikarz, choć z wysiłkiem kreślił litery, miał niewątpliwie żyłkę pisarską.

Wybraliśmy ustępy najważniejsze, powiązane jako tako w logiczną całość. Po gruntownej przeróbce, niektóre słowa i zwroty, a nawet dłuższe opowiadania pozostawiamy bez poprawek, aby zachować próbki ówczesnego języka

ROZDZIAŁ I

Czy Filipek jest próżniak? – Urok kolumny Zygmunta. – Trędowaty chłopiec ląduje na Powiślu. – O przekupkach z Krakowskiej Bramy. – Hrabia de Lille jako potomek św. Ludwika. – Różne odmiany Francuzów. – Trzej przyjaciele Filipka. – Coulon i jego bilard. – Doktor Dubois skupuje ptaszki na Zapiecku. – Melancholia księcia Józefa. – Papier jest coraz droższy. – Pan Zadora ma kłopoty z pompą. – Profesor Magier trafnie przepowiedział ulewę. – Zgiełk w domu Wasilewskiego. – Francuzi tłuką farfury.

Ludzie mówią, że jestem próżniak. I nazywają mnie próżniakiem spod kolumny Zygmunta. Albo prościej – zygmuntofskim próżniakiem.

Niech sobie mówią. Gdyby wiedzieli, ilem już świec łojowych spalił, ilem się kopciu natykał, ilem zapisał papieru, inaczej by mówili.

Kiedy się w nocy zasiedzę, kiedy od swędu zmąci mi się głowa, śpię długo, nieraz do siódmej rano. Budzą mnie zwykle goście, którzy do Coulona przychodzą na bilard i wino.

Bo mieszkam u Coulona, w jego oberży na Gołębiej za Nowomiejską Bramą. Mam małą komórkę, bardzo ciepłą, przytyka do kuchni. Ale w mojej komórce nie ma okna, ciemna jest. I kiedy chcę czytać albo pisać, muszę zapalać świeczkę.

Nazywają mnie zygmuntofskim próżniakiem, bo zwykle stoję albo siedzę pod kolumną Zygmunta i patrzę na Warszawę.

Dobre wybrałem sobie miejsce, chyba najlepsze – wszystko i wszystkich widzę, a i mnie widzą wszyscy. Każdy, kto idzie z Rynku na Krakowskie Przedmieście, musi przejść koło mojej kolumny.

Oglądam piękne damy i pięknych kawalerów z pałacu Pod Blachą, oglądam oficerów pruskich, oglądam Francuzów wielce markotnych, odkąd generał Bonaparte ogłosił się konsulem, oglądam

uczniów Liceum, których pan Linde prowadzi parami na Fawory¹

Dużo widzę, dużo słyszę, bo niejedem wita się ze mną, wypytuje o nowiny i dzieli się własnymi.

Ba, słyszę także trzask bicia i trąbkę dyliżansu, który się zatrzymuje przed pocztamtam na rogu Koziej i Trębackiej. Biegnę tam zaraz i pomagam wynosić kufry. A potem opowiadam przyjeźdnym, co się w Warszawie dzieje, bo wszystko wiem, za to mi płacą.

Z pocztylionami żyję w zgodzie. Czasem ich potraktuję ponczem u Coulona, czasem dam im pożyczkę, której nigdy nie zwrócą. Za to moje taczki mogą stać na dziedzińcu pocztamtu i tylko ja odwożę kufry podróży.

– Filipek, weź! Filipek, zrób! Filipek, zaprowadź pana! – wołają pocztylioni.

Prowadzę więc, popycham taczki, i to jest mój główny zarobek.

Rzetelność nakazuje przyznać, że choć niby to jestem próżniak, żadnej się pracy nie wstydzę. Na życzenie mogę narąbać drewna, naszatkować kapusty, skoczyć z listem. Kupczyłem dawniej kawę ziarnistą, gdy była zakazana. Raz w Tarczynie

¹

Na najpiękniejszą ulicę willową poza miastem, zburzoną po upadku powstania listopadowego podczas budowy Cytadeli.

*przytąpali mnie policaje i zbili. Odtąd przestałem.
Lepiej stać pod kolumną.*

*Czasem tak stoję, stoję, aż tu przybiega
dziewczyna nieśmiała, trochę zawstydzona.*

– Panie Filipku... – mówi.

*– Aha, to panienka dostała pewnie list i trzeba
będzie odpisać.*

– Ale tak słodko, żeby płakał.

Stajemy więc w cieniu Krakowskiej Bramy¹

*, ona tylko wzdycha, a ja piszę, co mi do głowy
przyjdzie, najczęściej to samo w kółko, bo już się
ponauczałem pisanie takich listów.*

*Zdarza się nieraz w naszej Warszawie, że
chmury nisko pełzają nad dachami domów albo
deszcz leje, albo wicher hula i ziębi. Trudno wtedy
wystać pod kolumną. Przenoszę się więc do
Krakowskiej Bramy i słucham zgiełku, który czynią
przekupki swarliwe. Zawsze z takiego gadania
można się dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy.*

*Na ten przykład wczoraj rozeszła się wiadomość,
że na Powiślu wylądowała rodzina francuska:
ojciec z matką, syn i dwie córki. Przyptynęli Wisłą*

*na krypie z Krakowa. Są to chłopci z Pułtuskiej
krainy¹*

*, bardzo żyznej. Ich syn jednak jest chory na
trąd, z którego we Francji żaden medyk nie mógł
go wyleczyć.*

*Rodzice sprzedali więc gospodarstwo, przeszli
przez góry szwajcarskie, przez różne ziemie
cesarstwa austriackiego i przyptynęli do
Warszawy, bo tylko tu, powiadają, znajdzie się
ocalenie.*

*Żeby nikomu nie wydawało się to dziwne, trzeba
wiedzieć, że na Krakowskim Przedmieściu mieszka
hrabia de Lille, a z nim kupa Francuzów.*

*Ten hrabia de Lille nie jest zwyczajny hrabia,
jeno król, Ludwik XVIII, który się w Warszawie
schował przed złością jakobinów.*

*Opowiadali dziś rano Francuzi, co u Coulona
wino piją, że hrabia de Lille jest potomkiem
świętego Ludwika, przez co ma moc leczenia trądu.*

*Kiedym się dziwował i nie mógł zrozumieć, jak
to się dzieje, zgodnie mi tłumaczyli, że hrabia
kładzie ręce choremu na głowie, odmawia
modlitwę i wrzody zaraz zaczynają się goić. Tamci
chłopci po to przyjechali.*

¹ Krakowskie Przedmieście przy dzisiejszym placu Zamkowym przegradzała Krakowska Brama, w której mieściły się sklepy, a w przejściu i pod ścianami stały stragany przekupek.

¹ Zapewne z Poitou. Nasz pamiętnikarz miał ortografię dosyć urozmaiconą.

Aż dziw ogarnia, ilu już teraz Francuzów w naszym mieście. Chyba ich będzie więcej niż Prusaków. Od czasu, kiedy zjechał hrabia de Lille, rozpleniło się francuskie plemię. Wszędzie ich pełno: w zajazdach, domach mieszczańskich, dworach za murami Warszawy. A najwięcej w gospodach, gdzie piją, grają w karty i nieraz ludzi tumanią.

W domu pana Wasilewskiego

mieszka ich chyba z setka razem z hrabią de Lille. Jedni są ministrami, drudzy ekscelencjami, inni znów mają różne tytuły wojskowe, a wszyscy noszą dużo orderów. Tylko prawdziwego wojska nie mają. Niektórzy chodzą po oficersku, w butach z palonej skóry i pobrząkują ostrogami. Dawniej stali garnizonem na Wołyniu, ale się rozpierzchli, bo ich wódz¹

poszedł na służbę do wojska moskiewskiego.

Na Podwalu jest gospoda pana Condé. Mówią, że to krewniak tamtego wojaka.

Nieraz, kiedy sobie stanę w Krakowskiej Bramie i patrzę wprost przed siebie, na balkonie drugiego piętra domu Wasilewskiego ukazuje się tłuściutki

¹ Kamienica Józefa Wasilewskiego stała pośrodku Krakowskiego Przedmieścia, gdzie dziś jest skwer z zabytkową figurą Matki Boskiej Pasawskiej.

² Louis Joseph książę de Condé (1736–1818), wódz emigracyjnych wojsk francuskich, walczył po stronie Rosji przeciwko Republice. Po restauracji Burbonów wrócił do Francji.

pan w ciemnym fraku, białej kamizelce, popielatych spodniach i butach z czarnego aksamitu.

Przyglądam mu się uważnie, bo to hrabia de Lille. Czasami przyglądam się jeszcze baczniej, a wzrok mam bystry. I widzę, jak tłuściutki pan przestępuje z nogi na nogę. Postoi chwilę na lewej, potem na prawej, potem stanie na obu nogach i znów podnosi prawą albo lewą.

– Oho – wołam – oho!

A przekupki pytają:

– Cóż tam dojrzał, mój Filipku? Starszy pan drypta?

– Drypta – powiadam – drypta, będzie deszcz.

I zawsze tak jest, kiedy hrabia de Lille niespokojnie stąpa z nogi na nogę. Bo go pedogra kąsa.

Mam druha miłego, który wieczorem jest zwykle w Teatrze Narodowym i panu Bogusławskiemu pomaga.

Nazywał się dawniej Nowicki, a teraz Cnota-Nowicki – od tego wieczoru, kiedy wystąpił na scenie jako stary hajduk, co nakręca zegar z kurantem w komedii pana Dmuszewskiego „Cnota zawsze będzie wynadgrodzona”. Choć miał przyklejone wąsy i brodę, ludzie go poznali i już inaczej nie mówią, jeno Cnota-Nowicki.

*Opowiem teraz sekret, o którym i tak na mieście
wiedzą, że Cnota mańkut jest, czyli lewą ręką
wszystko czyniący. Przez co żadnej pocziwej
pracy imać się nie może, tylko na placu
Krasińskich przed teatrem stoi albo w teatrze
komediantom pomaga. A jak nie w teatrze coś robi,
to siaduje zaraz niedaleko, w drukarni ojców
pijarów na rogu Długiej i Miodowej. Tam czeka,
póki mu nie wydrukują anonsów teatralnych, które
potem po zajazdach roznosi i na ścianach rozkleja.*

*Nie ma dnia, żeby Cnota pod kolumnę nie
zaszedł i ze mną nie pogadał. Przez niego wiem
wszystko, co się w teatrze dzieje, a i na spektakl
czasem pójde, nie płacąc.*

*Drugi mój kompanion jest Marcinek, swój
chłopak; u księży bartoszków¹*

*na jednej siedzieliśmy ławie, tylko że on był
uczniem, a ja byłem za kalefaktora²*

I jemu i mnie alwara³

*nie szła do głowy. Obaj nie mogliśmy jej
ścierpieć. Raz Marcinek, w szaleństwo wpadłszy,*

¹ Bartoszkami nazywano członków kongregacji bartolomitów. Kongregacja ta, za czasów pruskich będąca już w upadku, prowadziła szkoły w kilku miastach Mazowsza.

² Pacholka szkolnego słuchającego lekcji na równi z uczniami.

³ Gramatyka łacińska napisana w 1572 roku wierszem przez jezuitę portugalskiego Emanuela Alvareza. Postępowi pijarzy wprowadzili do swych szkół podręczniki bardziej nowoczesne.

*potargał na strzepy alwarę, z bursy czmychnął i
poszedł do pocztamtu na urzędnika. Tam siedzi
teraz przy stole, waży listy, oblicza, pisze na nich
co należy, stempluje i kłóci się o porto z gośćmi.
Choć ma pod ręką szkatułkę pełną szóstaków, bez
grosza zwykle chodzi, bo Prusacy skąpi są i źle
urzędnikom płacą.*

*Marcinek, odkąd z konwiktu uciekł, zrobił się
jakobin i już tylko w Matkę Boską wierzy tudzież w
świętego Antoniego. O innych rzeczach, choćby o
stworzeniu świata w siedem dni, nawet słyszeć nie
chce.*

*Żeby nie Marcinek, tobym dziś nie stał pod
kolumną i nigdy bym tak dobrze nie zarabiał. To on
mi doradził, żebym się o taczki wystarał.
Wprowadził mnie na dziedziniec pocztamtu, gdzie
poznał pocztylionów i gdzie się pouczał, kiedy i
którym dyliżansem dystyngwowani goście
przyjeżdżają.*

*Za co lubię mojego Marcinka, często go
odwiedzam w izbie pocztowej i skoro widzę, że jest
głodny, wiodę pod Gwiazdę, gdzie podają najteższe
piwo.*

*Cnota i Marcinek są moje dwa kompaniony, a
trzeci jest Kerner, na którego też Kroat wołają, bo
z kroackiej wywodzi się ziemi; ten po łacinie nigdy
nie czytał, ale za to zna się na koniach, w pałacu
Pod Blachą stajni dogląda, księciu Józefowi za
masztalerza służąc.*

*Kerner wesół jest, człowiek już starszy,
szpakowaty; lubi gadać przy piwie i często nam
opowiada końskie i ludzkie sekreta.*

*Spotykamy się zwykle we czterech: Cnota,
Marcinek, Kerner i ja w bawarii Pod Gwiazdą*

*, skąd można prysnąć, gdzie kto chce – na
Krakowskie Przedmieście, Senatorską, Miodową
albo w Kozią ulicę. Trzeba tylko znać przechodnie
domy i różne zakamarki.*

*Bo często się tak zdarza, i jużem tego
doświadczał, że po bawariach i karczmach jęgrzy
chodzą, rekruta wyłapując. Alić chyba tylko ostatni
murłęga da się złapać, bo zawsze ktoś ostrzeże.*

*U mojego Coulona za Nowomiejską Bramą
mieszkam już dwa lata. Nauczyłem się od
Francuzów ich mowy i dobrze ten naród poznałem.*

*Póki Coulon miał tylko karczmę, wiodło mu się
nie najgorzej. Przed pół rokiem odwiedził go jakiś
obieżyświat i namówił, żeby wziął bilard na borg,
na miesięczne spłaty.*

*Głupi Coulon przystał na to i teraz ma wieczne
utrapienie. Bo choć bilard jest piękny, nowiutki, z
wiedeńskiej fabryki dostarczony, choć chętnych do*

¹ Piwiarnia Pod Gwiazdą była ulubionym miejscem zebrań czeladzi
rzemieślniczej. Mieściła się w murowanym domu, który zamykał wylot
ulicy Miodowej, stojąc frontem do Krakowskiego Przedmieścia.

*gry też nie brakuje, jednak goście Coulona lubią
grać na kredyt i każdy obiecuje, że później zapłaci.*

*Rozumie się, że płaci rzadko który, bo między
Francuzami, choć nadrabiają miną, coraz większa
bieda jest. Chwalą się wszyscy bogactwem, co na
nich we Francji czeka, ale na bilard ich nie stać.
Jeszcze nieraz ode mnie po kilka dydków na kubek
wina pożyczają.*

*A nieszczęśliwy Coulon musi co miesiąc rewers
wykupić w banku u pana Riokura na
Świętojańskiej, bo inaczej na Grzybów¹*

*by poszedł. Toteż nieraz żona robi mu takie
piekło, najczęściej wieczorem, po wyjściu gości, że
z komórki wybiegam i godzę powaśnionych.*

*W mojej Warszawie są królewscy Francuzi, są
republikańscy, są i polscy, co tu już dawno
przywędrowali z ojcami. Nie brak też ciarlatanów,
co się raz za królewskich podają, to znów za
jakobinów, a każdy tylko czeka, żeby go kto do
gospody zaprosił. Wiem o tym najlepiej, bo
mieszkam u Coulona, gdzie nigdy nie brak pijaków.*

*Czego już oczy moje nie widziały i uszy nie
słyszały! Ale dziś nie bardzo chce mi się o tym
pisać. Wolę o ptaszkach.*

¹ Na Grzybowie znajdowało się więzienie za długi.

Kiedy wychodzę z domu rano i idę pod kolumnę, skręcam zwykle z Rynku w Zapiecek i oglądam ptaszki powystawiane na sprzedaż. Oglądam poważne gile, mądre szpaki i kosy, uczone sroki, dzwońce, czyżyki. Dla dziatwy są zawsze szczygły osobliwe, co ciągną wózek z siemieniem konopnym i piją wodę z zawieszonego naparstka.

Wielki tam jest harmider, bo i ptaki świergocą i ptasznicy nawołują przechodniów, usiłując nawzajem się przekrzyczeć.

Na Zapiecek przychodzi też sławny w Warszawie doktor Dubois, którego Dzibułą zowią. Ten bez żadnego targu kupuje czyżyka albo szczygielka, na Rynek go niesie i przed magistratem wypuszcza.

Ptasznicy tak już zmądrzeli, że się bez kłótni umawiają, czyja dziś będzie kolej. I jak Dzibuła przychodzi, wszyscy go witają, a tylko jeden prezentuje mu ptaki. Od tego mniej jest hałasu.

Dziwią się ludzie doktorowi, różnie o tym gadają i nic nie mogą zgadnąć. Ja też nie wiem, dlaczego doktor kupuje ptactwo i wypuszcza. Zdaje się, że w tym jest jakaś pokuta.

Mówiła mi jedna przekupka, że dawniej na Zapiecku straszyło i był taki dom, w którym nikt się nie ważył mieszkać. Nawet za dnia coś tam stukało, polana drew same w powietrzu latały, to znów ceber się z wodą przewracał.

Aż przyszła morowa zaraza, od której nie tylko siła narodu, ale i upiory powymierały. Odtąd na Zapiecku przestało straszyć.

Szlachcic jeden, któremu wczoraj odwiozłem kuferek do zajazdu Rydzyna

, a potem go oprowadzałem po kafehauzach, gdzie czeskie panny na harfach grają i śpiewają, taki był kontent, że mi dał sporo grosza na piwo.

Jak na piwo, to na piwo. Zwołałem moich kompanionów, z którymi się lubimy, i takeśmy poszli do bawarii Pod Gwiazdą. Dużośmy pili i było wesoło.

Kerner mówił o pałacu Pod Blachą i najwięcej o pani Vauban, pospolicie Wobanką zwanej. Ta się za słabowitą podaje, chociaż jest zdrowe babsko. Książe Józef dla niej z kretesem stracił głowę i zawsze jej z miasta przynosi albo julep różanny przeciw drżeniu serca, albo fiałkowy konfekt dla uśmierzania chropowatości gardła, albo amarenatę parmeńską dla pobudzenia chuci ku jadłu, albo migdałowy chleb świętego Marcina dla wspomnienia piersi, albo pignokatę z jąderek limbowych dla odpędzenia spazmów.

Wobanka nie lubi o tym gadać, ale w pałacu dobrze wiedzą, że kiedy była aktorką w Paryżu,

¹ Do późniejszego Hotelu Rzymskiego na Trębackiej.

siadywała na tronie w katedrze Notre Dame jako Boginia Rozumu. Później pogniewał się na nią Robespierre, nie wiadomo za co, i musiała wyjechać do Wiednia, gdzie się zaprzyjaźniła z siostrą księcia Józefa, panią Teresą Tyszkiewiczową.

Na posesji pana Karolego, możesz wejść frontem od Podwala, jest mały ogród, a w nim stoi dworek drewniany. W tym dworku mieści się gospoda pana Szyllera, który jest zdzierus wielki i za jedora nadziewanego truflami z Piergóry¹

bierze sześć złotych polskich. Kiedy mu kto chce płacić pruską monetą, obraża się i mówi, że to nie pieniądz.

Pan Szyller, kiedy gości ma dużo, posyła po mnie chłopaka. Przychodzę zaraz, pucuję ręce, wdziwam liberią i usługuję do stołu. Kilka już razy tak byłem wzywany i nie mogę narzekać. Polscy panowie dobrze dają zarobić, pruscy mizernie. Francuzi tam nie chodzą, mają swoje gospody.

Wczoraj znów mnie przywołał pan Szyller. Miał gości spod Blachy, samych kawalerów, niewiasty ani jednej. Nie było też księcia Józefa.

To, com pamiętał, zapisuję. Byli panowie: Białopiotrowicz, Hebdeński, Pruszek. Był pan Rautensztrauch, który niedawno zapuścił baczki, byli panowie Merlini i Pokutyński. Był też pan Bolesza, którego nos od trunków coraz piękniej kwitnie. Był pan Hulewicz, co wierszem dyszkuruje, byli panowie Kicki, Cichocki i niemożliwy gaduła, pan Dzbański.

Podczas zabawy mówili tylko po francusku i nie zważali na mnie. A jam wszystko słyszał i wszystko rozumiał. Żartowali z księcia Józefa, że znów, w melankolią wpadłszy, wyjechał z Warszawy i zamknął się w Chyliczkach. Tam nikogo nie chce przyjmować, jeno co wieczór zaprasza księdza Woronicza, który jest proboszczem w Powsinie.

Mówili też, że Wobanka chciała za księciem jechać do Chyliczek, ale jej koni nie dano. Z gniewu zachorowała na spazmy i leży w łóżku, larendogrę wachając.

Odwiedzili wczoraj Coulona już po zamknięciu bramy jacyś dwaj Francuzi; byli ubrani z jakobińska, w płaskich kapeluszach. Siedzieli z nim długo w kuchni przy piecu i pili gorący arak z cukrem i cytryną.

Z początku mówili cicho, potem coraz głośniejsze. Choć drzwi mojej komórki były zamknięte, coś

¹ Chyba truflami z Perigord? Przygotujmy się na dalsze swawole językowe naszego pamiętnikarza.

niecoś słyszałem. Tylem zrozumiał, że się spierali o bilard.

– Nigdy rewersów nie wykupisz – mówił jeden z gości – nigdy nie wybrniesz z długów.

– Cóż mi więc pozostaje? – spytał Coulon.

Przez chwilę milczeli, a potem drugi gość tak się odezwał:

– Gdybyś przyłączył się do nas, nie miałbyś już żadnych kłopotów.

W tym miejscu rozmowa się urwała. Usłyszałem kroki, Coulon pchnął drzwi mojej komórki i stanął na progu.

– Et bien, to ty nie śpisz?

Odpowiedziałem, że czytam. Coulon nic więcej nie rzekł, zamknął drzwi. Brzęknęły kubki, zadźwięczał miedziany kociótek. Przenieśli się do izby od ulicy i jużem nie słyszał ani słowa.

Lubię wracać do domu ulicą Świętojańską, która pachnie garbowanymi skórami, pachnie korą dębową, pachnie winem.

Znam wszystkich kupców z tej ulicy, winiarzy i szewców. Znam pana Tomasza Hengla i jego piwnice w domu Pod Okrętem. Nieraz tam chodziłem pomagać przy ściąganiu węgrzyna z beczek do gąsiorków. I naoddychałem się powietrzem, które jest tak gęste, że kiedy postawić

świecę na klepisku, to płomyk zaczyna mrugać, mrugać i gaśnie.

Myślałem, że to czary, ale mi pan profesor Antoni Magier wszystko fizycznie wytłumaczył, za co mu jestem wdzięczny. Szkoda tylko, że nic nie rozumiał.

Lubię też stać naprzeciw fary i patrzeć na gołębie, jak skaczą po zapadłym, mchem porośniętym dachu, jak się czulą i zalecają w załamaniach ścian, jak nadymają wola przy gruchaniu. Nikt ich nie rusza. Jeszcze im ludzie przynoszą groch i resztki chleba ze stołu.

Cnota nakleił na Krakowskiej Bramie anons teatralny, nakleił lewą ręką.

– No co – rzekł do mnie – będziemy czekali na Kenera?

– Ano, zaczekamy.

Postawił wiaderko z klajstrem i siadł na schodku kamiennym pod kolumną. Zaczęliśmy gwarzyć. Spytałem go o mańkuctwo, skąd się takie nieszczęście przytrafia. Spytałem też, którą się ręką żegna przy pacierzu.

Odpartł, że już się taki w lewo sparaliżowany urodził, a co do modlitwy, to teraz żegna się prawą ręką. Dawniej trudność mu to sprawiało i często się mylił. Poszedł więc do proboszcza i prosił o dispensę. Za co proboszcz go skrzyczał.

Cnota nie jest uczony, alwary nie zna. Nauczył się tylko czytać od pijarskich zecerów przy składaniu liter anonsów teatralnych. Potrafi też pisać lewą ręką, ale pożał się Boże! Łyżkę trzyma w lewej ręce i lewą ręką chleb kraje. Taki jest los mańkuta.

Przyszła Kerner, wstąpiliśmy na pocztę po Marcinka i hejże pod Gwiazdę. Gadało się o różnych rzeczach, a Kerner nam opowiedział, że już drugi tydzień mija, odkąd ksiązę Józef zamknął się w swoim eremitażu w Chyliczkach i nawet na listy nie odpisuje.

Na to rzekł Cnota, że wedle tego, co mu matka mówiła, od melankolii najlepiej chroni chleb świętej Agaty; dostać go można u panien bernardynek. Należałoby więc posłać księciu choć z pół bochenka.

Kerner słuchał z uwagą, a Marcinek zaczął się naśmiewać z panien bernardynek, które ten chleb wypiekają, i z samego chleba świętej Agaty też się wyśmiewał. Bo Marcinek jakobin jest.

Zawołał mnie pan Sołtyk do pomocy, bo rady sobie dać nie mogli z kamiennym bałwanem, który pono aż z Łysej Góry przyjechał.

Do czego im to potrzebne, nie wiem. Figura szpetna jest, w kształcie koślawej baby na kolanach

klęczącej. Poprzybiegali ją oglądać najmądrzejsi panowie, dziwili się i wielce byli kontenci.

Przybył malutki człowieczek, ksiądz Albertrandi, którego już dwakroć na plecach nosił przez błoto, kiedy szedł kazać do kościoła klarysek bosych. Był pan Mostowski w jasnym fraku farbą poplamionym, bo z własnej woli stał się drukarzem i ciągle książki drukuje. Byli i inni, których znam tylko z widzenia, a na ostatku przybiegł pan Osiński i z uciechy ręce wszystkim ścisnął.

Ustawiliśmy babę na dziedzińcu kamienicy misjonarskiej wedle kościoła Świętego Krzyża. Tam mieszka pani kasztelanowa Połaniecka, która ma czuwać nad bałwanem.

Wszystko to dla mnie dziwne jest i niezrozumiałe. Pacholek od pani kasztelanowej mówi, że taką kamienną figurę należałoby choć pokropić wodą święconą. Mógłbym jeszcze pisać, ale papieru brak.

Zgroza, jaki jest papier teraz drogi; i trudno go dostać. Za polskich czasów nigdy nie brakowało, choć i szkół było więcej i ludzie chętniej pisali.

Od pani Thiessowej, z jej papierni w Jeziornie, Prusacy papier zabierają i prawie wszystek wywożą, nam tylko resztki zostawiając.

Mówił mi niedawno pan Minasowicz, kupiec ormiański, ten, co to ma handel korzenny w

Krakowskiej Bramie, że mu nie starcza papieru do zawijania pieprzu i angielskiego ziela. Skupuje więc stare memuary, listy i poszarpane od czytania książki.

Pomyślałem sobie, że pewnie i moje pisanie na tyle się zda, że posłuży do zawijania pieprzu.

Przybiegł dziś do mnie pod kolumnę pachotek od pani kasztelanowej Połanieckiej, żebym mu pomógł przesunąć kamienną babę, bo zmokła na deszczu.

Przesunęliśmy. Teraz pogańska figura klęczy w stajni obok pary koni, a woźnica klnie i spluwa z obrzydzenia.

Po raz pierwszy spotkałem z bliska panią kasztelanową i sprawiedliwie mówię, że na jej widok struchlał. Wyszła z domu malutka, całkiem zgarbiona, wsparta na kijku. Oczki ma jak dwa świderki, co człowieka na wylot przewiercają. Nie rzekłszy nic, z wysokości ganku spoglądała. Sroga starucha.

Słyszałem o niej różne rzeczy. Od czasu jak Prusacy zajęli Warszawę, pani kasztelanowa odesłała karete na wieś, a w stajni zostawiła tylko dwa konie na domowe potrzeby, konie dosyć mizerne. Przestała też wychodzić z domu i tylko gości przyjmuje, o polityce z nimi rozmawiając. Daje do picia kawę, którą sama pali z jęczmienia i

żołędzi. Mimo to dystyngwowani panowie garną się do niej.

Dowiedziałem się jeszcze od pachotka, że pani kasztelanowa nie może ścierpieć takich, co zarzucili polską mowę i radzi po francusku gadają.

Raz pan Rautensztrauch z pałacu Pod Blachą chciał się do niej dostać i przyszedł. Ale go nawet nie prosiła, żeby został. „Stań się waszmość pirwej – tak mu rzekła – gorliwym Polakiem”. Sroga starucha.

Chodziłem wczoraj na Nalewki do dworku pana Ignacego Zadory. Musiałem pomagać majstrowi, który pompę naprawiał, bo wody nie ciągnęła. Ten majster był z Cekhauzu.

Pierwszy raz widziałem, jak jest zrobiona pompa. W żelaznej rurze chodzi kolanko skórą poszyte i ma klapkę, co się odmyka i zamyka, przez co zabiera wodę i do góry tłoczy.

Pan Zadora drogo za nią zapłacił, bo urządza dom przed ożenkiem i chce, żeby jego żona zawsze miała świeżą wodę pod ręką. We wszystkich dworach nalewkowskich są studnie z żurawiami, jeden tylko pan Zadora sprowadził pompę z Wrocławia.

Takem się spocił przy wyciąganiu i wpuszczaniu rury, że już nie chciało mi się iść do miasta. Wszędzie dokoła kwitły bzy, pogwizdywały słowiki,

a noc była ciepła. Dano mi sutą wieczerzę i kufel piwa, od czego ogarnęła mnie senność. Zamiast nocną porą wędrować do Warszawy, rozciągnąłem się na ławie pod krzakiem bzu i spałem do rana.

Choć niebo było jasne, pan profesor Magier wyszedł dziś na przechadzkę z parasolem pod pachą.

Kiedy to spostrzegły warzywniczki, zaraz wystąły jedną na ulicę Piwną, żeby się tam zwiedziały, co też pan profesor napisał. Bo tak już jest, odkąd spamiętać mogę, że pan Magier na drzwiach swojego domu nakleja codziennie Anons Pogody. Tym razem napisał, że będzie wichura i deszcz z piorunami.

Koło południa kury zaczęły się czochrać, jaskółki zniżyły lot, przekupki stały się swarliwe, a hrabia de Lille, wyglądając z balkonu, ucieszenie przestępował z nogi na nogę.

Po obiedzie, a była wtedy może godzina czwarta, spostrzegłem z wieloma ludźmi, że od strony Woli ciemna zbliża się chmura. Ojcowie augustianie też to musieli zauważyć, bo uderzyli w dzwony u Świętego Marcina. Taki już mają przywilej i taki obowiązek odpędzania piorunów, bo ich dzwony są loretańskie.

Przekupki, co poza bramą kupczą, na ten głos dzwonów zaraz pozwijały kramiki. Chciałem i ja

do domu wracać, ale widzę, coś się dzieje w kamienicy pana Wasilewskiego. Zajeżdża jeden powóz z francuskim biskupem, potem drugi powóz, a w nim ksiązę Danguleń¹

i dwie panie. Stoję, spoglądam, a tu Francuzy walą kupą, kto pieszo, kto konno, kto w karecie. Zaczęło się zmierzchać od tej chmury, całkiem blisko zagrzmiało. W oknach hrabiego de Lille pozapalano świece.

Byłbym tak stał i patrzył, ale myślę sobie, że od Coulona prędzej się dowiem, co zaszło. Wracam więc, a nóg nie żałuję. Na Rynku łapie mnie ulewa. Wpadam w Gołębią i pod ścianami domów przemykam się do mojej oberży.

Wchodzę. Między stołkami leżą skorupy farfururowe potłuczonych półmisków i talerzy. W izbie pełno Francuzów. Krzyczą, machają rękami, walą w stół. Coulonowa za szynkasem stoi i zaplata potargane warkocze. Biła się, czy co?

Słucham tego zgiełku, staram się zrozumieć, o co im chodzi, wyławiam oderwane słowa, a nuż się dowiem. I raptem zaświtało mi w głowie: Bonaparte! Tak, przez niego tyle wrzawy. Bonaparte ogłosił się cesarzem.

¹ Ksiązę d'Angoulême, oczywiście, a nie Danguleń.

ROZDZIAŁ II

Zamęt w Warszawie. – Książę Józef wraca z Chyliczek. – Republikańskie kokardy. – Gniew prezydenta policji. – Czołem, panie generale! – Odmarsz grencregimentu na zachód. – Hrabia de Lille w Łazienkach. – Znaleziony zegarek. – Pan Gallon-Boyer jako kupiec. – Kto narysował koguta? – Zielone Świątki na Bielanach. – Kłopoty ze słownikiem pana Lindego. – Zamurowane okna pałacu Pod Blachą. – Modły za ocalenie korony francuskiej.

Ludzie, ludzie, czyście poszaleli? Po co ta zawierucha?

Wszyscy się kłóć, gadają i gadają, jeden drugiego zatrzymuje i pyta, azali słyszał. W domu Wasilewskiego ciągle rojno, wchodzi i wychodzi. Podobno Francuzi ślubują wierność hrabiemu de Lille. Ale widziałem i takich, co od dzisiejszego ranka poprząpinali sobie kokardy czerwono-biało-niebieskie.

U pana Fryderyka Pfaffa w Marywilu

i u pana Gaya na Senatorskiej wykupiono wszystkie hamburskie gazety, które wczorajszą nadeszły pocztą, bo w nich było opisanie paryskich wypadków.

Książę Józef wrócił nagle ze swego eremitażu i jest teraz pod Blachą. Nie przyjechał powozem, tylko na koniu, bez hajduka. Podobno ledwie się przywitał z Wobanką i zaraz poszedł do biblioteki, gdzie się zamknął z kilkoma panami. Pili tam kawę i długo nad czymś radzili.

Prusacy chodzą jak kołowaci, czegoś się przelekli, a prezydent policji pan Schimmelpfennig d'Oyé wystawił wartę przed swoją kwaterą.

Prosty naród nie wie, co o tym myśleć. Przekupki mówią, że już nie na długo pruskiego panowania w Warszawie.

Cztery dni minęło, odkąd nadeszła wiadomość, że Francja cesarstwem jest. W mieście ciągle jeszcze niepokój i gadanie. Z prowincji przyjeżdżają Francuzi, żeby się pokłonić hrabiemu de Lille i o wierności go zapewnić.

¹ Na chaotycznie zabudowanym targowisku, rozciągającym się tam, gdzie obecnie stoi budynek Teatru Wielkiego.

Podobno ci z innych miast są najwierniejsi, a warszawscy, którym hrabia de Lille ze swej szkatuły zasiłki wypłaca, grożą buntem.

Coraz częściej spotykam na ulicach Francuzów z republikańskimi kokardami. Poznają ich. To ci sami, co dawniej przeklinali Korsykańczyka.

W oberży u Coulona jest teraz duży ruch i małżonkowie mają lepsze zarobki. Nazjeżdżało się gości z okolic Warszawy, a najwięcej labusiów, czyli francuskich księży niemshalnych, którzy po dworach za guwernerów służą.

Coulon lubi zarobić i byłby szczęśliwy z tego wszystkiego, gdyby nie żona, która mu teraz dogaduje, że sprzedał asygnaty. Bo to było tak:

Jeszcze niedawno Coulon miał w kuferku furę asygnat w liwrach republikańskich z roku 1800, którymi handlował. Kto sobie życzył jechać do Francji albo krajów zajętych przez wojska francuskie, szedł do Coulona. Potargowali się, wypili butelkę wina i zawsze doszli do zgody.

Tak się działo z rok albo i dłużej. Potem asygnaty zaczęły spadać w cenie, bo ich w Paryżu siła nadrukowano. Coulon się przeląkł, że wszystko straci. Zawinął asygnaty w gałganek, schował za kapotę i zaniósł do pana Riokura, co ma dom i kantor bankierski na Świętojańskiej. Tam za byle co sprzedał.

Teraz, jak się rozeszły nowiny o cesarstwie, asygnaty raptem zdrożały i wszyscy je sobie

wydzierają. Francuzów jakby szaleństwo ogarnęło, każdy chce mieć asygnaty w kieszeni. Bo mówią, że ma być ogłoszone powszechne darowanie win i wolno będzie wracać do Francji nawet szlachcie.

Dlatego Coulon, który nie w porę pozbył się asygnat, chodzi chmurny.

Rejwach był dziś raniutko między Prusakami i bieganina wielka. Bardzo się gniewał prezydent policji pan Schimmelpfennig d'Oyé, co na własne oczy widziałem.

Poszło o to, że w Rynku na ścianie kamienicy ariańskiej ktoś narysował nocą obrazek, od którego dyshonor na pruską nacją padł. Ano, mógł narysować, bo właśnie była pełnia i księżyc jasno świecił.

Narysował francuskiego koguta, jak goni orła pruskiego. Czarny ptak, żałośnie z pierza oskubany, umyka, a kogut pieje zwycięsko.

Przed rysunkiem spektatorów zebrała się kupa; dalejże żarty stroić. Dopiero pan Schimmelpfennig przyjechał zły okrutnie, a policaje zaczęli krzyżeć: „Raus! Raus!”. Tumult był i zabawa. Prusacy ścianę skrobali.

Hrabia de Lille przenosi się na letnie miesiące do Łazienek, gdzie w Białym ma zamieszkać

Domku. Dziś rano wyruszyły spod kamienicy Wasilewskiego wozy ze sprzętem wszelakim, ale nie mogły dojechać i musiały zawrócić. Po ostatnich burzach droga do Ujazdowa trudna jest, przez plac Trzech Krzyży płynie do Wisły bystry potok. Drugi, jeszcze bystrzejszy, płynie koło samych Łazienek i wpada w parów, przy którym stoi pomnik króla Jana. Z przeprowadzką trzeba więc będzie czekać, póki wody nie spłyną

Nie wiem, czy to prawda, ale u Coulona gadali dziś Francuzi, że hrabia de Lille nie wróci na zimę do domu Wasilewskiego, tylko zamieszka w pałacu Kazanowskich na Krakowskim Przedmieściu, koło kościółka Świętej Teresy. W domu Wasilewskiego ma być kwatera dla oficerów, a jest ich czterdziestu, tudzież kwatera dla różnych gości, którzy do hrabiego zewsząd przyjeżdżają.

Zaglądałem dziś do drukarni pijarskiej, gdzie się drukuje „Warschauer Intelligenzblatt” i rozmawiałem z zecerami. Prusacy już nie mogli zataić, co się stało w Paryżu, napisali więc o tym w gazecie, ale tak, że trudno coś zrozumieć.

¹ Pierwszy potok, o którym autor wspomina, płynął dzisiajszą ulicą Nowogrodzką, przecinał plac Trzech Krzyży i ściekał ulicą Książęcą do Wisły. Na placu był most dla pieszych. Drugi potok przecinał aleję Ujazdowską i spływał Agrykolą.

Widziałem w drukarni papier równiutko ułożony, śliczny, niebieściutki.

Słyszałem, że u pana Mostowskiego zebrano się wczoraj dużo gości. Nie przyjeżdżali powozami, tylko się każdy chyłkiem przemyskał. O czym gadali, nie wiem. Nawet lokaja pan Mostowski na cały wieczór odprawił.

Coś mi się zdaje, że to jest polityka.

Bardzo się lubimy z panem Antonim Magierem, który nieraz przechodząc koło kolumny, wita mnie i mówi:

– No cóż, Filipku, co tam na świecie słyszać?

– Ano, różnie słyszać, panie profesorze.

– To pójdź ze mną, pogawędzimy.

I choć to jest wielki uczony, pan Magier gada ze mną o najprostszych rzeczach. Nawet wypytuje, co mówią w bramie przekupki. A kiedy ja o co zapytam, zawsze mi naopowiada dużo ciekawego.

Nieraz tak, gdy wieczór jest ciepły i pogodny, mijamy starą Warszawę i, bez ustanku gawędząc, idziemy na Fawory aż do gwardiackiego kościoła.

Dziś pan Magier też na mnie skinął. Zresztą i tak bym do niego podszedł, ale grzeczniej zaczekać. Widzę go zawsze z daleka, bo jest o głowę wyższy od wszystkich ludzi i chudy jak tyczka do chmielu.

– Chodź, Filipku, to sobie pogadamy.

Poszliśmy jak zwykle w kierunku Żoliborza, gdzie po drodze pełno jest sadów zielonych, gdzie dawniej, za królewskich czasów, gwaro było i rojno. Teraz, przy Prusakach, chyba tylko pies z żalu zawyje albo gdzieś bociek zaklekoce. Sławne młyny, które tam przy stawach dzień i noc turkotały, dzisiaj milczą.

Pan profesor Magier wie, że mieszkam w oberży Coulona, i rad słucha, kiedy mu o Francuzach prawie. Pytał tym razem o asygnaty, czy drogo za nie płać, i o jednego oficera pytał, który się trudni leczeniem różnych paraliżów.

Ten oficer wydrukował książeczkę, która się nazywa „O sile bursztynowania”. Pokazał mi ją pan Magier. W niej ujrzałem rycinę wyobrażającą koło do obracania i rozwieszone łańcuszki. Od tych łańcuszków błyskawice leciały. A pod ryciną przeczytałem takie objaśnienie: „Machina elektryczna IMĆ Pana Michała Petitjean, przestawnych Woysk Francuzkich I. Kr. Mości Kapitana, która różne choroby leczy y ma taką dzielność, że proch zapala”.

– Kapitan Petitjean – rzekłem – toć go znam. On u nas w oberży popija. Ani bym się domyślił, że potrafi zbudować machinę elektryczną.

Rzekł na to profesor, że każdy może sobie zrobić taką machinę. Kto nie ma szklanego plastra w kształcie koła, niech weźmie zwykły gąsior i kocią

skórę do pocierania, od czego elektryczne iskry będą wyskakiwały.

Dość długo opowiadał mi profesor o różnych machinach i takeśmy doszli, jak zwykle, do końca Faworów. Zawracamy, a tu jedzie na koniu księżę Józef. Kiedy się zbliżył do nas, zawołał:

– Czołem, mości profesorze!

Na to pan Magier:

– Czołem, mości generale!

Księżę ściągnął konia, zawrócił i, jadąc stepa, rozmawiał z panem Magierem. Zostałem trochę w tyle, żeby im nie przeszkadzać. O czym mówili, nie wiem. Wpadło mi tylko w ucho nazwisko Bonaparte po kilkakroć powtórzone przez księcia.

Przechodził przez Warszawę pruski grencregiment, same poznaniaki, tylko oficerowie Niemcy. Prowadzili też zakutych w kajdany dezerterów, co chcieli zbiec na galicyjską stronę. Regiment zatrzymał się tu na odpoczynek, żołnierze mają dostać buty marszowe, bo idą daleko, nad Ren.

Wczoraj byli na mszy świętej u fary, potem urządzili kirchenparadę przed Kamerą Pruską na placu Krasińskich. Ludzie chcieli się z nimi dogadać, kobiety powynosiły im bułki marymontówki i dzbanki z gorącym mlekiem. Ale

niewiele z tego wyszło, bo ich feldfeble pozapędzali do koszar.

Hrabia de Lille już się przeniósł do Białego Domku w Łazienkach, o czym u Coulona było sporo gadania. Com zauważył, że Francuz nie potrafi napisać „Łazienki”, tylko w prostocie ducha pisze „La Jonquille”, a to jest jakiś kwiatek.

Z tego, com słyszał, rozumiałem, że hrabia rozesłał do wszystkich królów, cesarzów i panujących książąt jakiś manifest, w którym się żali na Bonapartego i przysięga, że się nie wyrzeknie korony francuskiej. Mnie tam nic do tego.

Dużo o tym było gadania po pijanemu i na trzeźwo, jednym uchem wpadało, drugim wylatywało, aż wreszcie słyszę, jak mówią o rzeczy ciekawej, że hrabia de Lille przyjął łaskawie rodzinę chłopską z chorym na trąd chłopakiem, że położywszy dłoń na jego głowie, gorąco modlił się i na pomoc świętego Ludwika wzywał.

Okrutnie jestem ciekaw, czy to na dobre wyjdzie chłopakowi i czy mu zdrowie przywróci. Jeżeli spotkam pana doktora Gagatkiewicza

, muszę go spytać.

¹ Walenty Gagatkiewicz (1750–1805), wybitny lekarz warszawski, zajmował się toksykologią i analizą chemiczną.

Byłem w Ogrodzie Saskim u pana Lessla w pawilonie i jadłem lody malinowe. Płaciła za mnie żona pana Lindego, bom jej zamówił miejsce w dyliżansie. Pojechała odwiedzić świekrę w Toruniu.

Wspomniałem wczoraj o doktorze Gagatkiewiczu, z którym już drugi rok jesteśmy w przyjaźni. Bo raz się tak zdarzyło, kiedyśmy się jeszcze nie znali, że podczas zabawy w lesie na Czystem pan Gagatkiewicz zgubił pectoralik

, a ja go znalazłem. To było tak:

Stoję koło huźdawek, pomagam pannom wsiadać i wysiadać, patrzę, a w trawie coś się świeci. Podniosłem i ażem zdrętwiał ze strachu. Był to zegarek misternej roboty z napisem „Leroy à Paris”, srebrny, wydłużony jak gruszka i płaski. Miał w sobie dzwoneczek i co pół godziny bardzo pięknie dzwonił. Po zachodzie słońca przestał cykać, zamilkł, a kluczyka do naciągania sprężyny nie miałem.

Myślę sobie, że nie warto z cudzą rzeczą się cackać, bo jeszcze bieda z tego może być. Zaniósłem więc zegarek do kordygardy miejskiej i

¹ Zegarek zawieszany na szyi.

mówię, żeby od siebie dali anons. Chcę wyjść, a tu mnie wachmajster zatrzymuje:

– Zaraz, zaraz, przyznaj no się wprzód, skądś to wziął?

– Znalazłem – powiadam – w trawie leżał.

– Aha, znalazłeś! Znamy się na takich. Każdy mówi, że znalazł.

Potem mnie policaje bili, żebym się przyznał. Ponieważ nie mogłem się przyznać, zbili mnie jeszcze trocha i zamkli z jakimiś pijakami, którzy też mnie zbili za to, że oddałem Szwabom zegarek.

I tak, nic nie rozumiejąc, dlaczego mnie tak wszyscy biją, przesiedziałem do następnego dnia i byłem bardzo nieszczęśliwy.

Aż tu prowadzą mnie do wachmajstra. Wchodzę, stoi jakiś pan z upudrowaną głową, w rękę trzyma pektoralik i coś po niemiecku policajom tłumaczy. Na mój widok zagniewany wachmajster wrzasnął:

– No to wynoś się stąd, raus!

Zaraz wyszedłem. Na ulicy dopędził mnie ten pan z pudrowaną głową i w łaskawych słowach wyraził żal, że mnie przez jego zegarek tak poturbowano. Powiedział, że się nazywa Gagatkiewicz i jest medycyny doktor. Dał mi trzy srebrne talary, mówiąc na pożegnanie, iż gdybym kiedy zachorował, to mnie darmo wyleczy.

Dziękować Bogu, jeszcze się nigdy jako chory z doktorami nie stykał. Mądrzy ludzie mówią, że

póty człowiek zdrow chodzi, póki się nie dostanie pod doktorską opiekę.

Do Warszawy przyjechał z Paryża pan Gallon-Boyer w jakobińskim czarnym kapeluszu z piórami farbowanymi na trzy kolory. Zajął na Krakowskim Przedmieściu dom, w którym dawniej mieszkała sławna panna Lulli. Ten dom jest tuż obok kamienicy pana Wasilewskiego.

Nikomui się pan Gallon-Boyer nie przedstawiał, tylko na drzwiach od ulicy zawiesił tabliczkę z napisem „Agence Commerciale”.

Przyjazd pana Boyera sprawił wśród Francuzów wielkie poruszenie. Mówią, że to nie jest kupiec, tylko wysoki dygnitarz policyjny, którego tu przysłał z Paryża pan minister Fouché do pilnowania hrabiego de Lille i innych emigrantów.

Jak tam jest naprawdę, jeszcze nie wiem. Ale już słyszał, że niektórzy królewscy Francuzi, nawet ci z domu Wasilewskiego, chyłkiem się przemykają, kiedy zmrok zapadnie, do kwatery pana Boyera i proszą o wydanie im paszportu na powrót do Francji.

Mówią, że pan Boyer jest wielce miły dla gości, zabawia ich rozmową, likworami częstuje i każdego zapewnia, że będzie mógł rychło wrócić do kraju. Trzeba tylko poczekać, tak powiada, póki nie nadejdzie z Paryża lista tysiąca osób, dla

których droga na zawsze jest zamknięta. Sam Bonaparte wybrał te tysiąc nazwisk i zagroził, że niechby się ktoś ośmielił przejść granicę, będzie pojman i przed sąd postawion.

Od dnia przyjazdu pana Gallon-Boyera do Warszawy widuję na ulicach coraz więcej trójkolorowych kokardek. W oberży Coulona słysząc narzekanie na hrabiego de Lille, słysząc nawet przekleństwa.

Coś mi się zdaje, że to nie jest głęboka filozofia, tylko dawniej hrabia de Lille miał więcej luidorów i swoim Francuzom wypłacał miesięczne zapomogi. Z tego żyli, do pracy niezbyt będąc skorzy. Teraz hrabia sam jest w kłopotach pieniężnych, kogo więc spotkał zawód, ten narzeka.

Bez żadnego targu doszliśmy do zgody z panem Linde. Stanęło na tym, że codziennie będę mu opowiadał, kto do Warszawy zjechał i w którym zatrzymał się zajeździe. A potem mam listy roznosić.

Nie wiem jeszcze, o co profesorowi chodzi. Trzeba uważać, bo na śmiech ludzki wystawić się łatwo.

Na mieście mówią, że pan Linde drukuje u pijarów jakiś traktat uczony, słownik czy coś podobnego. Pono taki długi, że nie wiadomo, czy w pięciu wolumenach się zmieści. Jedni powiadają,

że pan Linde sam to wszystko wymyślił i napisał, inni znów dowodzą, że znalazł gotowe rękopisma w benedyktyńskim klasztorze i teraz za swoje chce ogłosić. Mnie tam nic do tego.

Prusacy ciągle są zagniewani. Chcieliby wiedzieć, kto zrobił rysunek na kamienicy ariańskiej w Rynku, co to kogut ściga pruskiego gawrona. O tym ich zmartwieniu tyłem się dowiedział, że prezes Kamery Pruskiej pan Hoym wzywał do siebie prezydenta policji pana Schimmelpfenniga i gorzkie wymówki mu czynił.

Po tej rozmowie strapiony pan Schimmelpfennig kazał sprowadzać różnych malarzy i każdego na osobności pytał, czyli byłby zdolny coś podobnego narysować.

Wszyscy się zaparli, jeden tylko pan Smuglewicz, ten co to w teatrze różne jeziora, doliny i zamki maluje, tak odpowiedział:

– Owszem, byłbym zdolny i, skoro wasza ekscelencja sobie życzy, mogę narysować.

Co usłyszawszy, pan Schimmelpfennig o nic go już nie pytał.

Mniej wczoraj stałem pod kolumną, a więcej się nad Wisłą kręcił, bo napolitańczyk jeden, pan Antonio Crotti, zwierza dzikiego z afrykańskiej

ziemie przywiózłszy, do fontanny w ogrodzie pana Belani go wpuścił.

Zwierz ten, po włosku Korkodillo zwany i smokiem będący, przez długie lata w rzece Nilus pływał, pacholeta murzyńskie pożerając, tureckie takież.

Czym rozniewany Basia tamtejszy pojmać go kazał i do napolitańskiej niewoli sprzedał. Od tego czasu Korkodillo baranki jeno pożera i warchlaki, ku młodzieniaszkom tęskliwie pozierając.

W ogrodzie pana Belani nad Wisłą spektatorów kupa; do fontanny tylko śmielsi podejść się odważają.

Wczoraj w przytomności dostojnych osób pan Crotti z panem aptekarzem Guidalem dyskurs uczony po francusku o afrykańskich bestiach wiódł. Jakem to sam baczył, Korkodillo, choć ślipia miał zamknięte, jednym uchem pilnie dyskursu słuchał, co jakiś czas nad swoją dolą żałośnie wzdychając.

Od piątej rano, kiedym z Warszawy wyjechał, aż do późnego zmroku byłem wczoraj w lesie na Polkowej Górze, jako że wypadły Zielone Świątki. U jednego Sasa pilnowałem huźdawek, żeby się różne filipony darmo nie huźdały.

Chociaż ten Sas jest luterskiej wiary, zwolnił mnie na mszę świętą, której wystuchałem u ojców

kamedułów, a potem jeszcze po odpuście chodziłem.

Na wszystko pilnie bacząc, widziałem na własne oczy, jak ojcowie kamedułowie po nabożeństwie pawiment w kościele miotłami zmiotali, szarym mydłem i wodą gorącą myli, precz usuwając kurzawę i pchły naniesione od niewiast, których ten owad rad się trzyma.

Ze wszystkich zakonów, jakem słyszał, kamedułowie w największym ochędóstwie się lubują i na biało poubierani chodzą. Przez co Polkową Górę lud warszawski Bielunami przeżywa.

Na huźdawkach dobrze zarobiłem, bo na podwieczerek przyjechali kawalerowie spod Blachy, kilka francuskich komediantek ze sobą przywiózłszy. Bawili się, póki nie zaszło słońce, a potem na polanie ognisko rozpalili. Pan Bolesza, nad miarę wypiwszy, przez ogień wespół ze swym lokajem skakał, aż upadł w żar nieszczęśliwie i frak sobie na grzbiecie spalił.

Mówił mi ten jego lokaj, że frak przez sławnego krawca, pana Twardowskiego, był szyty i jeszcze nie jest zapłacony.

Już wiem, o co panu Lindemu poszło i dlaczego chce mieć nazwiska gości, którzy zjeżdżają do Warszawy.

Co rano, o pół do ósmej, chodzę do Saskiego Pałacu, gdzie pan Linde naucza. Opowiadam mu, kto i skąd wczoraj przyjechał, gdzie się zatrzymał i jaki jest sam w sobie. Pan Linde ma zawsze przygotowane listy, które jego żona nad podziw pięknie kaligrafuje.

Kiedy wszystko opowiem, pan Linde woła żonę, żeby dopisała nazwiska, tytuły i adresy. Potem pan Linde sam się podpisuje i oddaje mi listy, z którymi chodzę po zajazdach.

Jedni goście czytają listy z uwagą, wypytują o pana Lindego i o jego słownik, inni znów gniewem się unoszą i krzyczą, że znają się na takich okpiduszach, co chcą od przybylców pieniądze wycygać.

Był taki gość, co się na mnie antypkowym cybuchem zamierzył, inny znów zdjął z nogi paciorkami haftowany papuc i na głowę mi cisnął. Jedna stara szlachcianka, do której męża list zaniósłem, kazała powiedzieć panu Lindemu, żeby lepiej książki do nabożeństwa układał, a nie jakieś tam słowniki nikomu niepotrzebne.

Jeżeli gość wyrazi zgodę na kupno książki, wówczas pan Linde idzie do niego. Zawsze mnie wypytuje przedtem, jaki to człowiek, czy aby nie gwałtownik i czy w rozmowie nie ubliża.

Bywa i tak, że gość zapłaci, ale za żadne skarby nie chce zezwolić, żeby jego nazwisko było wydrukowane w spisie fundatorów słownika.

– Nie chodzi mi o te trochę grosza – powiedział jeden pan spod Rawy Mazowieckiej – ale ludzkich języków się lękam.

Panu Lindemu znów chodzi o to, żeby tych nazwisk zebrać jak najwięcej, bo wtedy inni za wolumena następne żwawiej będą płacili.

W Kamienicy Mückenbacha na Krakowskim Przedmieściu jest handel pana Netto. Tam od kilku dni wisały w oknie kopersztychy z podobiznami nowego cesarza Francuzów. Siła narodu się zbiegała, żeby popatrzeć.

Ja też, ileżemkroć tamtędy przechodził, zawsze przystanąłem. Bo bardzo jest piękny ten wizerunek cesarza w wawrzynowym wieńcu na głowie. W powietrzu nad cesarzem fruwa Gloria i trąbi.

Dużo ludzi kupowało te kopersztychy, nie były drogie. Nawet się dziwowano, że tylko tyle kosztują.

Wczoraj wieczór przyszli Prusacy do pana Netto i wszystkie podobizny cesarskie pozabierali. Cały handel przetrząsnęli, jakobińskich książek szukając, których pono sporo znaleźli. Na zakończenie uprowadzili pana Netto do Prezydium Policji, żeby się tam tłumaczył.

O czym się dowiedziawszy, pan Gallon-Boyer wsiadł do karety i odwiedził pana prezydenta policji Schimmelpfenniga d'Oyé. I nie minęła

godzina, a pana Netto zwolniono i pooddawano mu kopersztuchy. Znów je więc w oknie wywiesił i znów sprzedaje ludziom, których się tam pcha coraz więcej.

Dziwne mi się wydaje, że niby kupiec, jak sam siebie nazywa, pan Boyer ma taki posłuch u Prusaków. Musi to być prawda, co o nim mówią

Do Warszawy wróciła z Wiednia siostra księcia Józefa, pani Teresa Tyszkiewiczowa. Profesor Magier wspomniał kiedyś o niej, że jest złym duchem pałacu Pod Blachą.

Dowiedziałem się od Knera, że Wobanka poskarżyła się na księcia przed panią Tyszkiewiczową. Narzekała na cugi w pałacu, że od Wisły ostre wiatry wieją, że książkę, na jej zdrowie nie zwracając uwagi, zbyt często otwiera okna.

Tyszkiewiczowa natarła na księcia z żądaniem, żeby się nie ważył otwierać okien od Wisły, bo wpędzi Wobankę do grobu.

Na to babskie gadanie książkę tak się rozgniewał, że wezwał murarza i dwa okna kazał zamurować. Z czego jeszcze większa obraza wyszła i Wobanka z

Tyszkiewiczową razem się popłakały. Ale książkę już nie ustąpił i sam widziałem, jak do pałacu cegły taczkami zwożono.

Wszyscy w Warszawie już wiedzą, że pan Gallon-Boyer nie jest kupiec, tylko z Paryża przyjechał do pilnowania hrabiego de Lille i innych tutejszych Francuzów.

Zdaje mi się, że pan Boyer pilnuje też i Prusaków, bo przy spotkaniu z nim są wielce potulni. Najważniejsza w Warszawie persona, prezes Kamery Pruskiej, hrabia Hoym, pierwszy się kłania panu Boyerowi.

Dowiedziałem się od murarzy, a powiedzieli mi to z uciechą niezwykłą, że niech tylko nastaną wiatry jesienne, Wobanka nie zazna już spokoju. Bo murarze mają dziwne sekreta i jeżeli zechcą, z zemsty czy też dla śmiechu mogą człowiekowi życie obrzydzić.

Wobanki nie lubią, wmurowali jej więc w ścianę mały gąsiorek od wina i zostawili w tynku szparę. Od czego, niech kiedy mocniejszy wiatr zawieje, w ścianie zacznie coś świstać i wyć, jakby się biesy na weselisko zbiegły.

Zobaczmy, co z tego będzie. Murarze już się naprzód radują, a mnie ciekawość dręczy.

¹ Gallon-Boyer był istotnie wysłannikiem ministra policji Josepha Fouché. Posiadał szerokie pełnomocnictwa.

*Tylko pan Stanisław Sienkiewicz, szewc z
Podwala, ma tak wielkie kopyto, że może panu
Lindemu szyć i zelować buty. Inny majster tego się
nie podejmie. Czeladnicy żartują, że jest to kopyto
na miarę podolskiego złodzieja.*

*Mówił mi o tym sam pan Sienkiewicz, kiedym mu
przyniósł wczoraj do podbicia buty pana Lindego.
Gawędziliśmy o nogach i butach rozmaitych
panów. Dowiedziałem się dużo ciekawego, jak i kto
się obuwał za polskich czasów, jakie nosił buty.
Pan Sienkiewicz pokazał mi kopyto pana
Niemcewicza, księdza Kołłątaja i wielu innych, co
nie mogąc ścierpieć pruskiego panowania,
powyjeżdżali z Warszawy.*

*Skończył pan Sienkiewicz robotę, stuknął
młotkiem i zaprosił mnie na piwo, alem się
wymówił, bo pan profesor Linde na buty w domu
czekał.*

*Hrabia de Lille zamówił mszę świętą na
uproszenie łaski dla korony francuskiej.
Nabożeństwo odbyło się w kościele Anny
Jagiellonki za Łazienkami. Hrabia cały czas leżał
krzyżem przed ołtarzem.*

*Ludzi przyszło mało, bo to szmat drogi.
Wychodząc z kościoła, hrabia de Lille narzekał, że
go naród opuścił.*

ROZDZIAŁ III

Zbiegowisko na Powiślu. – Doktor Roemer bada chłopaka. – Wychłostany baletmistrz. – Uczony wykład o mnogości wrzodów. – Flisacy a przemyt piwa. – Kadryl w pałacu Pod Blachą. – Filipek zaczyna igrzać z losem. – I znów jest mowa o kogucie. – W drukarni ojców pijarów. – Przylapanie Filipka na kradzieży i wielki z tego wstyd. – Pan Alojzy Żółkowski pisuje wiersze, a pan Amadeusz Hoffman pije z komediancami. – Srogi gniew piwowara po ucieczce pary kochanków. – Hrabia de Lille spostonowany w druku. – Anizetka z Bordeaux.

Kilka dni wcale nie pisałem, bo w Warszawie działy się dziwne rzeczy. Ten chłopski syn, któremu hrabia de Lille położył ręce na głowie, ten trądem porażony chłopak wyzdrowiał. Od czego rozruch był i siła narodu biegła z Warszawy na Powiśle, gdzie tamci mieszkają.

Pobiegłem i ja. Chłopakowi zdjęto już szmaty i można oglądać jego głowę, która stęchła i zaczyna się goić.

Matka chłopaka ciągle klęczy i odmawia modlitwy. Przed domem gromadzą się ludzie i oknem zaglądają do izby. Każdy by rad uleczonego

zobaczyć, pogadać z nim, wypytać, ale wejść się lęka, boć to zaraza.

Przyjechało też kilka karet z paniami polskimi i francuskimi. Poprzywoziły chłopakowi łakoci i przez okno ciskały.

Na drugi dzień zbiegowisko było jeszcze większe, a trzeciego dnia, jakem się dowiedział, przybyli na Powiśle różni doktorzy i ze wszystkich stron oglądali trędowatego chłopaka. Na ich życzenie rozbierać się musiał.

Był tam też doktor Roemer od Kamery Pruskiej przysłany, który jest teraz najpierwszym lekarzem w szpitalu Świętego Łazarza. Ten doktor Roemer długo chłopaka badał i wypytywał jego rodziców. Potem się pokłócił z innymi doktorami i odjechał z panem Borowskim, który jest przy nim za felczera.

Przed cyrkiem na Brackiej kawalerowie z pałacu Pod Blachą spotkali francuskiego metra od tańców Cirpajtlę.

Choć prędko w nogach, Cirpajtło

pojman był przez stangretów i batami wysieczon. Nie wiem, za co, ale się może rozpytam i napiszę. Toć przecie Kerner będzie wiedział.

¹ Przypuszczalnie mowa o baletmistrzu ówczesnego teatru francuskiego w Warszawie, p. Tirepaille. Jak widzimy, kochany autor i tym razem nie mógł się powstrzymać od spolszczenia nazwiska.

W karczmie Coulona między Francuzami są ciągle spory. Jedni wierzą w uleczenie trędowatego, inni znów nie.

Tych, co nie wierzą, jest teraz mniej, bo kto pójdzie na Powiśle, ten na własne oczy widzi, że chłopak wraca do zdrowia.

Opowiadano dziś w karczmie o panu Gallon-Boyer, że szuka takiego doktora, który by napisał, że nie było żadnego uleczenia. Podobno już rozmawiał z doktorem Roemerem.

Wczoraj, w pierwszą oktawę po wyleczeniu trędowatego, na mszy świętej w kościele za Łazienkami, gdzie bywa hrabia de Lille, zebrali się tyle Francuzów, że nijak nie mogli się pomieścić. Przyszli nawet ci, którzy już zaczęli nosić kokardy republikańskie. W ten dzień poodpinali.

Dziś po obiedzie spiekota była wielka i ludzi ogarniała senność. Nawet przekupki w Krakowskiej Bramie przycichły. Do mojej kolumny podszedł pan Borowski, starszy felczer ze szpitala Świętego Łazarza, i wypytywał, co też Francuzi mówią o nowym ich cesarzu Napoleonie. Ja go znów spytałem, czy wierzy w uleczenie chłopaka na Powiślu.

Odpowiedział pan Borowski, że przecie był tam z doktorem Roemerem; oglądali go wspólnie i

musieli przyznać, że rany się goją. Alić nie wiadomo, czy to był trąd, czy też jakie inne nieregularne choróbko, bo wrzodów wszelakich wielkie jest rozróżnienie. Jedne są wewnętrzne, drugie zewnętrzne; jedne się od maści rozchodzą, drugie od maści puchną, chorego bólem nieznośnym dręcząc; albo się zapalają i fistułę przynoszą; są i takie, co się bez maści rozpukują na kształt purchawek; bywają wrzody suche, lipkie, klijowate, to znów jak ślimak pełzające.

Spytałem pana Borowskiego, czy to prawda, że pan Gallon-Boyer namawia doktora Roemera do zaprzeczenia uzdrowieniu. Na to pan Borowski tak rzekł:

– Wszem wiadomo, że doktor Roemer na pieniądze jest łasy i niechybnie z panem Boyerem do zgody by doszedł, ale zanedo się pośpieszył po powrocie z Powiśla i zaraz sporządził raport dla dyrekcji policji. Nie może więc teraz tamtego odwołać i napisać inaczej.

Śmiały się dziś przekupki w Krakowskiej Bramie, że Prusacy z warszawiakami ciągle kłopoty mają.

Teraz sobie wyimaginowali, że do Warszawy przez Gdańsk zakazane angielskie piwo przemytem płynie. Zaczęli myszkować po bawariach i już drugi dzień tak szukają. Zatrzymują krypy na Wiśle, a pana Sitkowskiego, który retmanom i

flisakom przewodzi, zaprowadzili na policję i długo wypytywali.

Z tym piwem jest tak, że żadnego przemytu nie ma. Jako w bawariach goście domagają się angielskiego, szynkarki radzą sobie w ten sposób, że nalewają do kamionek zwykłe piwo słodowe, dodają szczyptę śląskiego cukru i odrobinę drożdży, a potem mocno szpuntują i omotują drutem. Od czego piwo burzy się i nabiera takiej tęgości, że przy otwieraniu strzela jak pistolet. Wielce są goście z tego kontenci i myślą, że to angielskie.

Pan Sitkowski odpowiedział Prusakom, że mocnego piwa z Gdańska do Warszawy żaden z jego flisów by nie dowiózł, tylko by wypił, a wpadłszy do Wisły niechybnie utonął. Wszyscy flisowie żyją, co świadczy o ich niewinności.

Przypomniałem sobie opowiadanie pana Borowskiego o pończochach i kaftanikach dla dziatwy. Doktor Roemer wprowadził taki zwyczaj w szpitalu Świętego Łazarza, że niewiastom na leczeniu będącym nie wolno próżnować, tylko muszą na drutach albo szydełkiem robić, co im się każe.

Dało to przez pierwsze trzy lata sześćset trzydzieści trzy talary czystego zysku ze sprzedaży pończoch i kaftaników.

Pan doktor Roemer myślał, że dostanie od Kamery Pruskiej nagrodę i order, ale nic nie dostał. Napisał więc list z prośbą o podniesienie mu płacy rocznej o dwieście talarów. Choć już kilka miesięcy minęło, odpowiedź nie nadeszła. Przez co doktor zły chodzi i straszy chorych, że zaprowadzi w szpitalu hungerkur, czyli leczenie głodem.

Już się dowiedziałem, za co kawalerowie z pałacu Pod Blachą kazali ćwiczyć batami pana Cirpajłę. Bo w gazetach hamburskich było opisane, że teraz w Paryżu jest nowy taniec alamod, co się nazywa kadryl.

Wielce tym zaciekawieni kawalerowie rozpytywali wszędzie, zali nie ma w Warszawie metra od tańców, którzy by ich ponauczał kadryla.

No i odezwał się Cirpajłto na to ich wołanie. Który jakoweś nuty przyniósłszy, zaczął dawać lekcje w pałacu Pod Blachą. Ponauczał tańczyć kadryla wszystkich kawalerów, także Wobankę, trzy panie Potockie, jedną Radziwiłłową, dwie Walewskie i kilka innych. Siostrę księcia też nauczył.

Przez miesiąc albo i dłużej w pałacu ciągle tańcowali kadryla, przez co byli szczęśliwi, a Cirpajłto dostawał od panów sutą zapłatę i od pań różne upominki.

Aż tu raptem przyjeżdża z Drezna trupa pana Koltera i ogłasza, że w cyrku będzie odtąńczony najnowszy taniec kadryl. Rozumie się, że kawalerowie spod Blachy zaraz tam poszli. Nie wytrzymał i przez własną głupotę poszedł też pan Cirpajłło. Jak baletnicy zaczęli tańcować, stało się jasne, że prawdziwy kadryl jest zupełnie inny.

Co widząc, Cirpajłło chciał z cyrku czmychnąć, ale przez własnych uczniów prześladowany, srodze ucierpiał.

Pan Ludwik Dmuszewski, komediant Teatru Narodowego, w ciężkie tarapaty wpadłszy, postanowił puścić na loterię swój dom, co na Przyryнку naprzeciw kościoła Panny Marii stoi.

Jakem się o tym dowiedział, pobiegłem co tchu na Przyrynek, żeby na własne oczy sprawdzić. Domek malutki, ale murowany, dachówką kryty, ściśnięty między innymi domami. Zamiast dziedzińca jest tam czysty ogródek piaskiem wysypany i fontanna w kształcie łabędzia, któremu z pyska woda leci. Tylko wodę trzeba na strych wiadrami nosić.

Ogromnie mi się to wszystko podobało i powiedziałem o tym panu Dmuszewskiemu, a ten mi zaraz, prawie gwałtem, jeden bilet sprzedał. Dałem srebrem złotych sześć zadatku i jeszcze trocha w miedzi krajowej, bo więcej nie miałem.

Na co pan Dmuszewski kwit wypisał i kazał wpłacić resztę w kantorze pana Petyskusa za Marywilem. Bąków i pruskich gutengroszy nie chciał brać, a kiedy będzie losowanie, sam nie wiedział.

Takem się rozradował tą fontanną, że z przyzwolenia pana Dmuszewskiego wodę na strych zacząłem dźwigać. Od przykręcania kuraśka biła wyżej lub niżej, jakem sobie życzył.

Właśnie opróżniłem wiaderka i schodzę na dół, gdy zastłyszalem rozmowę:

– Dmuch, jesteś?

– Jestem.

– A znasz nowinę? Tego koguta w Rynku narysował Hoffmann.

– Który Hoffmann? Amadeusz?

?

– No, a któż by...

W tej właśnie chwili dostrzegli mnie i zamilkli. Ten drugi, od razum go poznał, był pan Bonawentura Kudlicz, też komediant, co to się czasem jąka na scenie, kiedy go rozezłościć.

¹ Ernest Teodor Amadeusz Hoffmann (1776–1822), niemiecki poeta, muzyk i malarz, był urzędnikiem pruskim w Poznaniu. Za złośliwe karykatury przeniesiony w roku 1802 do Płocka, następnie do Warszawy. Jego rzekome przygody, wzięte z fantastycznych opowiadań, posłużyły do napisania libretta Offenbachowskiej opery *Opowieści Hoffmanna*.

*Trochę mi było nieprzyjemnie, że tak się zrobiło
głucho na mój widok. Postawiłem więc wiadra i
powiadam:*

*– Bądźcie spokojni, waszmoście, nicem nie
słyszał.*

A pan Kudlicz mówi:

*– To jest Filipek spod kolumny, swój chłopak.
I takeśmy się rozstali bez urazy.*

*Prusacy ogłosili w swojej gazecie, że nie licząc
wojska i Francuzów, jest teraz w Warszawie
pięćdziesiąt osiem tysięcy ludności.*

*Za polskich czasów, powiada pan Magier, było
w Warszawie prawie dwakroć sto tysięcy.*

*Wstyd o tym pisać. Umaczane pióro już wyschło
kilka razy, a litery nie chcą się wiązać w słowa. Ale
wszystko wyznam, bez kłamstwa, nic nie zataję.*

*Zaczęło się od tego, że przechodząc ulicą
Miodową wstąpił do drukarni pijarskiej i
gawędziłem z zecerami. Pokazywali rękopisma
pana Lindego i byli smutni. Mówili, że nawet
przeczytać trudno, a cóż dopiero złożyć, bo słowa
są dziwaczne, poprzekręcane, często też
cudzoziemskie.*

*W drukarni był właśnie Cnota i na anonse
teatralne czekał. Jemu się też zwierzyłem, że mi
ciągle papieru do pisania brakuje. On na to rzekł:*

*– Namawiać cię nie będę, byłby to grzech, ale
jakbyś poszedł tym kurytarzem do końca,
znajdziesz drzwi, z pewnością otwarte, a za tymi
drzwiami dużo papieru. Tu, w drukarni, kartki są
policzone.*

*Poszedłem, zakołatałem, nikt nie odpowiedział.
Nacisnąłem więc klamkę. W izbie był stół do
pisania, dwa stołki, niezastane łóżko, skrzynia na
odzież i ciężka potrójna półka z książkami. Papier
leżał wszędzie, na sprzętach, na podłodze z
wypalanej cegły. Leżał, jakby na mnie czekał.*

*Zebrałem kartek nie za dużo i zawinąłem w inny
papier, szary. Przed wyjściem przystanąłem wedle
półki z książkami i zacząłem odczytywać tytuły na
grzbietach: „Zegar Monarchów”, „O obyczajach
ludu rzymskiego”, „Żywot Krola Iana”, „Apteka
dla tych, co apteki nie mają”, „Erasmus
Rotterdamus”, „Żywot Alexandra Wielkim
zwanego”.*

*Zdjąłem z półki książkę aptekarską, bo ta mi się
wydała najciekawsza, i przeglądałem Registr
Alfabetyczny, od litery A zaczynając: Apetyt
utracony przywrócić, Apetyt zbyt ni odpędzić,
Apetyt do kredy, gliny y innych obrzydliwości
uśmierzyć, Aphoryzmy o febrach, Apoplexyi iak się
ustrzedz, Balsam na ochłodzenie gorączki,*

Biegunki iak się pozbyć, Białychgłowie cierpienie opisane, Biszkokt na siłę przywrócenie...

W tym miejscu dostyszałem, że ktoś idzie. Upuściłem książkę, złapałem zawinięty papier i chciałem zemknąć. Zagroził mi drogę wielkolud

, niemłody już, siwy, ale szeroki w plecach i sięgający głową do pułapu. Gdzie mi się tam z nim równać! Pomyślałem sobie: „Już przepadłeś, mój Filipku!”.

Wielkolud zamknął drzwi, wyjął klucz z zamku i schował do kieszeni.

– Aha – powiedział – toś ty złodziej, co?

Nic nie odrzekłem. Wielkolud dosyć długo przyglądał mi się, a ja jemu. Potem siadł i skinął na mnie:

– No, jazda, ściągnij no mi buty.

Co miałem robić. Ściągnąłem mu buty i założyłem papucie. Rozparł się na stołku, sięgnął ręką do stołu po cybuch, z kieszeni wyjął mieszek z krawianą tabaką i kazał mi skrzesać ognia.

– Pokaż no, coś tam chciał ukraść.

Podał mi pakiet, który bez pośpiechu rozwijał. Kiedy zobaczył, że jest w nim tylko papier, spojrzał na mnie jak gdyby z gniewem i krzyknął:

– Głupiec jesteś, a nie złodziej! Toś się nie mógł dobrać do mojej skrzyni z chudobą?

Zauważył leżącą na ziemi książkę, kazał ją podnieść.

– Czytać umiesz?

– Umiem.

– A do czego był ci potrzebny ten papier? Tylko mów prawdę.

Milczałem, bo mi nogi zaczęły dygotać, a zęby dzwonić. Widząc moje skonfundowanie, wielkolud odezwał się łaskawiej:

– Po coś brał ten papier? Nie bój się, nie wydam cię Prusakom.

– Dobrodzieju – rzekłem – ten papier chciałem ukraść, bo jest gładki, niebieski, znać na nim żeberka i bardzo mi się spodobał. W Marywile sprzedają bibulasty, na którym trudno pisać; litery na drugą stronę przechodzą.

– Cóż ty piszesz?

– Ot tak, dobrodzieju, sam nie wiem. Co mi przyjdzie do głowy.

– Gdzie masz to pisanie?

– Tu, za pazuchą.

– Pokaż.

Wyjąłem moje zawiniątko, odgarnąłem szmatkę. Wielkolud sięgnął do kieszeni po okulary, wziął rękopismo i zaczął czytać. Od czasu od czasu bacznie spoglądał w moją stronę. Nagle zawołał:

¹ Jak wynika z dalszego opowiadania, był to ks. pijar Onufry Kopczyński, zasłużony pedagog, autor Gramatyki dla Szkół Narodowych.

– No, czego tak stoisz? Weź miotłę i zrób w izbie porządek!

Przez kilka dni nic nie pisałem. Roznosiłem po różnych domach „Nowy Pamiętnik Warszawski” pana Dmochowskiego

, o którym mówią, że greckie książki tłumaczy. I jeszcze mówią, że dawniej chadzał w sutannie, a potem się zeświecczył.

Obszedłem sto i czterdzieści jeden domów, z czego w trzydziestu ośmiu przypadkach nie chciano mi zapłacić. Pan Dmochowski tak się tym struł, że aż zmizerniał na twarzy. Następnej książki, powiada, już nie wydrukuje, tylko na wieś wyjedzie.

Ciągle teraz jestem uradowany, że może wygram domek na Przyryнку. Od tej uciechy ażem polubił pana Ludwika Dmuszewskiego. Tymi dniami ktoś napisał na niego wiersz i dał do druku. W Marywilu można ten wierszyk kupić.

Trochę tam pana Dmuszewskiego pochwalono, a trochę mu naurągano, że w komediach grając, słowa przekręca, że mówi nie to, co powinien, i czyni własne wstawki.

Zaraz się wydało, że wiersz napisał pan Alojzy Żółkowski, też komediant, co to zwykły wyglądać oknem z pierwszego piętra na Piwnej. Napisał nie ze złości, tylko dla facecji. Mimo to pan Dmuszewski miał do niego żal, co widząc, pan Bogusławski zaprowadził obu na poncz do Suchego Lasu i tam ich pogodził.

Przed kilku dniami Prusacy rozkleili po mieście publicandum, żeby każdy właściciel murowanego domu pouprzątał piwnicę, a sprzęty poprzenosił od ścian na sam środek, bo musi być luz do skrobania.

Dziś od wczesnego ranka Prusacy chodzą po piwnicach i zeskrobują saletrę. Ludzie mówią, że będzie wojna.

Kiedy tak stoję pod moją kolumną i spoglądam dokoła, widzę zielony dach pałacu Pod Blachą, widzę Krakowską Bramę, widzę znajome przekupki, chodzących ludzi, bawiące się dzieci, widzę gołębie i wróble, tylko Prusaków nie widzę, bo ich nie chcę widzieć.

Prusak ma buty podbite gwoździemi i rad hałas czyni. Słyszę go, spoglądam, a nie dostrzegam. Jakby to była mgła, tuman na oczach albo noc.

Jużeśmy się pouczali tak patrzeć, nie postrzegając. Nazbyt nam obmierzli.

Na Frecie mieszka pan Hoffmann, którego Amadeuszem zowią. Choć to Prusak jest, z naszymi trzyma i nasi go też lubią, a najwięcej malarze go lubią, muzykusi i komedianci.

Nieraz tak bywa, że kiedy oprowadzam przybylców po kafehauzach, widuję pana Hoffmanna, jak pije z panem Smuglewiczem albo z panem Bogusławskim. Rozgadani są, jedni drugim opowiadają różne żarty, a pan Hoffmann prześciga innych w picciu. Na kuchcika wciąż woła, żeby arak był tęgi a gorący.

Moje znajome przekupki bały się pierwiastkowo pana Hoffmanna, bo jest niby diabeł. Wszyscy mówią, że podobny. Nazywały go więc diabłem. Oswoivszy się z jego widokiem, nawet go polubiły i już mu nie złorzeczą.

Bo pan Hoffmann, choćby niemożliwie dużo wypił, nigdy nic nieprzystojnego nie uczyni. Taką ma już naturę.

Pod oknem pana Hoffmanna, na Frecie, przekupka Ruszczykowa miała stragan z nabiałem. Od czego nieraz harmider był i babskie plemię głośno się sprzeczało.

Pan Hoffmann, który w domu będąc, nigdy nie pije, tylko nuty pisze albo coś tam rysuje, poskarżył się na ten zgiełk przed panem Bogusławskim, który do Ruszczykowej poszedł.

Jak tam z nią gadał, nie wiem, ale w parę dni później Ruszczykowa przeniosła się o dwa domy dalej i pan Hoffmann ma teraz spokój.

Joachim Peters, bogaty piwowar z Leszna, chciał poślubić Barbarkę Hiżównę, córkę dzierżawcy stajen pocztowych na Trębackiej. Do czego przywdział strój polski i karabelę przypasał.

Ano, zebrali się ludzie przed wejściem do Świętej Anny, stoją i czekają. Wszystkim było wiadomo, że Barbarka, siedemnaście wiosen licząca, miłuje Pawełka Maya, syna kupca korzennego z Dunaju. Kiedy goście weselni tłoczyć się zaczęli, a narodu mrowie na to patrzyło, ktoś krzyknął: „Barbarko, bywaj!”.

Co usłyszawszy, panna młoda wianek z włosów wytargła, na ziemię rzuciła, potem nad spodziewanie wszelkie w ciżbę ludzką wbiegła, z nią się pomieszała.

Harmider był przed kościołem. Pan Peters, karabeli dobywszy, chciał pana Hiżę rąbać; precz odepchnięty, czeladników zwołał, pannę im pojmać przykazując. Ale narodu siła było, a czeladników pięciu.

Przez ten czas Barbarkę i Pawełka ludzie poćciwi do Krakowskiej Bramy zawiedli, gdzie ich pani Urszula Łazarewiczowa w swojej kwaterze schowała. A pan Peters, gniewem ogarnięty, po

ulicach hasał, grożąc spokojnym ludziom i wołając, że rodziną Mayów w pień powycina. Do kordygardy przywiedzion, tam zastał. Cyrulik krwi mu puścił.

Co będzie dalej, nie wiem.

Na Marywilu u pana Fryderyka Pfaffa, na Senatorskiej u pana Gaya i w innych księgarniach zaczęto sprzedawać książeczkę pod tytułem: „Szczęśliwy traf, czyli mniemane uleczenie trędowatego przez hrabiego de Lille, dla obalenia zabobonów y dla iasnego rzeczy przedstawienia tudzież dla ostrzeżenia przez Medycyny Doktora wyłożone, a dla łatwiejszego czytających pojęcia opisanie prawdziwego trądu zawieraiące”.

Kupiłem tę książeczkę, jako że była nad podziw tania, i zaraz przeczytałem. Uczony author pisze, że to nie był trąd, tylko róża, a wszystkim wiadomo, że róża jest choroba kapryśna i nigdy nie można zgadnąć, kiedy się skończy. Często tak bywa, że nawet najlepsze maście nie pomagają, a czasem od byle głupiego znachorstwa przechodzi. Wystarczy też nieraz, żeby jaka Baba Jaga pomamrotała; inna znów, jeżeli umie trzymać pióro w ręku, kładzie na różę papier, wypisze jakieś kulfony i spala nad świecą. Od takiego pisania róża też często znika.

Dalej author tłumaczy, że od przestachu i od silnej wiary humory w ludzkim ciele zaczynają

inaczej cyrkulować, co sprawia, że różne wrzody, fistuły i opuchliny raptem znikają i to jest z Naturą w zgodzie. Nie hrabia de Lille wyleczył chorego chłopaka, jeno ufność go wyleczyła; bo niechby chłopak poszedł z mocną wiarą do pospolitej znachorki, też by wyzdrowiał.

Ta książeczka wyszła dwujęzycznie, na wstępie po francusku i dalej po polsku, słowo w słowo wiernie przetłumaczona. Nie podano nazwiska doktora, co to napisał, ani adresu drukarni.

Przekupki dziś opowiadały, że między rodziną Mayów a rodziną Hiżów nie ma już waśni. Pan Hiż zgodził się wydać Barbarkę za Pawełka. A pan Peters, który na koszu został, zamknął się w browarze i jest smutny.

Doktorowie warszawscy nie są kontenci z książeczki o szczęśliwym trafie, czyli mniemanym uleczeniu. Mówią, że w niej pochwalono znachorstwo jako skuteczniejsze od prawdziwej sztuki lekarskiej.

Wszystko to, powiadają, wymyślił i napisał doktor Roemer, za co go pan Gallon-Boyer suto wynagrodził.

Coraz trudniej przedostać się z Warszawy do legionów polskich we włoskiej ziemi. Austriacy, choć ścierpieć nie mogą Prusaków, nie przepuszczają naszych na tamtą stronę.

Wczoraj przywieziono do Warszawy na wozie dwu młodzieniaszków: jednego ucznia z konwiktum pijarskiego i jednego z liceum. Żal było patrzeć.

Com się dowiedział, że mieli chęć uciec do Galicji, skąd zamierzali z pomocą boską iść dalej. Minęli szczęśliwie Pragę, Grochów, doszli do Otwocka i tam się natknęli na austriackiego żandarma¹

, który im kazał zawracać. Ano, byli posłuszni na własne nieszczęście i w powrotnej drodze dostali się w ręce Prusaków.

Niewiasty warszawskie, a osobliwie przekupki, zbiegły się na ten widok, z czym która mogła; ta bułkę, ta kielbasę przynosi, ta garnuszek piwa podaje. Feldfebel precz je poodpędzał.

Słyszałem, że na podwieczery ksiązę Józef do Kamery Pruskiej jeździł i z hrabią von Hoym rozmawiał; zali co wskórał, nie wiem.

Ci dwaj, co to szeptać lubią, przywieźli wczoraj do Coulona ciężką skrzynkę, na której odczytałem napis „Marie Brisard, Bordeaux”.

W skrzynce było pół setki kwartowych butelek z wódką, która się zowie Anisette. Coulonowa zniosła je do piwnicy.

Dziś od samego rana przychodzą do karczmy różne Francuzy, nawet labusie i królewscy oficerowie z domu Wasilewskiego. Wołają na prześcigi: „Anisette! Anisette!”. Coulonowa tylko napełnia kieliszki i pieniądze zgarnia.

Nad podziw prędko rozeszła się między Francuzami nowina, że w Coulonowej karczmie można się napić prawdziwej wódki francuskiej. Ja też odżałowałem grosza i wypilem kieliszek. Gorzałka dobra jest, trzeba przyznać, słodka, mocna i pachnie jak kadzidło.

Po południu przyszedł się napić zakonnik jeden z miasta Szaturu

, a ponieważ jako trapiście mowy ludzkiej używać mu nie wolno, potrząsał na wszystko dzwoneczkiem, ze szyi zwisającym. Jak Coulonowa nalata, podniósł kieliszek, spojrzał pod światło, powąchał, umaczał usta, mlasnął jęzorem i zaraz się rozplątał.

Pytam go po francusku: „Mój ojcie, czemu to płaczecie?”, a on nic, tylko dzwoneczkiem potrząsa.

¹ Granica ówczesnej Galicji przebiegała tuż za Grochowem.

¹ Trudno zgadnąć, o jakim mieście tu mowa. Może Chateauroux w departamencie l'Indre?

ROZDZIAŁ IV

*Co postanowił dobrodziej. – Loteria w pałacu
Pod Blachą. – Niewygodny zegar pana Gerlacha. –
Filipek wędruje do Łazienek. – Spotkanie pod
polną gruszą. – Rozrzucone książeczki. – Dzibuła,
gdzie twoja ruła? – Francuzi złorzeczą Wobance. –
Grzmiące trąby na wieży. – Dobrodziej chwali
Filipkowe pisanie. – Hrabia de Lille w Białym
Domku. – Gecel i jego książki. – Pani Linde ma
kłopot z mężem. – Parada zielonych fraków. –
Szlachcic wyrwizębem. – Pan de Keralie odwiedza
karczmę Coulona. – Pomruki wojny.*

*Papieru mam teraz dość, ile dusza zapragnie.
Gładki, żeberkowy, niebieski jak niezapominajka.
Ten pakiet, com chciał ukraść w pijarskiej
drukarni, dobrodziej sam zawinął i kazał zabrać.
Dał mi go. Mieliśmy jeszcze rozmowę, o czym
napiszę inną razą, bo teraz muszę już biec pod
kolumnę. Tyle tylko tu powiem, że odtąd co piątek
mam chodzić do drukarni i uprzętać stancję
dobrodzieja. Tak postanowił sam dobrodziej.*

Duchota wielka w Warszawie i gorączka, słońce piecze i ani jednej chmurki nie widać. Od tego skwaru ludzie słabną i dopiero wieczorem sił im przybywa. Kto ma konie, ten wyjeżdża za miasto.

Uciekając przed spiekotą, ludzie wędrują na Fawory albo na Wole, do ogrodów z kawą, muzyką i kręglami. Inni jadą do lasu na Czyste, gdzie jest staw i można łódki najmować. Są i tacy, co nabrawszy do sakwy wiwendy wszelakiej, jadą odpoczywać nad Wisłę wedle Polkowej Góry. Ale najwięcej widzi się powozów i karet na Nowym Świecie, jak wiozą gości na sławną wiejską kawę pod Ujazdowem

A ja nic, tylko siedzę w cieniu kolumny, czasem książeczyny czytam, czasem gawędzę z przechodniami.

Kiedy taka gorączka na świat ze słońca spadnie, zaraz mniej ludzi podróżuje pocztą, od czego i moje zarobki stają się skromniejsze.

Wobanka, która nawet w upał boi się wyjść z komnaty, żeby nie zasłabnąć od ostrości powietrza, urządziła w pałacu loterię dobroczynną.

Zapowiedziała, że dochód ma iść na ubogich Francuzów.

Ponieważ w ten dzień wejście do pałacu było otwarte dla każdego, kto miał pieniądze na kupno choćby jednego losu, mieszczaństwa siła się tam zebrała, także pospolitej szlachty podmiejskiej i co bogatszych rzemieślników. Chcieli z bliska zobaczyć Wobankę, o której opowiadają, że jest księciu przez siostrę Tyszkiewiczową podstawiona.

Inni znów mówią, aż trwoga powtarzać, że pani Tyszkiewiczowa jest z austriackim dworem związana i że ją tu pan Metternich przysłał do pilnowania księcia Józefa. Żeby w razie wojny na stronę Bonapartego nie przeszedł i Polaków za sobą nie pociągnął.

Nie moja rzecz w to się mieszać. W pałacu nie byłem i na loterii nie grałem. Jeżeli mam szczęście – wolę wygrać domek na Przyryнку.

O tej loterii, co Wobanka zrobiła, dużo mi opowiadał Kerner, który po pałacu chodzi niby po własnej chatupie, bo w wojnie z Turkami księciu życie ocalił.

Kerner mówi, że jedna panna mieszczańskiego rodu wygrała ptaszka srebrnego misternej roboty, spodkiem złoczonego, a z wierzchu nakrapianego turkusikami. Wobanka do niej: „Ostawcie mi, mościa panno, ten klejnocik aż do końca zabawy, żeby goście chętniej losy kupowali”. Panna się zgodziła.

¹ Do dworku, w którym podawano znakomitą kawę. Znajdował się tam, gdzie jest obecnie Sejm.

Po zabawie lokaje zaczęli świece gasić. Panna, co ptaszka wygrała, biega po wszystkich komnatach, do kątów zagląda, Wobanki nie może znaleźć. Strapiona wielce pyta jednego z tamecznych kawalerów, a ten jej odpowiada, że madame de Vauban zmęczyła się gości witaniem i już od godziny leży w łóżku.

W ten sposób panna została bez ptaszka.

Pan Gerlach, bogaty stolarz z Senatorskiej, wygrał na loterii pod Blachą cudacki zegar piaskowy, od którego nie wolno odejść, co piętnaście minut trzeba go dnem do góry wywracać.

Bardzo przez to pan Gerlach był markotny, aż wreszcie ulitował się nad nim profesor Magier i tanio zegar odkupił.

Rodzina francuskich chłopów, co z trędowatym młodziakiem do Warszawy zjechała, zamówiła na ostatnią niedzielę nabożeństwo dziękczynne w kościele za Łazienkami. Byłem tam i ja, choć to daleko, żeby chłopaka na własne oczy obejrzeć, bo ludzie mówią, że już całkiem wyzdrowiał i że nawet blizn na nim nie znać.

Nie mając koni, wstałem o piątej rano i wybrałem się pieszo z Coulonem, bo on też był

ciekaw. Takeśmy szli przez Krakowskie Przedmieście, Nowym Światem i przez plac Trzech Krzyży, gdzie tylko dwa krzyże stoją, a trzeci krzyż dzierży w dłoni święty Jan Nepomucen.

Za placem są już puste pola, tylko na lewo, idąc od miasta, stoi dom murowany, Pod Karczochem go zowią, bo tam ogrodnik mieszka. Musi to być bogaty ogrodnik, skoro sobie na dachu konduktora

postawił.

W ostatnich latach za sprawą pana Magiera te konduktory wielce się w Warszawie rozpleniły, są teraz alamedy i można je oglądać na szczytach co wyższych domów, nawet na kościołach i dzwonnicach. Tylko braciszkanie od Świętego Marcina byli temu przeciwni i ostrzegali z ambony, że to grzech, że to jest wyzwanie woli boskiej rzucone. Przez pijarów skarceni, zamilkli.

Za murowanym domem na drodze Łazienkowskiej są po drugiej stronie sławne sady pana Bandurowskiego, który dostarcza do Warszawy najlepszych owoców. Dalej są, aż do wilanowskiego gościńca, folwarki i pola uprawne, to znów małe pólka z warzywami i dużo dzikich gruszy.

Pod jedną taką gruszą, niedaleko od drogi, zasiedliśmy z Coulonem, żeby zjeść śniadanie, które nam dała Coulonowa. Patrzymy, a tu idą ci

dwaj, co to szeptać lubią i co przed kilku dniami przywieźli do karczmy skrzynię anizetki francuskiej. Jak nas zobaczyli, zaraz się przysiedli. Jeden wyjął z kieszeni flaszkę likworu i takeśmy ją, podając sobie z ręki do ręki, z ochotą wypili.

Potem drugi Francuz wydobył z zanadrza chyba ze sto albo i więcej książeczek, o których już pisałem i które się nazywają „Szczęśliwy traf, czyli mniemane uleczenie trędowatego przez hrabiego de Lille”. Potrząsnął nimi i zaczął namawiać Coulona, żeby te książeczki porozdawał ludziom przed kościołem.

Coulon nie był do tego prędko i na różne sposoby zaczął się wymawiać. Wreszcie rzekł:

– Zważcie, moi panowie, że w kościele będą dworzanie królewscy, a z nich każdy ma kijek i to najczęściej dość gruby. Nie byłoby mi przyjemnie, a i mojemu handlowi nie bardzo by pomogło, gdyby te kije spadły na moje plecy.

– Coulon ma słuszność – odezwał się Francuz, który nas potraktował likierem. – Mały z tego zysk, a niewygodą byłaby duża.

Pożegnali się z nami i odeszli. Trochę mnie korciło, żeby wypytać Coulona o tych jakobinów, ale ugryzłem się w język. Coś mi się widzi, że sprawa jest nieczysta.

W kościele hrabia de Lille i wyleczony niedolatek klęczeli społem przez całą mszę przed ołtarzem. Spowiednik hrabiego, ksiądz de Firmont,

miął kazanie o świętym Ludwiku uzdrowicielu. Narodów polskiego i francuskiego było w kościele dwa razy więcej niż mogło się zmieścić, przez co połowa musiała stać pod gołym niebem.

Kiedyśmy wyszli z kościoła, zauważyłem porozrzucane w różnych miejscach książeczki „Szczęśliwy traf”. Ludzie podnosili i pokazywali jedni drugim. Łatwo się domyśliłem, czyje to ręce rozrzuciły.

Pisałem kiedyś o doktorze Dubois, pospolicie Dzibułą zwanym, który na Zapiecku ptaszki kupuje, niesie na Rynek i tam je wypuszcza.

Dzibuła jest już Polak, ale jego ojciec, który z Paryża do Warszawy przyjechał, był Francuz okrutnej herezji hołdujący. Ta herezja, jansenizmem zwana

, uchodzi za gorszą od luterskiej i od kalwińskiej, a nawet, jakem o tym słyszał na kazaniu u Świętego Marcina, gorsza jest od tureckiej wiary.

Przekupki mówią, że odkąd mogą spałować, Dzibuła rzadko w kościele bywa, chyba że na nabożeństwie ze śpiewem i muzyką. Z czego wnoszę, że choć i nie nabożny, ale nie całkiem heretyk.

Tak się wczoraj złożyło, kiedym do karczmy wracał, że Dzibuła musiałem przyjść w sukurs, bo go obstała zgraja młodzieniaszków, a każdy chciał mu ptaszka odebrać.

Dzibuła bronił się, jak mógł, ale rady by nie dał, gdyby nie moja pomoc. Wytargałem jednego chłopaczka za uszy, drugiemu dałem po karku, reszta przysła.

– Wybawicielu ty mój – zawołał Dzibuła – skądżeś ty się tu wziął i jakże cię za to wynagrodzę?

– Toć waszmość mnie znacie – powiadam – pod kolumną stoję. A co do reszty, to pozwólcie mi wespół z wami tego ptaszka wypuścić. Niech ćwierka na chwałę bożą.

Czyżyk śmignął prosto nad ratusz i poleciał w kierunku Nowego Miasta.

– Jakbyś kiedy chorował – rzekł na pożegnanie Dzibuła – to darmo cię będę leczył.

Aż dziw, że wszyscy doktorowie, co którego spotkam, gwałtem chcieliby mnie leczyć. Może przez to, że taki zdrow i czerstwy, i rumiany na twarzy. Może to ich gniewa? Ano, toć jasne, takich nie lubią.

Dzibuła dlatego ma kłopot z chłopętami i nie może ich ścigać, bo latem i zimą nosi czarny płaszcz, w który jest zawinięty i który mu się między nogami płacze. Przez co musi powolutku i z dostojeństwem chodzić. W ręku trzyma zwykle kijek

ze srebrną skuwką do odpędzania natarczywych pacholąt, które na niego wołają:

– Dzibuła, gdzie twoja ruła?

A to dlatego, że Dzibuła czasem niesie pod pachą miedzianą sikawkę do robienia tylnej medycyny.

Nie ubliżając nikomu, Dzibuła wygląda całkiem cudacznie. Na głowie ma wysoką perukę z końskiego włosa z długimi kędziorami, które mu spadają na ramiona. Płaski kapelusz trzyma w ręku, a w skwar wachluje się nim dla ochłody. Jest bardzo dumny, z innymi doktorami w niezgodzie żyje i przy spotkaniu spogląda w niebo, udając, że ich nie dostrzegł.

W kościele ojców kapucynów na Miodowej odczytano zapowiedź rychłego ślubu Pawełka Maya z Barbarką Hiżówną.

Plugawymi słowami, które na piśmie powtarzać się brzydzą, złorzeczyli wczoraj Wobance goście u Coulona. Mówili, że żadnego obliczenia z loterii nie przedstawiła, że zagarnęła pieniądze i tylko część oddała na ubogich Francuzów.

Już drugi raz Wobanka dobroczynnością się trudzi. Zeszłego lata też się tak zrecznie z kasą

uwineła, że nic jej nie można było zarzucić. Jeszcze podziękowania przyjmowała.

Hrabia de Lille, kiedy się przed nim Francuzi poskarżyli, odpowiedział, że nie chce się do tego mieszać, gdyż uważa panią Vauban za ladaco.

Jakieś, widać, święto wypadło wczoraj u ojców augustianów, bo do późnego wieczora siedzieli na drewnianej wieży Świętego Marcina, grając na trąbach i kottach.

Mieszkańcom ulicy Piwnej i sąsiednich ulic bardzo się ta muzyka podobała; mnie także. Alem widział, stojąc pod kolumną, jak pan Amadeusz Hofmann uciekał od tego trąbienia. Zatkawszy uszy, wołał do drugiego pana: „Szreklich! Szreklich!”.

W kościele Świętego Marcina od ulicy Piwnej są w ścianie cztery nisze. W trzech stoją figury świętych pańskich, a czwarta jest pusta.

Inne zakony, które nie lubią augustianów, opowiadają o tej czwartej niszy, że przygotowano ją dla Lutra, który pono z ich się wywodzi plemienia. Ja tam się na tym nie znam i tylko zapisuję, co ludzie na mieście mówią.

Już trzeci raz w piątek, po tamtym pierwszym i drugim piątku, odwiedziłem księdza dobrodzieja w

pijarskiej drukarni. Zamiotłem mu stancję, wysypałem piaskiem wiślanym, ze ścian pozdejmowałem pajęczyny, precz przepędziłem muchy i ze studni wody naniostałem.

Teraz wszystko, co zdążę napisać, dobrodziejowi oddaję. Zawszeć to lepiej, niżli w zanadrzu nosić.

– Litery stawiasz koślawo – rzekł dobrodziej – ale masz niezwykłą łatwość w pisaniu. Gdzieżeś ty się uczył?

– Za kalefaktora u ojców bartoszków byłem – powiadam.

– Toś się niewiele tam mógł nauczyć.

– Ano, drwa rąbałem, paliłem w piecach, na posyłki biegałem, a jak się zdarzyła wolna chwila, tom lekcji słuchał.

– Alwaryś się uczył?

– Przez tę alwarę, dobrodzieju, precz sobie odszedłem, bo mi nie szła do głowy. Od tego czasu sam się uczę i co dzień książki czytam.

– Skąd bierzesz książki?

– Za miesięczną opłatą od pana Pfaffa w Marywilu.

Pochwalił mnie dobrodziej, do czytania zachęcał i rzekł na ostatek, iżbym się wystrzegał nabożnych książek drukowanych w Supraślu, bo są pisane najgorszym językiem.

Trocha się dziś spóźniłem do pana Lindego i dzięki temu widziałem gniew uczonych mężów. Profesorowie liceum, a było ich trzech, mieli na sobie togi granatowe kitajką podszyte. Jeden potrząsał otwartym listem i mówił, że od jakiegoś Flogistona

ani na krok nie ustąpi. Drugi profesor Flogistonowi ubliżał, a trzeci tamtych godził. I tak sobie samotrzeć gorzkie czynili wymówki.

Tylem mógł wymiarkować, że nie Flogiston pisał ten list, jeno pan Andrzej Śniadecki. Tyle mnie to obchodzi, co zeszłoroczna zima.

Długo dziś spałem po nocy świętojańskiej, bo nad Wisłą była zabawa aż do świtu. Wszystko się odbyło składnie jak i za lat poprzednich. Retmani pozapalali na wybrzeżu beczki ze smołą, na mieliznach rozniecili ogniska. Panny puszczały wianki na wodę ze świeczkami, kawalerowie starali się te wianki chwytać, z czego sobie wróżby co do ożenku czyniono.

Jeden pan, nazwiska jego nie znam, przywiódł nad Wisłę psa do łowienia dzikich kaczek ułożonego. Ku wesoleści powszechnej kazał temu psu do wody skakać i wianki wylawiać, przez co

¹ Flogiston, fluid uniwersalny, według chemików starej szkoły miał przenikać całą materię.

niejedna panna swój wianek po dwa i trzy razy puszczała. O tych mówiono, że tyluż mężów znajdują.

Dużo się ludzi łodziami na Saską Kępę przeprawiało, gdzie też była uciecha aż do rana. Tam w gospodzie Pod Dębem wynikło jakieś niezrozumienie; cyrulika na gwałt wzywano.

Panie i panowie z pałacu Pod Blachą też się zabawiali wiankami, a rej wodziła pani Tyszkiewiczowa, niemłoda już i koścista. O której mówią, że ma szklane oko i że jeździła po to oko aż do Wenecji, bo tylko tam są w tym kunszcie majstrowie.

Chciałem jej się trocha przyjrzeć z bliska i zobaczyć, czyli tym okiem porusza w różne strony, ale noc była ciemna, przy łuczywach trudno było dojrzeć i lokaj mnie odpędził.

Dziś u Coulona opowiadali Francuzi, że hrabia de Lille także miał chętkę popatrzeć na wianki. Była nawet narada, żeby założyć konie do karety i jechać nad Wisłę. Sprzeciwił się temu spowiednik hrabiego, ksiądz de Firmont, który orzekł, że czasy są niepewne, a do Warszawy najechało z Paryża zbyt wielu jakobinów; mogliby więc zrobić hrabiemu jaki dyshonor.

Z tego, co widzę i słyszę, zaczynam rozumieć, że hrabia lęka się spotkania z panem Gallon-Boyerem i dlatego nie opuszcza Łazienek. Mieszka tam w

Białym Domku, a z nim żona i różni dworzanie, wśród których są najważniejsi książę Danguleń i księżna, baron de Milleville i spowiednik. Wejścia do parku pilnują francuscy oficerowie, strzegą też parkanów, żeby się tam kto obcy chyłkiem nie przekradł.

Mój gospodarz Coulon ma wolny wstęp do Łazienek, bo przedtem przez krótki czas był za lokaja u pana de Milleville; wszystkich więc zna. Prócz tego Coulon przyjaźni się z kucharzem hrabiego de Lille. Kiedy był tam ostatni raz, przed tygodniem, przyniósł do domu połówkę jédora, któregośmy we trójkę zjedli.

Dziś niedziela. Ledwom zdążył mszy świętej wysłuchać, jużem musiał biec do pana Lindego i razemeśmy poszli na Mariensztat. Aż do południa nurzałem się w pyle i prochu, zdejmując, podając i układając książki.

Na Mariensztacie róg Źródlanej stoi wąski domek, którego pierwsze piętro złożone z trzech stancji zajmuje księgarz Gecel. Jużem o nim dość słyszał od uczniów z konwiktów, że dziwak jest i że głośno rozmawia ze swoimi książkami. Ma takie książki, do których gada, jakby żyły, gładzi je po grzbiecie, poklepuje. „Ty sobie leż – mówi – nie dam ci krzywdy zrobić”.

Gecel – jak powiadają ludzie – jest najstarszym synem bogatego kupca z Marywilu, który tam handel ma. Podobno ojciec uczył go kupczenia norymberskimi towarami i chciał zrobić swoim spadkobiercą. Ale coś się Gecelowi w głowie pomieszało, bo raptem powiedział, że mierzi go norymberszczyzna i woli handlować książkami.

Od czego w rodzinie lament był, a wśród marywilskich kupców gniew i oburzenie; bo uważali książki chrześcijańskie a w szczególności ryciny, za towar niemiły Bogu.

Od wszystkich opuszczony, z domu wypędzony Gecel przez kilka lat nie miał własnego handlu. Stał zwykle z koszykiem pełnym książek na ulicy Długiej przed wejściem do konwiktów albo dla odmiany przed drugim wejściem od ulicy Miodowej i bez przestanku wołał: „Książki kupuję, książki sprzedaję, książki, książki!”.

Tak się tego wołania nauczył, że potem, kiedy szedł zwyczajnie ulicą, nawet bez książek, w kółko to samo powtarzał: „Książki, książki...”.

Uczniowie konwiktorscy lubili Gecla, bo się najlepiej znał na książkach szkolnych i nigdy nie sprzedał z brakującymi kartkami. Biedniejszym dał czasem bez pieniędzy, na borg, na słowo honoru, a wszystko pamiętał, kto i ile mu winien, choć żadnych zapisków nie prowadził. Sprzedawał też tanio dobry papier do pisania i pęczki struganych piór.

Jakem już wspomniał, siedzieliśmy dzisiaj, w niedzielę, z panem Linde u Gecla do obiadu, wybierając różne stare książki, między którymi były też ręcznie pisane.

Pan Linde ma krótki wzrok i kiedy czyta, to prawie nosem po papierze wodzi. Przez te kilka godzin siła się naoglądał książek, któremu z półek podawał, a że je wywracał na wszystkie strony, narobił pyłu jak we młynie. Sam był też więcej do młynarza podobny niżli do profesora.

W południe przybiegła żona pana Lindego i, widząc, że mąż jest w śmieciu unurzany, ręce załamała. Ale, choć się głośno skarżyła na los, ani profesor, ani Gecel nie chcieli jej słuchać i nie przerwali zajęcia; książki przerzucając, jeszcze większej kurzawy narobili.

Mówił czeladnik od pana Sebastiana Twardowskiego, który jest starszy cechu krawców, że wszyscy kawalerowie z pałacu Pod Blachą pozamawiali sobie fraki jednolite, zielone z żółtą podszewką, czarnym kołnierzem i złotymi guzami, na których ma być wryty konik i napis „Iabłonna”. Do tych fraków będą spodnie papuzie, kamizelka paliowa, pończochy po kolana, trzewiki ze sprzączkami.

Ponieważ pan Twardowski nie dałby rady zamówieniu, porozdawał fraki do szycia innym

krawcom, sam jednak skroił i nad wszystkim ma czuwać.

Sukno ciemnozielone jest najdroższe, dostarczane przez przemysłników z Galicji, a wyrabiane na Morawach. W królestwie pruskim nikt tak pięknego utkać by nie umiał.

Jeszcze mi mówił czeladnik, że kawalerowie spod Blachy zawarowali sobie te fraki, zielone z żółtą podszewką. I teraz grożą, iż gdyby się kto ośmielił podobny frak zamówić, to mu wyzwanie zrobią i na Rajszuli szablami potną.

Mieszka w Warszawie szlachcic jeden francuski, pan de Keralie, który jest wicehrabia i długo w wojsku służył. Zjechał do nas razem z hrabią de Lille. Przez pierwsze miesiące żył z pieniędzy, co ze sobą przywiózł. Kiedy pieniędzy zabrakło, zaczął się wyprzedawać z chudoby, a wicehrabina zarabiała szyciem.

Wiem od Francuzów, że pan de Keralie był zawsze bardzo dumny; nie chciał też przyjmować od hrabiego de Lille żadnego wsparcia. I tak żona szyła, mąż szukał zarobku, a dzieci wołały jeść.

Aż tu jednego ranka wicehrabiemu coś strzeliło do głowy. Odwiedził stolarza, wybrał dębową deskę na dwie stopy długości i stopę szerokości, w tej desce wyświdrował coś ze trzydzieści dziurek i tyleż nastrugał kliników, też z dębiny.

Od tego dnia pan de Keralie nic nie robił, tylko przez cały dzień wtykał te kołki w deskę i wyciągał je potem dwoma palcami. I tak coraz mocniej je wtykał, aż sobie zrobił drewniany młotek i stukał w kołki, żeby twardo siedziały.

O tym dziwactwie Francuza zaczęto głośno mówić. Dowiedział się też hrabia de Lille i, niepokojem tknięty, wysłał na zwiady pana Frułę

, upoważniwszy go do zaznaczenia, że może być pożyczka na opędzenie biedy.

Kiedy pan Fruła przyszedł do pana de Keralie, zastał go nad deseczką, jak wtykał kołki popuchniętymi palcami. O czym rozmawiali, nikt nie wie. Jedno jest pewne, że wicehrabia nie przyjął pożyczki i jeszcze dość długo tak się kołkami zabawiał.

Nagle, a było to chyba z pół roku temu, rozeszła się po mieście nowina, że pan de Keralie rwie zęby bez żadnych cęgów, bez lewarka i innego żelastwa, że rwie gołymi palcami. Od czego ból jest mniejszy i w kościach nie łupie.

Przez samą ciekawość ludzie poniekąd, co na zęby cierpieli, zaczęli przychodzić do pana de Keralie i bardzo go sobie chwalili.

Raz przyszedł pan Zachariasz Peszkiewicz, szewc bogaty, co to olejne obrazy skupuje i z

malarzami chętny jest popić. Snadź mu ból wielce dokuczał, bo po wyrwaniu zęba, uciechą ogarnięty, uszył i ofiarował panu de Keralie parę nad podziw pięknych butów.

Od tej pory skończyła się bieda w rodzinie. Chętni do rwania zębów codziennie przychodzą. Tylko szlachta francuska krzywo się na to patrzy, boć wiadomo, cyrulickie zajęcie podłe jest i panu de Keralie nie przystoi.

Tylem się o panu de Keralie rozpisał, aż mi się żal zrobiło papieru. A nie skąpże kartek, mój Filipku, bo przez to pisanie jaśniejsze się wyda wszystko, co wczoraj zaszło w waszej karczmie.

Jużesmy targ skończyli, Coulonowa zamkła drzwi od ulicy, zrobiła z mężem obliczenie kredą na szynkwasiu i zaczęła się krzątać przed spaniem. Aż tu słyszymy, że ktoś kołacze ode dwora i nawołuje, żeby go wpuścić.

Coulon, kiedy ten głos posłyszal, skoczył ku drzwiom, otworzył i stanął wyprostowany. Do izby wszedł wysoki mąż, bardzo widać krzepki. Miał na głowie staromodny kapelusz, a w ręku latarkę. Podniósł ją, zaświecił Coulonowi w oczy i spytał po francusku:

– Poznajesz mnie?

– Tak, mój poruczniku.

– Nie spodziewałeś się wizyty?

¹ Możemy tylko zgadywać, że autor wymienia tu jednego z dworzan, p. Fleury.

– Ani mi przez myśl nie przeszło, że pan porucznik raczy do mojej karczmy zawitać.

Przez chwilę milczeli. Potem gość, a był nim, jak się dowiedziałem, pan de Keralie, tak przemówił:

– Słuchaj uważnie, Coulon, zaczynasz mi się nie podobać. Wiem, że handlujesz gorzałką z Bordeaux. Skąd ją dostajesz?

– Od francuskich kupców.

– Coulon, to nie są kupcy.

Nastąpiła cisza, tylko drzwi lekko skrzypnęły, bo Coulonowa przez ciekawość kobiecą lubiła podstuchiwać, a wejść do izby się bała.

Gość podszedł do szynkwasu, zdjął z półki butelkę anizetki, przysunął latarkę i czytał, co tam napisane. Potem zwrócił się do Coulona:

– Już raz cię uratowałem, pamiętasz?

– Tak, mój poruczniku.

– Jesteś na złej drodze. Nie spodziewaj się mojej pomocy.

Ludzie mówią, że będzie wojna, że rychło się skończy pruskie panowanie. Z Warszawy dużo młodych pouciekało do legionów. Różnymi drogami przedostali się na tamtą stronę i już są w lombardzkiej ziemi, skąd teraz listy pisują.

Z boską pomocą, jeżeli Prusak nie złapie, wszędzie dojechać można.

ROZDZIAŁ V

Okienko hrabiego de Lille. – Pan Petyskus dodaje wiary Filipkowi. – Proroctwo o kłesce Prusaków. – Pracownia profesora Magiera. – Barometr i róża wiatrów. – Dwaj mędracy w augustiańskiej niewoli. – Kotwica ich znakiem. – Bal dziadowski pod Powązkami. – Niepokój w mieście. – Browar i pułk huzarów. – Car Aleksander w Berlinie. – Powabna panna Pitiat. – Coś niecoś o Coulonie. – Pochwała opery. – Zbójcy na Nowym Świecie. – Napoleon nie czekał. – Ciężki grzech aptekarza, który fałszował syrop dla suchotników.

Żal mi słońca, że stało się blade i zimne, żal mi lata, które minęło, żal boćków, co miały gniazdo na Faworach i gdzieś odleciały.

W życiu moim tyle się tylko zmieniło, żem przywdział barani kożuszek, krótki, do kolan, żeby chodzić nie przeszkadzał.

Stoję jak zwykle pod kolumną, witam karetki pocztowe, biegam z listami pana Lindego i często bywam na Mariensztacie u Gecla, który przeze

mnie rozsyła książki do różnych godnych osób, a jak grzecznie poproszę, to mi pozwala je czytać.

Hrabia de Lille już wrócił z Łazienek do Warszawy i mieszka w pałacu Kazanowskich na Krakowskim Przedmieściu. Pałac przytyka do kościoła klarysek.

Ponieważ kiedyś córki jakiegoś tam króla francuskiego zrobiły dla klasztoru zapis¹

, siostry klaryski, chcąc się teraz odwdziaczyć, przebiły okienko w ścianie kościoła i hrabia de Lille ma wygodę, bo może codziennie słuchać mszy świętej, nie wychodząc z mieszkania.

Byłem w tym kościele zeszłej niedzieli i widziałem głowę hrabiego w okienku z firankami. Włosy miał bogato upudrowane i wyłupiaste oczy. Z książki się modlił.

Splaciłem już wszystko, co się należało za bilet, i teraz mogę wygrać domek na Przyryнку.

Kiedy zaniósłem ostatnią złotówkę, pan bankier Petyskus wypisał mi kwit na stemplowanym papierze i kazał jeszcze dopłacić dwa i pół gutengrosza za to, że tam był wyciśnięty pruski gawron.

¹ Zapis zrobiły córki Ludwika XV i Marii Leszczyńskiej. Wybaczmy autorowi jego symplicystyczny sposób ujmowania tematów.

Grzeczny człowiek ten pan Petyskus. Życzył mi dobrej szansy i zapewniał, że według jego rozumienia, nikt inny tylko ja powinienem wygrać domek na Przyryнку.

Wtedy go zapytałem, dlaczego nie robi losowania, bo bardzo mi pilno i chciałbym już mieć ten domek. Rzekł na to, że pan Dmuszewski jeszcze wszystkich losów nie sprzedał, ale jak sprzeda

, to zwoła tych, co kupili losy, i w przytomności rejenta odbędzie się ciągnienie.

Któregoś dnia deszcz padał i brudne chmury nisko pełzały nad dachem Świętej Anny. Przechodnie gdzieś się pochowali, ja też się schowałem w Krakowskiej Bramie, siadłem na skrzynce i takem słuchał, co mówią przekupki.

Gadania było więcej niż kiedy indziej, bo właśnie się pokazało w Warszawie nowe proroctwo i krążyło z ręki do ręki. Kto umiał pisać, ten przepisywał i dawał innym do czytania, żeby obeszło całe miasto. Niektóre przekupki pouczyły się na pamięć, bo wiersz jest bardzo piękny i tak się zaczyna:

Niech nikt nie wątpi o prawdzie tych słów,

¹ *W latach okupacji pruskiej ceny nieruchomości warszawskich spadły do jednej piątej i o nabywców było bardzo trudno. Relacja Filipka o perypetiach z domkiem na Przyryнку jest ścisła.*

*Ktore obiawił Przenayświętszy Duch
Iedney panience w zakonney sukience,
Że rychło woyna y że zczezną Niemce.*

Odkąd stoję pod kolumną, dużo już było takich przepowiedni i nie sprawdziła się ani jedna. Ale ludziska wierzą.

Pan Magier wzywał mnie wczoraj, żebym mu naprawił schodki na dachu. Jakem tam wszedł, tom myślał, że widzę przed sobą gołębnik. Ale pan Magier nie trzyma gołębi, tylko sobie ustawił na dachu małą budkę do mierzenia siły i kierunku wiatrów wiejących nad Warszawą.

Do budki wchodzi się ze strychu po wąskich schodkach z jedną tylko poręczą. W budce jest kompas, czyli okrągłe puzdro z upartą strzałą, która się obraca zawsze na północ, inaczej nie chce. Są tam też i inne instrumenta fizyczne, jakaś róża wiatrów i rurka grubości słomki do mierzenia ciepła w atmosferze, którą pan Magier sam zmajstrował. Bardzo to jest ciekawe i niezrozumiałe.

Kiedym naprawił schodki, pan Magier wziął mnie do swojej partykularnej stancji i tam pokazał inną szklaną rurę, grubą na dwa palce, a długą ze cztery stopy, która w garnuszku z żywym srebrem stojąc, w sobie też żywe srebro miała.

Ta rura, mówił pan Magier, zowie się barometer i pokazuje tęgość powietrza. Jeszcze dużo o niej opowiadał, ale powtórzyć nie potrafię. Zrozumiałem tylko, że sam tę rurę zrobił i bardzo ją sobie chwali.

Pan Magier, jak o tym wszyscy wiedzą, mierzy codziennie różne atmosfery, potem oblicza i wypisuje Anons Pogody, który nakleja na ścianie swego domu. Kto chce wiedzieć, jaka będzie jutro pogoda, ten idzie na Piwną i czyta.

Odkąd pamięcią sięgam, zawsze tak było. Naród warszawski z tym się zżył i już nikogo to nie dziwi. Ale przed laty, kiedy pan Magier zaczął naklejać swoje anonse o pogodzie, jego najbliżsi sąsiedzi, ojcowie augustianie od Świętego Marcina, z ambony go łajali, wzywając, żeby tych zdrożności zaniechał. Naprzód mówili, że to się sprzeciwia prawom boskim, że pan Magier alchimią się para, aż wreszcie pewnej niedzieli ogłosili, że to jest jawne czarodziejstwo, za co pan Magier zasłużył na wieczne potępienie.

O czym się dowiedziałwszy, profesor bardzo posmutniał i poszedł do jednego pijara, księdza Józefa Osińskiego, przed którym żalił się na los.

Ksiądz Osiński, też człowiek uczony, w korpusie kadetów za polskich czasów lekcje dawał, nawet napisał książkę „Fizyka doświadczeniami potwierdzona”; wysłuchawszy więc skargi pana Magiera, a gniewem ogarnięty, tak rzecze:

– Uspokój się, mości profesorze, zaraz to załatwimy.

Wziął pana Magiera pod ramię i razem poszli do klasztoru ojców augustianów. Tam zakołatawszy do furty, kazali się prowadzić do przeora.

Ale przeor był gdzieś za Warszawą i dopiero nazajutrz miał wrócić. Co jeszcze bardziej rozsierdziło księdza Osińskiego. Powiedział więc braciszkom, że są ośły, że zamiast mózgu mają w głowie szatkowaną kapustę i do niczego nie są zdolni, jeno w trąby dmuchać.

Po tych słowach rozruch się zrobił między braciszkami, lament i harmider. Z krzykiem, że to jest krzywda, że to jest obraza, kupą natarli na księdza Osińskiego i pana Magiera, zaciągnęli ich obu do ciemnej komory i tam zamkli.

Noc całą i pół dnia pan profesor i pijar przesiedzieli w niewoli augustiańskiej, tkliwymi słowami się pocieszając, to znów o fizycznych eksperymentach gawędząc.

Tymczasem rodzina pana Magiera i konwikt pijarski szukać zaczęli zaginionych. Magistracki doboż nowinę obwieścił na Rynku, a ludzie najróżniejsze domysły snuli. Dopiero koło południa przeor wrócił i kazał więźniów wypuścić. Był o to sąd przed poznańskim biskupem

1 Warszawa należała do diecezji poznańskiej, Praga – do plockiej.

i augustianie musieli przebaczenia prosić. Od tej pory nie bardzo się lubią z pijarami.

Opowiedziałem rzetelnie, bom to wszystko słyszał od samego pana Magiera i dobrze zapamiętałem.

Coraz częściej się spotyka w Warszawie dostojnych panów poubieranych w czarne fraki z kotwicą na mosiężnych guzach. Kotwica to znak nadziei. Sami się przewalili Towarzystwem Przyjaciół. Zbierają się na narady to tu, to tam, i żeby ich nie posądzano, grają w karty.

Mówił mi lokajczyk od pana Małachowskiego, że przy tych kartach polityczne dyskursu wiodą. Czasem, gdy ich się więcej zbierze, przechodzą do sali rycerską zwanej i już nikt nie wie, co tam czynią.

Panowie z Towarzystwa Przyjaciół rozmawiają tylko po polsku, z pałacem Pod Blachą w niezgodzie żyją. Tam znów jest w użyciu mowa francuska.

Pan Małachowski i jego przyjaciele ze znakiem kotwicy popierają teatr pana Bogusławskiego, a Blacha popiera francuski teatr pana Fourèze'a na Krakowskim Przedmieściu.

Wczoraj paliła się karczma Czarny Dwór za Powązkami, aż lunę było widać w mieście. W dzwony bito, a stróże nocni bez przerwy grzechotali w kołatki.

Widziałem, jak członkowie Bractwa Ratunkowego od Ognia wyciągali z wozowni sikawkę do polewania wodą. Tylko przez długi czas koni nie mogli znaleźć, bo się woźnice pochowali. Zawsze tak jest.

Mówił mi jeden furman, że inaczej nie można, bo panowie z bractwa i konie zameczą, i żadnej zapłaty nie chcą dać, tylko o obywatelskim honorze w kółko gadają.

Ta karczma nie spłonęła, bo jest murowana, ale gospodarskie zabudowania z dymem poszły. Stało się to przez dziadowski bal w stodole, bo po Zaduszkach baby i dziady chętnie tańczą i gorzałkę piją. Tym razem, za wiele wypiwszy, ogień zaprószyli.

Choć to już późna jesień, dzionek był ciepły i jasny. Pan Magier skinął na mnie i takeśmy poszli na Fawory. Wracamy przez Rynek, o różnych ciekawych rzeczach rozprawiając, patrzymy, a tu magistraccy pachotkowie coś naklejają na ratuszu.

Stanęliśmy więc i czytamy:

PUBLICANDUM

*Rozszerzaią się od czasu nieiakiego
sprzecznomowne wieści, które wnet o zmianach
wzmianki czynią; gdy zaś dla publiczności z tego
powodu niespokojności wynikaią, Rząd
Gubernii y Policya miasta tuteyszego widzi
zatem potrzebę publiczne uczynić uwiadomienie,
iż te wszystkie powieści bez wszelkiego są
fundamentu y że iuż rozrządzenie ustanowiono,
ażeby osoby podobne wbrew prawdzie wieści
rozgłaszaiące aresztowane zostały y z nimi iako
burzycielami spokojności publiczney
postępowano.*

von Wendessen

Schimmelpfennig d'Oyé

*Gubernator Prowincyi Prus Południowych
Prezydent Policji Miasta Warszawy*

*Pan Magier śmiał się przy czytaniu i mówił, że
to jakiś głupi urzędnik pruski słowo w słowo
przetłumaczyć musiał z niemieckiego języka.
Chcieliśmy zaraz publicandum przepisać, ale
ludzie tak napierali, że nam się nie udało. Dopiero
drugiego dnia rano to zrobiłem.*

*Pan profesor powiada, że przez takie ogłaszanie
Prusacy sami się przyznają do niespokojności na
świecie. Ja na to powiadam, com słyszał od
pocztylionów, którzy z Wrocławia przyjechali, że
od kilku dni przez Morawy i inne czeskie ziemie
ciągną austriackie wojska. Przez co w tamecznym*

*narodzie rozpacz jest, bo żołnierze bydło
zagarniają i nie pieniądzem, tylko kwitkiem płacą.
Gęsi, kury, kaczkę wyłapali. W Ołomuńcu browar
rozbili, bo się gospodarz w nim schował.
Gospodarza niedobrze potraktowawszy, nie tylko
piwo wypili, ale i brzeczkę. Od czego pułk huzarów
na brzuch się rozchorował.*

*Pan Magier, kiedym tak opowiadał, z uwagą
słuchał, kiwał głową i mówił, że to prawda. Cesarz
austriacki zgromadził tyle wojska, ile jeszcze oko
ludzkie nie oglądało. Ruskie wojska w sukurs
Austriakom mają pójść przez Galicję. Czeka ją
tylko, co też król pruski powie.*

*– Na mój rozum – rzekłem – nie wygląda na to,
iżby Prusacy chcieli się bić z Francuzami, bo i pan
gubernator von Wendessen, i pan prezydent policji
bardzo są potulni przy spotkaniu z panem
Gallon-Boyerem; pierwsi mu się kłaniają. Jakby
miała być wojna, toby go wypędzili z Warszawy.*

*Pan Magier odpowiedział, że jeszcze nie
wiadomo, czy będzie wojna. Moskiewski car
Aleksander jeździł do Berlina i tam wespół z
królem pruskim na cmentarz chodził. Klękawszy
przed jakimś grobem, już nie pamiętam przed
jakim*

*, ślubowali sobie dożgonną zgodę i przyjaźń.
Car przyrzekł królowi, że mu w każdej potrzebie*

1 *Przed grobem Fryderyka Wielkiego.*

dopomoże, a król znów to samo obiecywał carowi. Wszystko po to – powiada pan Magier – żeby Napoleona nastraszyć.

Na zakończenie poszliśmy z profesorem na Marywil do znajomych kupców. Tameśmy się dowiedzieli, że pruskie dydki dużo straciły na wartości. Jeden starozakonny pokazał nam białe skórkowe rękawiczki do tańca, co damom poza łokieć sięgają. Przed tygodniem płacono za nie dziewięć dydków, a teraz dwanaście. W złotych polskich ceny się nie zmieniły.

W kamienicy Witthofów na Świętojańskiej, gdzie jest kantor bankierski pana Riokura, osiedlił się niedawno kupiec włoski pan Gaetano Vignole i założył handel paciorkami.

Nie byłem u niego, ale mi opowiadano, że ma ogromne skarby, które z Wenecji przywiózł. Słyszałem też, że na widok tych paciorków, koralu i innych klejnocików kobiety rozum tracą i diabłu by duszę zaprzedały.

Pan Vignole, jeszcze przed otwarciem swojego handlu, sprowadził do siebie komediantkę francuską pannę Pitiat i tak do niej przemówił:

– Weźmij sobie, waćpanna, coć się podoba, i żadnej zapłaty mi nie dawaj. Jednego tylko wymagam, żebyś się w tych świecidełkach

pokazywała na scenie i wszem dokoła mówiła, że to z mojego handlu.

Tak się stało. Kiedy polskie panie zobaczyły u panny Pitiat te weneckie cacka, dalejże molestować mężów i zalotników. Jedne płakały, drugie mdlały, trzecie groziły złamaniem wierności. Od czego wielki ruch się zrobił w handlu klejnocikami pana Gaetano; ten zaś, aby pokusę wzmóc, co dnia teraz wystawia w oknie jakiś drobiazg misternej roboty.

Musi to być dobry kupiec, bom o nim słyszał, że skupuje za grosze połamane cybuchy i inne sprzęty bursztynowe, które na mączkę miele i wysyła do Konstantynopola. Tam grecki arcykapłan z tej mączki pomieszanej z innymi pachnidłami robi cerkiewne kadzidło.

Hrabina de Lille zamówiła u pana Wojciecha Bogusławskiego operę „Przerwana ofiara”. Zapłaciła z góry za dwie loże po prawej stronie i dała fundusz na kupno świec woskowych, żeby tego wieczora nie zapalano w teatrze łójówek i lamp olejnych, bo niezwykajna jest swędu i kaszel ją chwyta.

Od czasu, kiedy pan de Keralie zawitał do naszej karczmy i przestrzegł Coulona, niewiele się

zmieniło. Tyle tylko, że małżonkowie częściej sobie do oczu skaczą.

Z tych wszystkich kłótni, które co wieczór słyszę, mógłbym już napisać życiorys mojego gospodarza i mojej gospodyni. Bo wciąż sobie wypominają to, co było i co miało się spełnić, ale się nie spełniło.

Coulon jako chłopak terminował u perukarza. Po rewolucji, coś tam przeskrobawszy, zbiegł do Hiszpanii, wstąpił do wojska burbońskiego i służył pod rozkazami hrabiego de Pienne. Za bójki i pijaństwo groziła mu kara. Przedostał się więc morzem z Barcelony do Neapolu i wstąpił do wojska kardynała Ruffo. Tam znów był taki obyczaj, że żołnierzom żołdu nigdy nie wypłacano. Coulon miał tego dość, pojechał do Indii i służył przy jakiejś faktorii francuskiej, skąd dostał się do angielskiej niewoli. Przywieziony do Cuxhaven, miał szczęście spotkać porucznika de Keralie, który go z tej niewoli oswobodził.

Później Coulon służył w wojsku francuskim na Wołyniu pod porucznikiem de Keralie, a kiedy się pułk rozpięchł, został lokajem u barona de Milleville i z nim przyjechał do Warszawy. Ożeniwszy się, założył karczmę na Gołębiej.

Dowiedziałem się od Francuzów, że hrabina de Lille gorąco chwaliła operę „Przerwana ofiara” i w szczególności śpiew panny Petrach. Zamówiła u

pana Bogusławskiego łoże na dalsze dwa przedstawienia i znów dała fundusz na świece.

Do francuskiego teatru w pałacu Radziwiłłowskim hrabina de Lille nie chce chodzić, bo tam jest zbyt swawola, a komedianci i komediantki pozwalają sobie na różne nieprzystojności.

Zeszłej nocy zbójce napadli na dworek pana Poklewskiego na Nowym Świecie. Psu, który ujadł, łeb rozbili toporkiem.

Tak się złożyło, że w domu byli tylko stary pan Poklewski, jego żona i jedna służebna. Tych postronkami spętawszy, porabowali zbójce, co chcieli, do worków spakowali i powynosili. Nikt im nie przeszkadzał, bo noc była ciemna, a w sąsiednich dworach ludzie już spali.

Na wieść o tym prezydent policji pan Schimmelpfennig zjechał na posesję pana Poklewskiego, domowników przepytał, sąsiadów także. Potem zeszedł ze swymi policajami na skarpe wiślaną, gdzie jest wejście do piwnic ordynackich i tam zbójców szukał, nikogo nie znalazłszy.

Mnie to nie dziwi, że nie znalazł, bo z piwnic są różne przejścia i kurytarze podziemne, które nie wiadomo dokąd prowadzą i gdzie się kończą. Słyszałem od ludzi, że tam nie tylko zbójcy

mieszkają, ale też siła takich, co z wojska pruskiego zbiegli. A znów przekupki mi mówiły, że pod ordynackim pałacem jest sadzawka, po której pływa księżniczka zaklęta w kształcie kaczki.

Na Marywilu był wczoraj harmider i lament. Prawie wszyscy kupcy pozamykali swoje handle, a sami gdzieś się pochowali. A poszło o to, że nie chcieli przyjmować pruskich pieniędzy.

Z placu Krasińskich przystano policajów, którzy łazili po targowisku z kąta w kąt, na próżno kupców szukając. Po południu niektóre handle otwarto, ale towarów było tyle, co pies napłakał, i sama lichota.

Patrząc na ten marywilski nieporządek myślę sobie, że warto by pójść do pocztamtu i z Marcinkiem pogadać. Bo choć wrocławski dyliżans jeszcze nie nadjechał, pocztylioni mogą coś niecoś już wiedzieć.

Takem zrobił. W izbie pocztowej aż tłoczno było od ludzi, co z listami czekali. Marcinek uwijał się, jak mógł. Ważył listy, stemplował, wpisywał do książki, obliczał i przyjmował opłatę za porto. Dopiero w południe mogłem się z nim rozmówić, kiedy zamknięto pocztamt i urzędnicy rozeszli się na obiad.

Spytałem go, czyby nie zechciał iść ze mną na Podwale, do pani Jezierskiej; dziś jest czwartek i

będą flaki. Zgodził się z ochotą, bo jak zwykle był głodny i bez grosza. Kiedyśmy zjedli, rzekł:

– Od samego rana tak tłoczno. Wszyscy na gwałt piszą listy. A najwięcej się czegoś przestraszyli urzędnicy pruscy, co wnoszą choćby z tego, że wysyłają żony i dzieci do Królewca. Miejsca w dyliżansach na kilka dni z góry już wykupiono.

Rzekłem mu na to, że coś się musiało stać, skoro w Marywilu handel zamarł, a kupcy pochowali towary.

– No cóż – powiada – nic pewnego na razie nie wiadomo. Pocztylioni słyszeli, że Napoleon nie czekał, tylko pierwszy uderzył i teraz pędzi Austriaków przed sobą. Inni znów pocztylioni, ci od Krakowa, mówią, że w Galicji pełno jest wojsk moskiewskich, które śpieszą do Czech austriackiemu cesarzowi z pomocą. A prowadzi te wojska sam car Aleksander wespół ze sławnym generałem Kutuzowem, który chwali się, że w życiu swoim nie przegrał ani jednej bitwy.

Zapytałem Marcinka, co myśli o Prusakach. Czyli też się ruszą i z carem moskiewskim uderzą na Francuzów?

Odpowiedział, że wedle tego, co widzi i słyszy w pocztamcie, na dziedzińcu i w stajniach pocztowych, Prusacy o jedno tylko błagają Pana Boga: żeby Napoleon pierwszy na nich nie natarł, jak to się zdarzyło z Austriakami.

*Całkiem blisko mojej kolumny, kamieniem
można by dorzucić, przytulił się do Zamku domek z
surowej cegły. W tym domku, odkąd pamiętam, pan
aptekarz Rouget wyrabiał różne leki, a najczęściej
robił syropu dziegciowego dla suchotników.*

*Dużo chorych ten syrop kupowało, doktorowie
też go zalecali, boć wiadomo, że dziegieć z drzew
bukowych pędzony suchotnikom zdrowie
przywraca.*

*Długie lata pan Rouget kupczył syropem,
którego sztuki wyrabiania nauczył się od ojca
swego, też aptekarza; respektem wśród ludzi się
cieszył.*

*Aż pewnego dnia, stało się to chyba z miesiąc
temu, jego czeladnik aptekarski poszedł na wesele
swej siostry i tam, ponad miarę wypiwszy,
oznajmił, że pana Rougeta czarci powinni żywcem
do piekła porwać. Albowiem sławny ten syrop jest
fałszowany; inaczej go się robi, niż myślą
doktorowie.*

*Dowiedział się o tym fizyk miejski; dobrawszy do
pomocy innego doktora, do małego domku z nim
poszedł. Drzwi na klucz zamknąwszy, wszystko, co
tam było, obejrżeli, a pana Rougeta i jego
czeladnika, co się wygadał, długo wypytywali.*

*Zgroza ogarnęła Warszawę, kiedy się wieść
rozeszła o niecnym postępkach aptekarza. Wyszło
na jaw, że pan Rouget z chciwości niepomiernej,*

*chcąc tym więcej na suchotnikach zarobić, zamiast
cukru dodawał do syropu zwykłego miodu
pszczerego.*

*Dziś poznikały z handlu tłuszcz, słonina i olej.
O mąkę też coraz trudniej, już się nie doprosisz.
Ludzie wykupują sól, z woreczkami stoją gęsiego.
Składnicy po dwa funty sprzedają, bo więcej nie
wolno.*

*O jedenastej przed południem policaje
przybiegli pod Krakowską Bramę i dalejże łajać
przekupki, że towaru nie mają. Stragan
Jaśkowiakowej wywrócili, od czego żywności nie
przybyło.*

ROZDZIAŁ VI

*Puste kramy. – Pan kapelmajster o przebiegu
działań wojennych. – Filipka ogarniają tęsknoty. –
Awantura w teatrze. – Echa spod Austerlitz. –
Napoleońskie paszporty. – Wyprawa na folwark
pana Bacciarellego. – Spotkanie z niegodziwym
szpakiem. – Panna jak marzenie. – Filipek dostał
konfekt czekoladowy. – Przechwałki pana
Poklewskiego. – Druga awantura w teatrze. –
Kotka i mysz. – Zastawione klejnoty. – Spazmy w
pałacu Pod Blachą. – Wilk na Bielanach. – Nauka
czytania y pisanía. – O zielonym groszku
potomków św. Ludwika. – Dlaczego Gecel jest
markotny. – Pan Hoffmann rozdaje nazwiska. –
Hałasy w alkowie Wobanki. – Zła wróżba.*

*Dyliżans z Wrocławia przyjechał wczoraj pan
kapelmajster Elsner, który tam jeździł po nuty
jakiegoś organisty. Dobrze się znamy z panem
Elsnerem. Był wielce rad z tej podróży i, kiedy mu
kuferek na taczkach wiozłem, cały czas o tym
gadał. Rzekłem mu:*

*– Już mi jegomość o tych nutach nie
opowiadajcie, bo i tak nie spamiętam.
Wytłumaczcie, proszę, jak jest z wojną, kto kogo
bije i czy król pruski już się ruszył.*

*Pan Elsner na ulicy nie chciał o wojnie gadać,
dopiero jakem mu wniósł skrzynkę na kwaterę, dał
mi kubek gorzałki i pouczył, że Francuzi zajęli już
Drezno i lada dzień wkroczą do Czech. Austriackie
wojska ciągle się cofają, szukając ocalenia w
pomocy moskiewskiej. Król pruski siedzi w
Berlinie, poddani go pilnują, żeby się nie ruszał.*

To powiedziawszy pan Elsner otworzył kuferek, powyjmował nuty, poprządał, część zwinął, przewiązał nicią i kazał mi zanieść na Freta, do pana Hoffmanna.

Długo nie pisałem, bo od ciągłego myślenia mam w głowie zawieruchę.

W Warszawie jest już spokój. Na straganach znów się ukazała mąka, słonina, co kto chce. A stało się to, kiedy ludzie nabrali pewności, że król pruski nie będzie latoś wojował.

Nikt jednakże nie wierzy, nikt nawet nie przypuszcza, żeby to był koniec.

Przez zimę, powiadają ludzie, Francuzi podkarmią się, wypoczną, a w przyszłym roku uderzą na Prusaka. Jak się zaczęło, to i dalej pójdzie. Aż do zwycięstwa nad wszystkimi królami.

Coś mnie pcha, żeby ubrać się ciepło, kij do garści i myk na tamtą stronę, do Napoleona. Dużo już naszych chłopaków uciekło, a i bogatych paniczów. Wszystko rzucili, byle przedostać się do Czech. W mieście gadają, że z tamtej strony galicyjskiej granicy jest zupełny nieład. W lasach i w górach pełno dezertarów, nietrudno się więc ukryć, gdyby kto tam trafił.

A za górami, aż do Wiednia i jeszcze dalej, jest już francuskie panowanie, jest wolność.

Panowie spod Blachy trochę wczoraj hulali i na zakończenie zabawy kupą przyszedli do Teatru Narodowego. Na ich widok komediant, który sprzedawał bilety, zdmuchnął świeczkę, zgarnął pieniądze do kapelusza i chciał czmychnąć. Ale go zatrzymali i kupili ućciwie tyle biletów, ilu ich było.

Potem, po wejściu na salę spektaklową, panowie spod Blachy figle różne stroili, aktorom grę przerywając. Od czego pan Kudlicz jękać się zaczął, co jeszcze większy śmiech wywołało.

Widząc to, pan Elsner kazał grać swoim muzykusom, na początek głośno, z bębnami, żeby wrzawę zagłuszyć, i tak stopniowo w symfonią rzewną przeszedł, aż się w niej wszyscy zastuchali i spokój nastał.

Mówiły dziś przekupki, że w czasie ostatniej bitwy cesarze ruski i austriacki tak się Napoleona przelekli, że poskakali na konie i zaczęli zmykać. Napoleon gnał za nimi do rozstajnych dróg. Tam jeden skręcił w lewo, drugi w prawo, a Napoleon, nie wiedząc, którego by tu wybrać, zawrócił.

Pan Magier, kiedy mu takie wieści powtarzam, zawsze uważnie słucha. Nawet sam nieraz pyta, co powiadają przekupki. O ucieczce dwojga cesarzów już wiedział, dodał tylko, że cesarz austriacki sam

się do Napoleona potem zgłosił, o przebaczenie prosząc. Nie wiadomo jeszcze, jaką otrzyma karę. A ruski car płakał.

Miedzy Francuzami, którzy odwiedzają Coulona, coraz więcej jest takich, co chcieliby wracać do kraju.

Po zajęciu Wiednia przez wojska francuskie, pan Gallon-Boyer, jak powiadają, wydał dużo paszportów, ale tylko mężczyznom zdatnym do wojaczki. Kto był stary albo chorowity, ten nie dostał.

Choć władze pruskie o tym wiedzą, nie śmia jednak przeszkadzać. Francuzi jadą z paszportami przez Wrocław do Saksonii, gdzie stoją wojska napoleońskie.

Innym Francuzom i ich rodzinom pan Gallon-Boyer obiecuje, że będą mogli wrócić do kraju po podpisaniu pokoju z cesarstwem austriackim.

Ostatniej nocy spadł śnieg i nie roztajał. Pan Magier zapowiada dalsze śnieżyce.

Może Kernerowi czasu zabrakło, może nóg żałował, tego nie wiem. Podeszedł do mnie, kiedym

stał pod kolumną, i dał mi list do odniesienia aż na Ujazdów, do folwarku pana Bacciarellego¹

– Wiesz, gdzie to jest? No to idź, zarobisz.

List był do panny Czarnowskiej; zalakowany pieczęcią, na której dojrzałem konika, jak staje dęba, i napis „Iabłonna”.

I takem ruszył w drogę Krakowskim Przedmieściem, ulicą Królewską, koło karczmy Otwock skręciłem w lewo²

i jużem szedł do końca. Minąłem dworek pana Małachowskiego, minąłem długi mur szpitala Dzieciątka Jezus i zatrzymałem się koło Zgody, gdzie do niedawna dymił komin farfurni pana Wolffa.

Przystanąłem i słucham, za drewnianym płotem klóci się dwoje ludzi. Jeden głos mówi z polska po francusku, drugi odpowiada w szpetnej gwarze chłopsko mazurskiej. I tak dogadać się nie mogą. Otworzyłem furkę, wchodzę na dziedziniec i widzę, że to ojciec trędowatego nedorostka spiera się z woźnicą.

Pozdrowiłem Francuza i pytam, w czym mogę mu pomóc. Chodziło o to, że chciał przewieźć na Powiśle sześć worków białej glinki, którą pan

¹ Dworek Marcello Bacciarellego stał w malowniczym zakątku przy polnej drodze, która dziś się zowie ulicą Klonową.

² Pamiętnikarz opisuje dalej ulicę Marszałkowską.

Wolff w szopie zostawił i pozwolił mu brać, ile zechce.

Przemówiłem więc woźnicy do sumienia, żeby z obcego człowieka nie zdzierał, a załatwiwszy wszystko, spytałem Francuza, na co mu tyle tej glinki. Boć to przecie lichota; za delikatne, nawet do wylepienia pieca się nie nada.

Odpowiedział, że razem z żoną i dziećmi trudni się teraz wyrobem misek i talerzy, do czego wprawę ma, bo się tym dawniej w swoim kraju zajmował.

Mówił jeszcze, że jego chłopak jest teraz całkiem zdrów, że z trądu już śladu nie ma. Prosił, gdybym był na Powiślu, żeby wstąpić do nich, to mi pokaże, jak się lepi talerze na wierciółce.

Pomógłszy załadować worki z mieloną glinką, powędrowałem dalej.

Ładnie było na świecie, bo wszystkie doły i wyboiny śnieg zasypał. Minąłem młyn koło Jerozolimskiej drogi, przeszedłem przez kładkę nad strugą, minąłem dwie wielkie cegielnie, całkiem martwe, odkąd Prusacy wkroczyli do Warszawy.

Dalej była cisza i pustka, a dworki ubogie, słomą kryte. Dopiero gdym ujrzał na wzgórzu dwa wiatraki poruszające z wolna skrzydłami¹

, uradowały się oczy moje. Za Koszykami, po prawej stronie, zaczynały się grunty orne

Ujazdowa, a po lewej – ogrody pana Teppera. Dalej był plac zwany Gwiazdzystym, a za nim – droga wysadzana lipami.

I tak, nie śpiesząc się, a wszystko bacznie oglądając, co było ciekawe, doszedłem do starego folwarku królewskiego, za którym jest drugi folwark z pięknym ogrodem i domem dachówką krytym. Tam mieszka staruszek pełen chwały, sławny pan Bacciarelli, u którego panna Czarnowska, za ochmistrząnią będąc, malarskiego kunsztu się uczy.

Rozejrzałem się po tej bogatej siedzibie, wchodzę na ganek i zaczynam kołatać. Ledwom kołatkę ruszył, słyszę za drzwiami głos:

– Jezus Maria! A któż tam?

Nieprzyjemnie mi się zrobiło. Odczekałem trocha i stukam cichutko, ledwo-ledwo, alić i tym razem ktoś zaskrzeczał:

– Jezus Maria! A któż tam?

Myślę sobie, że chyba zawrócę, skoro mnie tak niegodziwie przyjmują. Tymczasem drzwi się otworzyły i na progu stanęła panna jak marzenie, czarnooka, z brwią ciemną, a włosami jak dukatowe złoto. Widząc moje skonfundowanie, śmiała się i mówiła, że to szpak uczony tak wykrzykuje. I pokazała mi klatkę, w której siedział.

Mówiła, że ten szpak był dawniej u jednej niewiasty nabożnej, która przez cały dzień koronkę odmawiała i była bardzo zła, kiedy jej kto

¹ Wiatraki stały na rogu Marszałkowskiej i Wilczej.

przeszkodził. Pan Bacciarelli kupił ptaka, żeby gości weselić.

Podałem pannie list. Kiedy zobaczyła konika na pieczętce, uradowała się nad pomyślenie wszelkie, czytała raz, drugi raz i chyba trzeci, kraśniejąc coraz mocniej.

Potem postawiła przede mną butelkę wina i rzekła, że muszę poczekać na odpowiedź. Zaczęła pisać, ale jej pióro ciągle pryskało, dużo więc namarnowała papieru.

Przez ten czas rozglądałem się wkoło po izbie, a przyjemna była, z podobiznami ludzkich twarzy na ścianach. Stół, przy którym panna pisała, zawalony garnuszkami i miseczkami, plamisty był jak bukiet. Leżały też na nim skorupki od jaj z zaschniętymi farbami, pędzelki i inny drobiazg.

Zaczęło zmierzchać. Panna Czarnowska wyszła na chwilę i wróciła ze świecą. Kazała wypić wszystko wino, żebym miał siły na powrót do Warszawy. Kiedy skończyła pisanie, zakleiła list pieczętką. Na odchodnym dała mi srebrem pół talara i konfekt słodki, czekoladowy.

Pan Poklewski, któremu zbójcowie dworek na Nowym Świecie splądrowali, był wczoraj w kościele bernardynów. Tam w przytomności świadków ślubował, że gdyby mu się udało odzyskać choćby połowę straconego dobytku, to

wystawi świętemu Antoniemu świecę aż na dziesięć łokci wysoką.

Słyszając o tym, ażem się zatrzęsł z oburzenia na taką zuchwałość i rady sobie dać nie mogłem. Spotkawszy dziś rano pana Poklewskiego, podchodzę śmiało i mówię:

– Skądże, wielmożny panie, obiecaną świecę weźmiecie? Dziesięć łokci! Toć żaden majster nie zechce wam jej odlać.

Spożrzał na mnie surowo pan Poklewski i rzekł:

– Zamilcz, młodziaku jeden. Tu chodzi o ratunek. A jak się sprzęty znajdą, to już się sam dogadam ze świętym Antonim.

Dowiedziałem się, ale to jest sekret, że młodzi przyjaciele pana Cypriana Godebskiego, który drukuje „Zabawy Przyjemne y Pożyteczne”, idą jutro do francuskiego teatru na Krakowskim Przedmieściu, żeby hałasem i tupaniem spektaklowi szkodzić.

Ma to być – powiada pan Godebski – słuszna odpowiedź na ostatnie najście kawalerów spod Blachy na teatr pana Bogusławskiego.

Jakem o tym usłyszał, zaraz pobiegłem i przeczytałem anons teatralny. Francuzi grają całkiem nową sztukę z tańcami i śpiewami: „Paris ma ville bien-amée”. Udział biorą: pani dyrektorowa Fourèze, pani Saint-Charles, panny

de Peru, de Paix, Bernard i Pitiat, wszystkie co do jednej sławne z urody. Panów nie zapisałem, bo nic mnie nie obchodzą.

Przed kasą stali już ludzie i kupowali bilety na jutro. Spotkałem lokajczyka spod Blachy, który mi powiedział, że przyniósł list z zamówieniem na cztery łóża oraz że pani Tyszkiewiczowa też się wybiera. Mówił jeszcze, że w pałacu już wiedzą o intencjach przyjaciół pana Godebskiego.

Pomyślałem sobie: „Mój Filipku, będzie to chyba wesoły wieczór, musisz tam iść”.

Przez całą noc śnieg padał płatami, od rana była sanna. Bardzo lubię, gdy dzwonki wesoło dzwonią, a konie parskają. Przyjemniej się wtedy stoi pod kolumną i jest na co popatrzeć. W mieście ruch, bo sankami wszędzie łatwo dojechać, a nie jak wozem.

Wezwano mnie po południu do pana Maurycego Hauke, który się przeprowadził. Śmiały to człowiek, skoro się nie boi pobytu w pałacu Prymasowskim, gdzie straszy. Pan Hauke zajął cały dół i zamieszkał tam z żoną, która jest córką doktora Lafontaine’a¹.

¹ *Generał Maurycy Hauke (1775–1830), niezłomny żołnierz, wstąpił się obroną obleganego przez Rosjan w roku 1813 Zamościa, gdzie kazał bić pieniądze z napisem „Boże dopomóż wiernym Oczywiście”. Dr med. Leopold Lafontaine (1756–1812), przyboczny lekarz Stanisława Augusta, urodził się w Biber (Szwabia). Jest autorem*

Takeśmy się zagadali przy ustawianiu sprzętów, że nastał wieczór i ledwo zdążyłem się umyć przed pójściem do teatru. Tam zacząłem się przepychać ku zagrodzie muzykusów, póki nie stanąłem na przodku. Z prawa i lewa trocha się na mnie gniewano, bo komedianci już figlowali na scenie.

Dużo było różnych osobliwości, ale największy hałas się zrobił na ostatek aktu, kiedy na scenę wyszły cztery panny anielskiej piękności poprzebierane za kwiaty. Jedna była róża, druga na kształt lilii, trzecia niby gałązka konwalii z liściem, a czwarta – nie wiem co. Ludzie klaskali z uciechy, one tańczyły.

Podczas antraktu zacząłem się rozglądać za panią Teresą Tyszkiewiczową. Siedziała w łóży i miała na głowie wysoką koafiurę przyozdobioną szylkretami. Chciałem rozpoznać jej szklane oko, ale od ciągłego poruszania wachlarzem świece migwały i nicem nie dostrzegł.

W drugiej części spektaklu stanąłem tuż za kapelmajstrem i jużem się nie dał odepchnąć. Znów były różne facecje, gonitwy, tańce i wesołość. Największej wrzawy narobiła panna Pitiat przebrana za białą kotkę, na której widok kawalerowie z pałacu Pod Blachą rzucili na scenę bukiet i podali puzderko z takociem. Jednocześnie

książki Opisanie siarczystych kąpeli w Krzeszowicach.

za moimi plecami zaczęto gwizdać i tupać. Ktoś cisnął pannie Pitiat pod nogi nieodmknętą szkatułkę, która się odemknęła i wyskoczyła z niej mysza.

Co widząc, panna Pitiat żałośnie zapiszczała i dalejże ściągać kocie futerko, żeby zakryć nogi. Mysza tymczasem gdzieś uciekła.

Śmiech się ogromny zrobił. Z różnych stron na pannę Pitiat wołano, czemu myszy nie łapie, kiedy jest kotka.

Wtenczas pani Tyszkiewiczowa wychyliła się z łoży, dała znak kawalerom, którzy w innych siedzieli łóżach, i coś do nich krzyknęła. Kawalerowie zaczęli klaskać i wołać brawo z taką mocą, że wrzawę zagłuszyli. Za okazaną pomoc panna Pitiat skłoniła się grzecznie pani Tyszkiewiczowej i odśpiewała, co do niej należało.

Podobno w pałacu Kazanowskich jest smutek i hrabia de Lille czuje się opuszczony od własnych oficerów, którzy coraz liczniej chcą do Francji wyjeżdżać. Słyszałem też, że jeszcze w lecie hrabia pozadłужał się u bankierów warszawskich, dając im jako zastaw klejnoty koronne.

Dowiedziawszy się o tym, pan Gallon-Boyer miał przestrzec bankierów, że tych klejnotów nie wolno nikomu odprzedać ani wyjmować z nich

kamyków, ani przetapiać na złoto, bo to jest własność narodu francuskiego.

Mówił mi Kerner, że pani Tyszkiewiczowa od kilku dni choruje na spazmy, a Wobanka koło niej się krząta. To wszystko stało się przez kogoś, kto na ścianie teatru francuskiego napisał taki wierszyk:

*Krzyknęła, zagrzewając stronników swych
męstwo:*

*Jam Fortuna, bom ślepa, więc pewne
zwycięstwo!*

Pan Linde mówi, że ten wierszyk ułożył albo sam pan Godebski, albo któryś z jego młodych przyjaciół.

Napis ze ściany zeszkrobano, ale i tak ludzie ponauczali się na pamięć.

Pan Godebski, dawny żołnierz, jest sławnym rębaczem i w pojedynkach bardzo niebezpieczny. Może dlatego kawalerowie spod Blachy nie wyzywają go na pałasze i wołają, żeby pani Tyszkiewiczowa troszkę pochorowała.

Od kilku dni nastały tegie mrozy. Mówiły mi przekupki w Krakowskiej Bramie, że dokoła

*Warszawy wilki stadami się włóczą, do zagród
zagładają.*

*We wsi Bielany przy Polkowej Górze nad Wisłą
dzieci, w śniegu igrając, niczego nie podejrzewały.
Wilk jeden, z kniei wypadłszy, chłopaczka małego a
tłustego imieniem Walenty porwał i z obłowem do
lasu uszedł.*

*Starszy chłopaczek, a brat tamtego, oćcu znać
dając, ze strachu krzyczał. Ociec, że żadnego
ratunku ani pomocy dać nie mógł, na tym miejscu,
na którym tę żalostną nowinę usłyszał, pokłęknie
więc i gorące modły do nieba zanosi.*

*Cała wieś wysypała i klasztor takż szukać
porwanego chłopaczka; w kościele w dzwony
uderzono.*

*Wtenczas drogą z Warszawy jechał saniami
ksiądz przeor ojców marianów, co wedle
kamedulskiego eremitażu klasztor mają, a
zastyszawszy dzwonienie trwogę zwiastujące,
krzepko dwururkę ułapił, zamki odemknął i prochu
podsypał. Patrzy, przez drogę rude wilczysko bieży,
w pysku coś dźwigając. Jak nie zmierzy ksiądz
przeor, jak nie wypali; aż konie pod sam klasztor
ganek poniosły.*

*Ruszył kto żyw na ten odgłos i po długim
szperaniu znaleźli pod drzewem chłopaczka
całkiem zdrowego, jeno kubraczek na ramieniu
miał mocno poszarpany i z emocji na pół dnia
zaniemówił.*

*Ksiądz dobrodziej z pijarskiej drukarni mówił mi
dziś, że teraz układa nową książkę i pewnie latem
zacznie ją drukować.*

*Oddałem mu, jak zwykle, moje zapiski, które z
uwagą czytał, podczas gdy ja porządek robiłem w
kwaterze. Kiedym skończył, rzekł łaskawie, że w
pisaniu mam większą łatwość niżli niejeden uczony
człowiek, tyle tylko, że nieuk i nie obserwuję
reguł gramatyki.*

*To powiedziawszy, dobrodziej dał mi „Naukę
czytania y pisania” przez siebie sporządzoną,
upominając, żebym książki nie zgubił i żebym się
wszystkiego, co w niej jest, pouczył, bo mnie
przepyta.*

*Wczoraj wieczór do tancbudy Foksał przy
Nowym Świecie, gdzie czeska muzyka gra,
przyszedł ksiądz Józef z panną Czarnowską i długo
tańcowali szumkę.*

*Od kilku dni mamy mrozy, jak rzadko się zdarza,
gradusów dwadzieścia trzy. Mówił mi pan Magier.*

*Ogrodnik jeden z Ujazdowa dostarczył do
pałacu Kazanowskich kobiałkę zielonego groszku
dla hrabiego de Lille. Bo taki jest obyczaj od setek*

lat uważany, że w dzień Gromnicznej musi być świeży groszek na stole potomka świętego Ludwika. Inaczej nie wolno.

Warzywniczki opowiadały, że ten ogrodnik ustawił dla groszku skrzynki w ciepłej kwaterze, tam go posiał i obornikiem podlewał, przesuając to bliżej pieca, to znów bliżej okna, kiedy słońce świeciło.

I tak roślina głupia wzeszła, liście pozieleniały i strąki wyrosły, jakby latem.

Musi to być ważna sprawa, bo jak powiada Coulon, pan de Milleville dwakroć saniami do ogrodnika jeździł i rośnięcia groszku doglądał. Szczęśliwie na czas wszystko dojrzało, za co ogrodnik sowicie był opłacony i głośno hrabiego chwalił.

Com spostrzegł, że Gecel jest markotny; kiedyśmy książki układali, zamyślał się i często wzdychał. Aż mi go żal się zrobiło, pytam więc, dlaczego taki niekontent.

– Ach, Filipku – powiada – mam duże zmartwienie, bo Prusacy starozakonnym ludziom nadają teraz familijne nazwiska.

– Wiem o tym – mówię – toć nieraz, idąc Miodową albo Długą, oglądam różnych kupców, jak tłumnie stoją przed wejściem do Kamery Pruskiej.

Gecel na to odrzekł, że ten, który te nazwiska układa, jest pan Amadeusz Hoffmann, urzędnik pruski, ale niepodobny do innych urzędników, bo całkiem kołowaty. Nigdy nie można zgadnąć, co mu do głowy strzeli i dużo zależy od tego, czy zjadł dobre śniadanie i czy nie za bardzo wypił. Jeżeli wypił w miarę i jest wesół, to rozdaje całkiem ładne nazwiska. Jeżeli wypił cokolwiek za wiele...

Gecel westchnął i dodał:

– Chodzi o to, żeby szczęśliwie trafić.

Obiecałem Gecelowi, że jak się wybierze do Kamery Pruskiej, to pójdę razem z nim i będę go pocieszał.

Piekło było, jak powiada Kerner, w pałacu Pod Blachą, bo od strony Wisły zadął wiatr i trafił w szparę, którą murarze zostawili po wmurowaniu butelki.

Wobanka obudziła się nad ranem, a słysząc w ścianie skowyt i gwizdy niezwykcyjne, zaczęła wzywać pomocy. Przybiegła służebna i zamiast uspokoić Wobankę rzekła jej, że to pewnie czarci tak wyją.

Pozapalano światła w pałacu, wszyscy powstawali, podano kawę i nikt już więcej nie spał. Przemarudzili do rana, nasłuchując pilnie, co też się dzieje wewnątrz ściany.

Posłano po majstra murarskiego, a był to ten sam, który butelkę na złość Wobance zamurował. Przyszedł, postukał młotkiem, zajrzał do kominka, polazł na strych i żadnej przyczyny nie znalazł.

Następnej nocy Wobanka spała u pani Walewskiej, bo w jej alkwie czarci nadal hałasowali.

Niedoleżnie stąpając, Coulon spadł do piwnicy i uderzył głową o skrzynkę z napisem „Anisette”. Teraz sobie mokre szmaty przykłada. Zły to znak. Z tej anizetki nie będzie pociechy.

Byle za Pilicę. – Dzibuła szuka czeladnika. – Greckie obrządki. – Opowieść o pani Boguckiej, co gąbkę zjadła. – Sąd nad aptekarzem. – Co to jest miód? – Alarm na Solcu. – Machina do wylewania wody z Wisły. – Rum, łyż i natchnienie. – Zatrzymane gazety z Amsterdamu. – Filipek podziwia torunianki, a potem przewozi drukarskie kaszty pana Grölla. – Pobudka Armii Renu. – Na zwiadach przed Kamerą Pruską. – Pan Hoffmann rozda je nazwiska. – Wiersz do Legiów Polskich. – Marywilskie zaułki. – Nie zabawiaj się literaturą. – Zła gorączka. – Spór o zielony frak. – Tkliwe druhny Barbarki. – Rozłam wśród heretyków. – Co się dzieje w Łazienkach? – Coulon uprowadzony przez policję.

Znów rozmaita się ziemia. I takem przestał zimę pod kolumną.

W tym roku, podczas śnieżnych zamieci, siła naszych chłopaków z pruskiego wojska uciekło. Po lodzie przechodzili Pilicę i szli na południe. Jednym się udało, drugim znów nie. Tych w kajdanach widziałem.

Kiedym dziś stał pod moją kolumną, usłyszałem głosy pacholąt, wołających:

– Dzibuła, gdzie twoja ruła?

ROZDZIAŁ VII

*Coś się zakotłowało w Krakowskiej Bramie.
Patrzę, a tu zgraja młodzików napastuje doktora
Dzibułę, który się kijkiem opędza.*

*I po raz drugi stanąłem w jego obronie. Na mój
widok chłopaczekowie pryśli, a stary doktor rzekł:*

*– Bóg ci zapłacić, Filipku. Zadyszałem się od tej
agitacji.*

*I zaczął poprawiać perukę, bo mu na lewe ramię
zjechała. Żal mi go było i powiadam:*

*– Bez urazy, jegomość, aleście już człowiek
leciwy i przydałby wam się pacholek.*

Rzecz na to Dzibuła:

*– Nie pacholek jest mi potrzebny, jeno doktorski
czeladnik, który by umiał czytać i pisać, któremu
bym mógł podyktować łacińską receptę.*

*Pomyślałem sobie, że z całej Warszawy chyba
tylko ja jeden nadałbym się do takiego terminu, bo
czytam i piszę, a i łaciny za mojego kalefaktorstwa
liznąłem coś niecoś. Alem zmilczał, nie rzekłem o
tym doktorowi, boć wolę stać pod kolumną, niżli
klistyry robić.*

*Odprowadziłem Dzibułę do jego kwatery, a ten
się rozgadał, że gdyby znalazł takiego czeladnika,
to dałby mu stancję, wikt, opierunek, godziwą
zapłatę za posługi i jeszcze by go kunsztu
lekarskiego nauczył.*

*Przed samą Wielkanocą pan prezydent policji
Grekom winem kupczącym zabronił sprzedawać je
na kwarty i kwaterki, bo za dużo wody dolewali.*

*Grecy poszli do bazylianów i pozapisywali się
do gminy wschodniokatolickiego obrządku. Teraz
znów sprzedają jak dawniej i policaje nic im nie
mogą zrobić. Powtarzam, com słyszał.*

*Pani Michalina Bogucka, żona posesjonata z
Szerokiego Dunaju, przez cały Wielki Post chleb
suchy jadła, wodą popijając. Od czego smutna
była, a dla męża dokuczna, połajanki częste mu
czyniąc. Na to pan Bogucki tak mawiał:*

*– Zamilcz, żono niedouzdana, bo kara cię
spotka.*

*Jakoż w nocy z Wielkiej Soboty na Niedzielę,
kiedy już post się kończył, pani Michalina, bez
światła żadnego do izby kuchennej wszedłszy, tam
jadła, co się dało, i przez pomylenie, a więcej przez
żarłoczność, gąbkę morską połkła.*

*Od czego chucią do wilgotności wszelkiej
ogarnięta dwa garnce piwa wypita i, na ulicę
wybieżawszy, wołała:*

*– Ludzie, ludzie, na pomoc! Bo się rozpuknę jako
żywo!*

*Pan Bogucki ze strachu wielkiego cyrulika
przywołał, a ten krwie puścił pani Michalinie. Na
nic się to nie przydało, bo bez przestanku wołała:*

– Piwa, piwa!

*I tak nieszczęsna innej pociechy nie mogła mieć,
jeno się krzykiem to znów piwem pocieszała, a
wszystko, co wypita, zaraz w gąbkę morską
wsiakało.*

*Aż dopiero bakałarz jeden uczony kazał
niewiastę na prześciradle rozłożyć i czterem tegim
mężom do góry ją podrzucać; od którego huźdania
piwo z niej wypłynęło i gąbka takż.*

*Sądzili aptekarza Rougeta, co to dodawał miodu
zamiast cukru do syropu dla suchotników.*

*Skarżącym świadkiem był tylko czeladnik
aptekarz Albin Pisarek, ten sam, co się wygadał i
całego kramu narobił.*

– *Braliśmy – tak Pisarek zeznał przed sędziami –
korzenia wysokiego ślazu funtów pięć, dziegciu
bukowego funty dwa, driakwi polnej funt,
bernardynku garść, jęczmienia otłuczonego funt i
sześć uncji, fig uncją jedną, lepośliwek cztery
uncje, rodzyneków wyjędrzonych uncje trzy, jabłek
przetartych uncji pięć, otrąb kadzidlanych dwie
dragmie i sandaraku dragmy cztery. Jeżeli udało
się zdobyć, to pan Rouget dodawał jeszcze
tymiankowego ziela.*

*Zapytany, ile brali cukru, Pisarek odpowiedział,
że cukru wcale nie brali, tylko miodu sześć funtów.*

*Wezwano do pomocy doktorów Hiacynta
Dziarkowskiego*

*i Walentego Gagatkiewicza. Sąd zadał im
pytanie, zali syrop przygotowany na miodzie miast
na cukrze może choremu zaszkodzić.*

*Doktor Dziarkowski orzekł, iż cukier, jako
słodycz chemiczna, czysty jest i siły pokrzepiający,
a miód zbierany przez owady składa się z samych
nieczystości i przez to chorym krzywdę wyrządzić
może.*

*Doktor Gagatkiewicz orzekł, iż cukier, jako
słodycz z pospolitych buraków wygotowana, nie
może równać się z miodem, który Natura łaskawie
nam dała, a pszczołki pozbierały. Miód składa się z
duszynek wonnych kwiatów, rosy porannej i
promieni słońca, przez co lepszy i zdrowszy jest od
cukru.*

*Sąd wezwał doktorów, żeby się pogodzili i
wspólnie coś orzekli. Ale doktor Dziarkowski
pokłócił się z doktorem Gagatkiewiczem i do zgody
nie doszło.*

*Aptekarz Rouget płakał i mówił, że do
oszukaństwa skłoniła go taksa aptekarska, która
nie pozwala na podniesienie ceny syropu, a cukier*

¹ Hiacynt Dziarkowski (1747–1828), kształcił się w Paryżu, gdzie w roku 1780 uzyskał dyplom doktora medycyny. W czasie insurekcji kościuszkowskiej był generalnym szatbsmedykiem armii polskiej. Od roku 1809 rektor Akademii Lekarskiej, od 1817 profesor Uniwersytetu Warszawskiego. Rozpowszechnił szczepienia przeciw ospie w Królestwie Polskim.

*śląski kosztuje jeden złoty i sześć groszy funt;
robiąc więc na cukrze, nie miałby żadnego
zarobku.*

*Wobec niezgody między doktorami sąd przełożył
sprawę na później i postanowił napisać do izby
lekarskiej w Berlinie.*

*W kafehauzie na Długiej, dokąd zaprowadziłem
jednego szlachcica spod Raciąża, podeszła do mnie
Cyganicha i wyrzuciła mi z ręki spełnienie
marzeń.*

*Teraz zaczynam wierzyć, że wygram domek na
Przyryнку.*

*Przez kilka dni niepokój był w Warszawie, bo
Wisła przybrała i groziło Solcowi, że go zaleje. W
kościółach z ambon lud wzywano, żeby się nie
ociągał, tylko z pomocą śpieszył.*

*Poszedłem i ja wały umacniać; pracowaliśmy
żwawo. Przez te dni już nie stał rankiem pod
kolumną, jeno po obiedzie.*

*Robotami przy sypaniu wałów kierował pan
Sitkowski, starszy nad retmanami. Ten zna
wszystkie wiry wiślane i wie, w którym miejscu
woda lubi się przerywać.*

Z pomocą bożą klęskęśmy zażegnali.

*Prusacy mało się troszczyli o mieszkańców
Solca, tylko mostu gorliwie pilnowali, żadnych
wozów nań nie puszczając. Ulicę Bednarską
szlabanem przegrodzili*

*, przez co na Pragę ani mostem, ani łodzią nie
mogłeś się dostać, bo prąd był wartki i zdrażliwy.*

*Od tej powodzi załamała się i popłynęła z Wisłą
machina pana Melchiora Lewandowskiego, ale o
tym inną razą opowiem, bo dziś mi się nie chce.*

*Pan de Keralie sławny się zrobił w Warszawie i
za miastem; garną się teraz do niego chorujący na
zęby ludzie.*

*Kto bogatszy, temu pan de Keralie każe suto
płacić; od biednych często i nic nie bierze.*

*Krzywym na to okiem patrzy cech cyrulicki,
wiadomo bowiem, że od rwania zębów taksa jest.*

*Wspomniałem któregoś dnia o machinie pana
Lewandowskiego, która się załamała podczas
powodzi na Wiśle. Pan Lewandowski, rodem jest z
Gniezna, o sobie zwykł mawiać, że jest nie uczony,
ale losu wybraniec, bo z łaski bożej mechanik i
poeta.*

Już raz, przed dwoma laty, pan Lewandowski zbudował taką maszynę, ale nie chciała się obracać. Tyle tylko miał z niej pociechy, że ją wierszem opisał.

W tym roku, na wiosnę, gdy tylko kura spłynęła, pan Lewandowski zwołał cieślów i ustawił z nimi nową maszynę. Była podobna do pływającego młyna wodnego, mająca jedno koło od wody bieżącej obracane; koło znów obracało wał, mający na sobie zawieszony łańcuch z czerpachami, jeden przy drugim będących. Te czerpachy przez obrót swojego wału, czyli drąga, opuszczały się do Wisły jeden po drugim i, zaczerpnąwszy wody, podnosiły się w górę do rynn; tam, wylawszy wodę, znowu się spuszczały do Wisły i tym sposobem woda nieustannie w górę wędrowała.

Maszynę pana Lewandowskiego ludzie podziwiali, z całej Warszawy nad Wisłę się zbiegając. Dużo też narodu poprzyjeżdżało z okolicznych wsi i miasteczek. Tylko że nikt nie mógł zrozumieć, po co pan Lewandowski tyle pieniędzy stracił na drewno i cieślów, i po co się tak męczył? Machina nikomu nie była potrzebna, boć na Powiślu starczy dołek na trzy łokcie wykopać i już masz studnię.

Teraz, po zniesieniu maszyny przez powódź, pan Lewandowski zamknął się w stancji i, gorzko

popłakując, opisuje całą mechanikę. A że mieszka u Szulca w Hotelu Pruskim¹

, gdzie jest najlepszy rum, dzwoni na służbę co pół godziny i gorącym rumem się pokrzepia. Pisze wierszem.

Ludzie wspominają, że za polskich czasów starszy warszawskiego cechu cieślów, pan Kwieciński, wybudował na Wiśle podobną maszynę w kształcie młyna, która pędziła wodę do łaźni pana kasztelana Jezierskiego. Pono i tamta popłynęła z wodą czasu powodzi.

Francuzi opowiadają, że pan Gallon-Boyer przekupił urzędników pocztamtu, żeby mu dawali do czytania listy pisane za granicę, a w szczególności listy hrabiego de Lille. Urzędnicy chętnie się zgodzili, bo zapłatę od Prusaków mają mizerną.

Słyszałem, ale za prawdę tych słów nie ręczę, że sam pan prezydent Schimmelpfennig dostaje pensję od pana Boyera, jako też pan gubernator von Wendessen.

¹ Późniejszym Hotelu Angielskim przy ulicy Wierzbowej.

Pisałem kiedyś, że hrabina de Lille ogromnie polubiła operę „Przerwana ofiara” i ilekroć ją grali, zjeżdżała do teatru.

Skończyło się, już nie przyjedzie. Opowiem o tym inną razą, jak się więcej dowiem, bo teraz tylko słyszał, że hrabina z rozwianymi włosy z łoży wybiegła.

Na coś się widać zanosi. Prusacy od kilku dni przetrząsają pakiety pocztowe, szukając gazet zagranicznych.

Kiedy chodziłem wczoraj z panem Magierem, podszedł do nas pan Teofil Misztal i skarżył się, że mu nie chciano wydać na pocztę gazety amsterdamskiej, za co z góry zapłacił srebrem za cały kwartał.

Pan Misztal jest w Warszawie jedyny człowiek, co czyta po ołędersku, bo się w Amster urodził damie. Za polskich czasów był oficerem wojsk koronnych, a teraz ryje kopersztychy i z tego żyje.

Mówił jeszcze pan Misztal, że choć jest kalwińskiej wiary, ale niedostatkiem przyciśnięty zgodził się zrobić sześć rzymskokatolickich obrazków do „Żywota świętej Tekli” na zamówienie misjonarzy z Pułtuska.

Rozpoczął się jarmark w Marywilu i będzie trwał trzy tygodnie.

Pobiegłem tam zaraz pierwszego dnia obejrzeć torunianki, które jak co roku pozakładały kramiki na ostatnim dziedzińcu od zachodniej strony. Narodu było mrowie, nie zabrakło też kawalerów spod Blachy, bo torunianki strojne są i bogato się noszą. Sprzedają różne pierniki, a jak kto ma życzenie, to w pół minuty wypiekają wafel gorący. Do czego mają rozmieszane w wiaderku lipkie ciasto z jajecznymi żółtkami. Półkwaterek tego ciasta wylewają na gorące żelazo i wstawiają do pieca.

Jeszcze byś, mój Filipku, Ojcie Nasz nie zdążył zmówić, a tu ci już podają wafel w kształcie liścia, giermka na koniu albo jakiego okręta z armatami. Od czego ludzi zdumienie ogarnia i radzi za to płacą.

Kiedym tak stał przy kramiku jednej torunianki, podszedł ksiązę Józef, wziął ją pod brodę i spytał:

– Jak ci na imię, moje dziecko?

Powiedziała, że Katarzynka, i zaraz sprzedała księciu pakiet pierników.

Chodziłem później po innych dziedzińcach Marywilu, gdzie są różne handle, oberże, domy zajezdne dla pospólstwa i wszelakie szulernie. Można tam kupić i sprzedać, co kto chce, zjeść, wypić, wyspać się i przegrać pieniądze w faraona. Chodziłem po tym targowisku zgiełkowym, aż

trafiłem do pana Michała Grölla, drukarza, u którego ruch był niezwykajny i krzątania wielka.

Zapytał mnie pan Gröll, czybym mu nie zechciał pomóc, bo się przenosi z drukarnią na Krzywe Koło.

– Już dłużej ścierpieć nie mogę tej zbójeckiej jaskini – rzekł.

I gorzko się uskarżał na dziedziniec od strony Trebackiej.

– Zbiera się na nim – mówił – tyle markietanów i różnych filiponów, że uczciwy człowiek nie wytrzyma.

Pobiegłem zaraz do pocztamtu po taczki i przewoziłem zecerskie kaszty pana Grölla.

Już wiem, dlaczego hrabina de Lille uciekła zagniewana z teatru pana Bogusławskiego i więcej tam nie pójdzie.

W on wieczór zebrali się w teatrze siła młodzieńców z liceum i trochę mniej z konwiktów. Kiedy chór odśpiewał pieśń obrońców ojczyzny, młodzi zaczęli klaskać, a potem wołać na pana Elsnera, żeby im zagrał pobudkę Armii Renu

Pan Elsner, siedząc jako primier-kapelmajster przy klawicymbale, odwracał tylko głowę, ale nie

wstawał. W końcu jednak musiał wstać i złożyć pokłon spektatorom. Wreszcie, ponieważ gwar i nawoływania nie ustawały, dał znak muzykantom i odegrano pobudkę.

Co usłyszawszy, hrabina de Lille wstała zagniewana i wyszła z łoża.

Byliśmy z Geclem przed Kamrą Pruską, nic nie zdziaławszy. Tyle tylko, że wiemy teraz, jak się to odbywa.

Nie we wszystkie dni pan Hoffmann kupców przyjmuje, bo bywa zajęty pisanie. A kiedy przyjmuje, to tak się śpieszy, że o nic pytać go nie wolno ani o nic prosić.

Na czczo, czyli przed obiadem, daje nazwiska poważne i smutne, a po obiedzie weselsze. Czasem nawet za bardzo.

O dwunastej w południe pan Hoffmann wychodzi jeść. Albo idzie do domu na Freta, albo, jeżeli spotka przyjemną kompanią, to przez chłopaka posyła karteluszek do żony, że ma ważne zajęcie i nie przyjdzie. Zasiada z przyjaciółmi w gospodzie, je i popija.

Przez ten czas starozakonni stoją gęsiego na placu Krasińskich, w sieni i na schodach Kamery Pruskiej. Stoją tak i jedni drugich z trwogą pytają, czy aby pan Hoffmann nie wróci pijany.

A kiedy pan Hoffmann już wróci, pachotek, który Ślęzak jest, krzyczy na kupców: „Achtung!” i wpuszcza ich po jednym.

Przyjmowanie tak się odbywa. W izbie urzędniczej siedzi pan Hoffmann tyłem do okna i wygląda strasznie, jak diabeł. Szyję ma długą, żylastą, okręconą tureckim szalikiem, głowę kosmatą z potarganymi włosami.

W milczeniu, jakby całkiem umarły, pan Hoffmann wpatruje się przez chwilę w kupca, a potem woła pierwsze lepsze słowo, co przyjdzie mu na myśl.

To słowo, które klerk wpisuje do księgi, staje się nazwiskiem. Inny urzędnik pyta kupca o wiek, imię, gdzie mieszka, i każe płacić takse za papier stemplowy. Na zakończenie mówią kupcowi, kiedy ma przyjść po certyfikat, i wprowadzają następnego.

Kiedyśmy tak stali z Geclem, nie wiedząc, co robić, dostrzegłem pachotkę niosącego piwo dla pana Hoffmanna. Gecel obiecał pachotkowi dwa szóstaki, jeżeli wróci i z nami pogada. Przyszedł i dowiedzieliśmy się od niego, że dziś jest piątek, że pani Hoffmannowa, która jest Polka wiary katolickiej, dała mężowi na obiad szczupaka w pietruszkowym sosie, przez co pan Hoffmann wymyśla same rybne nazwiska.

Pachotek mówił, że z panem Hoffmannem nigdy nie wiadomo. W przeszłą niedzielę prowadził chór

Harfa i dostał bukiet róż. Od czego przez cały poniedziałek dawał same różane nazwiska. Wszyscy kupcy byli kontenci prócz jednego, który się teraz nazywa Rozenmedchen.

Inną razą pan Hoffmann wstąpił na Zapiecek i oglądał sprzedawane tam ptactwo. Po przyjściu do biura narobił mnóstwo Foglów, czyli ptaszków, co też się niektórym podobało.

Zdarzyło się raz – opowiadał pachotek – że pan Hoffmann dostał nuty od jakiegoś sławnego organisty; poszedł z tymi nutami do kościoła i tam grał na organach. Nazajutrz w biurze dawał same pobożne nazwiska jak: Helfgot, Paniebożedopomóż, Himmelblau, Kadzidło, Bożedrzewko, Bożakrówka, Książkadonabożeństwa i wszystkie takie.

To znów pan Hoffmann pił przez całą noc z pruskim pułkownikiem. Rano kazał sobie lać zimną wodę na głowę, a kiedy przyszedł do biura, niespodziewany animusz go ogarnął. Zaczął więc nadawać wojskowe nazwiska: Festung, Fojer, Pistolet, Szyspulwer, Trommel, Trompeter, Harmata. Więcej nie zdążył, kupcy się rozbiegli.

Tyle nam opowiedział pachotek i poszedł. Wtenczas z sieni Kamery Pruskiej zaczęli wychodzić kupcy, co już otrzymali familijne nazwiska.

I sprawdziły się słowa pachotkowe. Bo kiedy Gecel pytał o nazwiska, kupcy mówili, że są same

*ryby. Tylem spamiętał, że między nimi był:
Szczupak, Sztokfisz, Wieloryb, Uklej, Frosz, Rybka,
Wajkselisz, Minoga, Rybojad i na dodatek Bocian.*

*Zawróciliśmy, bo Gecel nie chciał mieć rybiego
nazwiska.*

*Chociaż Prusacy zabierają z poczty gazety
zagraniczne, do Warszawy przychodzą wieści z
Paryża i całego świata. Opowiadań różnych
nasłuchasz się bez liku, a niespokojność wśród ludzi
coraz większa.*

*Hrabia de Lille znów się przenosi do Łazienek i
w Białym zamieszka Domku. Już tam się kręca, jak
dawniej, oficerowie rojaliści.*

*Jeszcze zimą był projekt, żeby dla
ukontentowania hrabiego urządzić spektakl na
łazienkowskiej wyspie, ale po tym, co się zdarzyło z
„Przerwaną ofiarą”, pan Bogusławski nawet nie
robi starań.*

*Od jakiegoś czasu krążył po Warszawie „Wiersz
do Legiów Polskich”. Ludzie przepisywali i jedni
drugim dawali do czytania. Od tego wiersza dużo
młodzieniaszków zagrzało się i zapragnęło uciec
na tamtą stronę.*

*Policja pruska, podejrzewając pana Cypriana
Godebskiego o napisanie wiersza, zabrała go z*

*miasta na przesłuchy. Ale pan Godebski
wszystkiego się zaparł; nie mogli mu dowieść winy,
musieli go więc wypuścić.*

*I tak pan Godebski wrócił do swoich „Zabaw
Przyjemnych y Pożytecznych”, które już trzeci rok
drukuje ku zadowoleniu powszechnemu.*

*Jeszcze jeden regiment piechoty odszedł z
Warszawy do nadreńskich krajów, odszedł przez
wolską rogatkę. Żołnierze, sami prawie Polacy,
przez kilka ostatnich dni byli zamknięci w
koszarach. Na miasto ich nie wypuszczano, żeby
się z ludźmi nie mogli pokumać. Zwiedzieli się
jednak nasi o rychłym odejściu regimentu.
Niewiasty poszły pod bramę koszarową żołnierzom
medaliki rozdawać i coś im szepnąć do ucha.*

*Jak tam naprawdę było, nie wiem, ale od ludzi
słyszał, że na pierwszym postoju kilku wojaków
czmychnęło i już są między nami; tyle tylko że bez
mundurów, i gdzieś się pochowali; na francuskiego
cesarza chcą zaczekać.*

*Musi to być prawda, że z marszbatalionów
często uciekają żołnierze, bo na Marywilu można
zawsze kupić wojskowe buty, przefarbowane
płaszcz, nawet pałasze i fuzje.*

*Prusacy kilka już razy urządzali obławy na
handlarzy. Łatwiej by chyba odnaleźć igłę na
pustyni niż parę butów schowaną w Marywilu.*

Choć się urodziłem i wychowałem w Warszawie, choć marywilskie dziedzińce zdeptałem wzdłuż i wszerz, daleko mi jeszcze do poznania wszystkich przejść, skrytek, piwnic i przybudówek, o których nawet panny kanoniczki, zarządzające Marywilem, pojęcia nie mają.

W typografii, gdzie robią „Zabawy Przyjemne y Pożyteczne”, siedzi skromny chudzina, pan Szokalski, który tam błędy drukarskie poprawia, takż pisuje wierszem i prozą, jak kto chce. Uczył się na księdza, ale święceń nie dostał, bo na kaduk, czyli epilepsją, choruje.

Tego nieboraka upatrzył sobie pijak jeden, pan Dalewski, i często na niego w oknie czatował; naprzód pokazywał mu butelkę z rumem, ratafią, hipokrasem albo z gdańską wódką, a gdy to nie skutkowało, wyskakiwał z sieni, za surdut go chwycił i do kwatery zaciągał. Tam pierwiastkowo perswazją, potem siłą do picia zmuszał i sam się upijał.

Od czego pan Szokalski na słomianych nogach do drukarni przychodził, w niepomierne zdumienie pana Godebskiego wprawiając.

Żeby uniknąć takich przypadków, pan Szokalski przestał chadzać ulicą Daniłowiczowską, gdzie jego prześladowca mieszkał.

Co znów zmiarkowawszy, pan Dalewski zaczął odwiedzać drukarnię, rum ze sobą przynosił, pana Szokalskiego do picia przymuszał i tak powtarzał: „Nie zabawiaj się literaturą, tylko ze mną pij!”.

Raz po takim poczęstunku pan Szokalski spadł z krzesła, a to choróbsko zaczęło nim rzucać na wszystkie strony i mało ducha nie wyzionął.

Co widząc, zecerzy bardzo niedobrze obeszl się z panem Dalewskim i odtąd przestał przychodzić do drukarni.

Mówił mi bogaty stolarz, pan Gerlach, co to wygrał zegar piaskowy na loterii pod Blachą, że wojna nigdy się nie zaczyna przed żniwami; bo ten, który napada, musi mieć w kraju nieprzyjacielskim chleb dla swoich żołnierzy.

W mojej karczmie coraz się częściej przytrafiają bójki między gośćmi. Śród królewskich Francuzów nie brak pono takich, co cichaczem służą panu Gallon-Boyerowi. Ale i hrabia de Lille ma swoich służków między cesarskimi.

I tak się nawzajem pilnują, podsłuchują, zmawiają, spiskują, nie żałując oszczerstw, a nieraz i pięści. Przez te kłótnie butelki fruwają, czasem ktoś kogoś stołkiem zdzieli albo podbije mu oko.

Od godzenia gości mój gospodarz Coulon sam nieraz oberwie po karku, czemu się nie dziwi, boć to szynkarski obowiązek.

Pan Linde musi teraz bez ustanku biegać; lekcje ma w pałacu Saskim, inne znów sprawy na mieście.

W Warszawie grasuje jakaś niezdrowa gorączka od doktorów za nieregularną uznana. Nikt przez nią nie umiera, tylko chorzy się skarżą na łamanie w kościach, ból głowy, dudnienie w płucach i bzykanie w uszach. Leżą więc, kwiat lipowy piją i na wyzdrowienie czekają.

Zachorował pan Kitajewski, który w Liceum chemii uczył. Zastąpił go pan Pawłowicz, co o minerałach wyklada. Ale i pana Pawłowicza gorączka powaliła i teraz zastępuje go pan Linde. Ponieważ na minerałach nic się nie zna, nakazuje uczniom piłkę się zabawiać.

Byłem wczoraj w pałacu i w piłkę grałem z uczniami. Pan Linde przez cały czas stał w otwartym oknie i patrzył na nas przez szkiełko, bo wzrok ma słaby. Wesółym wołaniem do zabawy zagrzewał.

I znów odwiedziłem dworek pana Zadory na Nalewkach. Wszystko zastałem w porządku. Pompa

ciągnie wodę, bzy kwitną jak w zeszłym roku, a w stawach żaby kumkają.

Dużo tam jest pięknych gospodarstw. Śród nich dworek pana Zadory chyba najładniejszy. Niewysoki, drewniany, ale czyściutko wapnem bielony, okiennice ma zielone, a ganek opleciony powojem.

Pan Zadora ożenił się niedawno ze śliczną panną mieszczańskiego rodu, której na imię Klara. Słyszałem, że ją wielce miłuje. Dla niej pompę założył, żeby nigdy nie brakło świeżej wody.

Pan gubernator von Wendessen wzywał do siebie doktorów warszawskich i pytał, co myślą o dręczącej ludność gorączce. Doktorowie odrzekli, iż jest to gorączka katarowa w febrę przepuszczającą łatwo przechodząca i niezupłennie regularna. Na co w cięższych przypadkach bańki dobrze jest stawiać dla odciążenia złych humorów, które się w piersiach gromadzą.

Kawalerowie spod Blachy mieli gorącą eksplikacją z jednym panem, który się nazywa Ropelewski i który sobie zamówił u krawca zielony frak z czarnym kołnierzem i żółtą podszewką, a do tego wdział spodnie papuzie. Chcieli się z nim rąbać na Rajszuli.

*O czym się dowiedziawszy, żona tamtego pana,
pani Ropelewska, przybiegła do hrabiny
Tyszkiewiczowej, by darowanie winy wyblagać;
płaczu, słabości, mdlenia dość tam było.*

*Księżę Józef pojedynku zabronił, a prawo miał,
boć te fraki ku jego chwale były szyte.*

*Jeden tylko pan Kicki, spotkań szablistych wielki
miłośnik, choć już od niewiast prześlągany,
chmurny pozostał. Mówił mi o tym Kerner.*

*Od Polaków z włoskiej ziemi rozestąncy listy do
kraju przywieźli. Ma być nowa wojna, już ostatnia,
a po wojnie ma nastać wolność, równość i
braterstwo.*

*Na Miodowej u ojców kapucynów był wczoraj
ślub Barbarki Hiżówny z młodym Mayem.*

*Spektatorów tylu się zbiegło, że kościół
wypełniwszy, na ulicy stali, jedni drugich o nowiny
pytając.*

*Ja tam bez kłopotów wszedłem i takem się
przepchał do ołtarza, choć ludzie trochę szemrali.*

*Bardzo lubię patrzeć na ojców kapucynów, jak
ślub celebrują, bo występuje ich najmniej trzech, a
wszyscy mają brody na kształt rabinów.*

*Barbarka, acz blada i skonfundowana,
odpowiadała z sensem i wyraźnie. Kiedy kapłan*

*obrączkę na palec jej włożył, dwie drużny, panna
Ewa Bieńkowska i panna Marta Peszkówna,
głośnym wybuchły płaczem. Co słysząc, trzecia
drużna, panna Dorota Fitkałówna, zaśląbla i
zemdląła.*

*Ubogim ludziom, żeby nie głodowali, rozdają
teraz zupę na kościach i kromkę chleba.*

*Na wspomnienie tej zupy śpiewacy z bractwa
Harfa urządzili koncert, pan Amadeusz Hoffmann
chórom przewodził, a pojedynczy panowie grali na
różnych instrumentach. Po koncercie poszli na
poncz do Suchego Lasu.*

*Tam gorzkie wymówki czynili jednemu, że cudzą
rzecz, na skrzypkach zagrawszy, podał jako
własną.*

*Skrzypek się tłumaczył, że chciał lepiej
przerobić, ale mu czasu nie starczyło.*

*Taki nastał niepokój między heretykami, że aż
Pruska Kamera w to się wdała. Mieszczanie
saskiej wiary¹*

*, którzy sobie niedawno okrągły kościół
wybudowali, zaczęli łajać proboszcza, że nie
odprawia nabożeństw jak się należy, kalwińską*

¹ Saską wiarą nazywano wyznanie ewangelicko-augsburskie.

surowość wprowadzając. Zażądali, żeby podczas komunii zapalano świece na ołtarzu i żeby we wszystkim była większa uroczystość, jak to się widzi w kościołach rzymskokatolickich.

Proboszcz nie ustąpił. Mówią, że niezadowoleni z tego parafianie chcą sprowadzić innego proboszcza. I będą dwaj proboszcze sobie przeciwni.

Mnie tam nic do tego, bo i tak u nich na nabożeństwie nie bywam. Raz tylko wlażłem na samą górę ich kościoła, żeby panoramę Warszawy zobaczyć. Widziałem Raszyn, błonia za wolską rogatką, a z drugiej strony Wisły widziałem Pragę i Grochów.

W karczmie Coulona dzieją się dziwne rzeczy. Jeszcze dobrze nie wiem, o co im poszło, ale com zmiarkował, zapisuję.

Ci dwaj, co to szeptać lubią, byli któregoś wieczora, popijali wódkę z Coulonem i poszli z nim gdzieś, skąd wrócił nad ranem całkiem pijany. Musiałem wstawać i pomagać w układaniu go do snu, bo z nóg się walił.

Jeden dzień minął i znów po niego przyszli. Tym razem wrócił trzeźwy, ale chmurny był i przed pójściem spać długo marudził w izbie od ulicy. Ze świeczką tam siedział i, jakem to z dźwięku mógł wymiarkować, pieniądze liczył.

Żona, niespokojna będąc, wdziała sandały i do niego poszła. Spierali się o coś długo i zapamiętałem, a z tego, com, w mej komórcie leżąc, usłyszał, zmiarkowałem, że Coulon sam siebie za straconego uważa.

W Wilanowie miała się odbyć zabawa dla hrabiego de Lille, którą pan Stanisław Potocki przygotował. Ogrodnicy postrzygli pięknie drzewka, a ścieżki wysypali piaskiem wiślanym.

Pan Potocki miał deklamować różne wiersze łacińskie i greckie, których jest wielki miłośnik. I raptem wszystko odwołano; zabawy nie będzie.

Opowiadali mi Francuzi, że pan Potocki często bywa w Łazienkach, gdzie z hrabią de Lille starożytnych autorów czytuje. Obaj są zawzięci na grekę i łacinę; kiedy się zejdą, o bożym zapominają świecie. Słyszałem, że pan Potocki inaczej wymawia słowa łacińskie, a hrabia znów inaczej, o co się spierać mogą do upadłego.

Coś się musiało przytrafić hrabiemu de Lille, bo gubernatorski adiutant, pan Tilly, dwakroć jeździł do Łazienek, wracał i znów jeździł.

Oficerowie z domu Wasilewskiego prawie wszyscy poprzenosili się do Ujazdowa. Obstawiwszy Łazienki, pilnują wejść do parku.

*Obcych, czy to będzie Francuz, czy Polak, precz
odpędzają.*

*W cyrku na Brackiej można teraz podziwiać
menażerią pana Crotti, który tam nazwoził siła
zwierząt nigdy dotąd nieoglądanych. Jest familia
małp z Bryzelii, czyli ojciec, matka i dwoje
dzieciątek; jest struś z miasta Kairo, co wszystko
łyka, nawet cegłę i klucze; jest afrykańska hiena w
powszechnej pogardzie żyjąca; jest wotur i jest
satyr w lesie schwytany; jest ptak kazuar bez
języka; jest dziki warchlak amerykański, co w
wodzie pływa i nurkuje. Są jeszcze inne potwory,
których spałiętać nie sposób, bom tylko anons
czytał.*

*Do karczmy przyszli policaje i uprowadzili
Coulona.*

ROZDZIAŁ VIII

Filipek ucieka z karczmy. – Znajduje nocleg u starego rzeźbiarza świątków. – Spotkanie z Cnotą.

– Pułapka na Gołębiej. – O czym działo się przedtem. – Z nocy dzień, z dnia noc. – Tęsknota za starą kolumną. – Czy jest na świecie drugie takie miasto? – Coulon oskarżony o usiłowanie otrucia.

– Kat z ulicy Wesolej. – Trzy marchewki dla hrabiego de Lille. – Pan Borowski zaprasza Filipka na Mostową. – Prusacy lękają się zarazy.

Dobrześ postąpił, mój Filipku, żeś nie marudził zbytnio. Przyszli o siódmej rano z wielkim krzykiem i kopaniem we drzwi wedle pruskiego obyczaju.

Byliśmy już ubrani, po rannym posiłku, kiedy ich licho przyniosło. Siedziałem w izbie od ulicy, przy stole, myśleli więc, żeś obcy, i nawet nie pytali, kim jestem. Coulonowi nałożyli kajdanki na ręce i razem z żoną go powiedli.

Jak wyszli, myślę sobie, że to pewnie jeszcze nie koniec, że lada chwila wrócą i zaczną grzebać w mieszkaniu.

„Umykaj, mój Filipku – powiadam sobie – umykaj!”. Nie zwlekając, spakowałem chudobę do worka, książeczki też zabrałem i dla kurażu tyknąłem kwaterkę wódki.

Przed wyjściem zamknąłem drzwi od ulicy, potem kuchenne, klucz zabrałem i już mnie nie było. I takem szedł, rozglądając się wkoło do ulicy Freta, ale dlaczego tam zawędrował, a nie indziej, tego nie zgadnę.

Na Frecie wstąpiłem do kościoła dominikanów, gdzie właśnie mszę uroczystą, nie wiem z jakiej okazji, odprawiano. Trochę się pomodliłem, więcej medytowałem, co dalej robić. Na chórze dziewice w bieli śpiewały pięknie i rzewnie. Od czego pokrzepiony na duchu, wiarą w Opatrzność ogarnięty, zabrałem mój tobołek i wyruszyłem na rajcę.

Worka trzeba się pozbyć, rozmyślałem, boć stale nie będę go dźwigał. I takem zaszedł aż na Nowe Miasto, gdzie koło kościoła Panny Marii mam znajomego cieśla. Ten cieśla, starością nękany, rzucił swoje rzemiosło i teraz z drewna figury świętych pańskich struga, na odpustach sprzedając.

Pomogłem mu kiedyś podczas odpustu u Świętego Bonifacego w Czerniakowie, toteż łaskawie mnie powitał, a dowiedziawszy się, żeś bez kwatery, na pomieszkanie zaprosił. Samotny jest, wdowiec.

– Długo tu nie wytrwasz – rzekł.

Bo między nocą a dniem ten cieśla nie widzi różnicy. Bywa tak, że przemarudzi dzionek, o zmierzchu idzie spać, godzinę albo dwie spoczywa i nagle wstaje, krzesze ognia, zapala olejną lampę i zaczyna pracować. Przez co stukot jest aż do piania kogutów.

Przesiedziałem u cieśli cały dzionek, a jak pociemniało, rzekłem mu:

– Pozwólcie, ojczy, że was samego zostawię. Chce mi się iść na miasto, bo mnie niecierpliwość ogarnia coraz większa, spokoju zaznać nie mogę.

Zgodził się na to, bom mu już był opowiedział o moim przypadku u Coulona. Przestrzegł, żebym na Gołębią nie zaglądał, bo tam mogą być szpiegowie pruscy za poćciwych ludzi poprzebierani.

Ustuchałem rady starego i, choć mnie ciekawość dręczyła, omijałem z dala oberżę. Kiedym tak szedł smętny po Freta ulicy, o dalszych losach rozmyślając, podbiegł do mnie Cnota-Nowicki.

– Nocleg masz?

Powiedziałem mu, że u cieśli. Rzekł na to, że chciał mnie do siebie zabrać i dlatego szukał. Prusacy po uprowadzeniu Coulona i jego żony w pół godziny wrócili do oberży, a zastawszy oba wejścia zamknięte, z przekleństwami donnerwetter i hałasem wielkim drzwi tylne wyłamali, przetrząsnęli wszystkie kąty, potem sprowadzili ślusarza, kazali drzwi od ulicy otworzyć i urządzili

pułapkę na gości. W ten sposób złapali kilku niewinnych Francuzów, co w bilard chcieli zagrać. Tych trzymają teraz zamkniętych w kuchni.

Mówił mi jeszcze Cnota, że po Gołębiej biegają nasi chłopaczkowie, niby to w piłkę igrając; idącym szeptem mówią, żeby oberżę omijali, bo tam zasadzka.

Nikt w mieście nie wie, za co Coulona zabrano, ale musiało się stać coś ważnego, bo różni dostojnicy z Kamery Pruskiej do Łazienek jeździli, a do Kamery znów jeździli dworzanie hrabiego de Lille. Między Francuzami, którzy w domu Wasilewskiego mieszkają, poruszenie jest i niepokój.

Gadaliśmy z Cnotą dość długo, chodząc po zaułkach i bacząc, czy gdzie Prusaka nie ma. I zgodniśmy wyrozumowali, że już nie mogę pod moją kolumną stać, bo tam mnie złapią. Trzeba się więc wynieść z Warszawy gdzieś na ubocze, choćby za rogatki. Trzeba też pomyśleć o zarobku.

Cnota mówił, że mógłbym spokojnie zarabiać, przepisując różne facecje, które układa pan Alojzy Żółkowski. Te facecje Cnota cichaczem sprzedaje, a ponieważ wszystkich zna, wie, komu można ofiarować. I tak się z panem Żółkowskim zyskiem dzielą, ale pan Żółkowski nie może z przepisywaniem nadążyć.

– Wiem – rzekł mi Cnota – żeś człek piśmienny, tylko bym musiał zobaczyć wprzód, jakie jest twoje pismo.

Pokazałem mu zaraz kilka kartek, które miałem przy sobie. Pokiwał głową, posmutniał.

– Szkoda, to się nie nadaje. Nam potrzeba lepszego pisma. Każda literka musi być czysta jak peretka.

I mnie się żal zrobiło, bo bardzo lubię pana Żółkowskiego i chętnie bym przepisywał jego facecje.

Umówiłem się z Cnotą, że będzie za mnie roznosił listy pana Lindego. Na co zgodził się chętnie, bo i tak po całym mieście biega, gospody odwiedzając.

Pytałem go też, czyby nie zechciał dyliżansów pocztowych popilnować, bo mógłbym pożyczyć moich taczek. Powiedział, że czasu mu nie starczy; zamiast skrzyń i kuferków woli roznosić anonse teatralne i cichaczem sprzedawać lwowskie gazety przez przemysłników dostarczane. Publiczność chętnie je kupuje, bo w nich jest dużo złego powypisywane na Prusaków.

Gadając o różnych sprawach, zaszliśmy z Cnotą do garkuchni nad Kamiennymi Schodkami i zjedliśmy wieczerzę. Pytał, czy mam pieniądze, i chciał je dawać. Powiedziałem, że mi starczy na kilka tygodni życia, a co będzie dalej, zobaczymy. Może wygram domek na Przyryнку.

Wypiliśmy jeszcze dwie glinianki wareckiego piwa i zaraz nam się weselej zrobiło. Cnota powtarzał i upominał, żebym się za dnia nie włóczył po mieście.

– Jak się dowiem czego pewnego – rzekł – odwiedzę cię u cieśli i wszystko opowiem.

Minęło dni pięć, odkąd jestem u cieśli na kwaterze. Mój gospodarz dnia nie odróżnia od nocy, żadnych nie uznaje godzin, a z kalendarza zna tylko daty odpustów pod Warszawą. To mu wystarcza – mówi – i jest całkiem szczęśliwy.

Śpi różnie, czasem do południa, czasem dłużej. Jeżeli dzień jest ciepły, wynosi klocki na dwór i ustawia je w cieniu, żeby spokojnie wysychały. Te klocki zajmują pół izby na wysokość człowieka. Przekłada je to wyżej, to niżej, ciosa i piłuje.

Zmiarkowałem, że najważniejszej roboty, czyli strugania figur, nie rozpoczyna nigdy za dnia, tylko wieczorem, kiedy już ludzie spać się ułożą. Wtedy klęka, odmawia pacierz i z ociąganiem, jakby z nieśmiałością, bierze się do pracy. Nigdy nie robi dwu jednakich figur, każda jest inna, ale na pierwsze spojrzenie można poznać, że ten jest święty Jacek, ten święty Antoni, a tamten święty Jan z Oleju.

Na półce, com mógł policzyć, stoi u cieśli ze czterdziestu gotowych świętych, a każdy na swój sposób niepodobny do reszty.

Pomagam gospodarzowi w piłowaniu drewna, przekładaniu klocków i ochędóstwie domowym. Gotuję strawę i biegam po piwo do bawarii. Żyjemy zgodnie, ale rozmawiamy z rzadka, bo cieśla jest człęk zamknięty w sobie.

Minęło kilka dni i pisać mi się nie chciało. Oczy moje wciąż widzą kolumnę Zygmunta i żal, że już pod nią stanąć nie mogę. Był piątek, nie poszedłem do dobrodzieja z pijarskiej drukarni, bom się bał.

Cnota mówi, że Prusacy bili Coulona, ale za co, nie mógł się dowiedzieć. Trzymają też w zamknięciu, jego żonę.

Tak sobie wczoraj, piłując klocki, rozmyślałem, że chyba długo u cieśli nie wytrzymam. Święty to człowiek, ale melankolia ogarnia mnie coraz większa od takiego przez cały dzień milczenia. Chyba się do innego miasta przeniosę. Ale czy jest na świecie drugie takie miasto?

Aż się zasapał Cnota, tak biegł, żeby mi nowinę oznajmić.

Dowiedział się o tym od pana Alojzego, a pan Alojzy od innych aktorów, a aktorowie od pana Amadeusza Hoffmanna, z którym poncz w Suchym Lesie piją.

Coulon jest oskarżony, że chciał otruć hrabiego de Lille, co mu się nie udało. Tak powiadają Prusacy.

Francuzi znów mówią, ci królewscy, że wcale nie chciał otruć, tylko na śledztwie tak zeznał, bo go bito.

Rzekł mi jeszcze Cnota, że Coulonowi grozi śmierć przez odrąbanie głowy toporem, do czego zamówiono już kata, co to ma dworek z ogródkiem przy ulicy Wesolej na Faworach.

Cnota obiecuje, że przez jutrzejszy ranek nazbiera więcej wiadomości i zaraz do mnie przybiegnie.

Minęła już południowa godzina, cieśla śpi, a Cnota jeszcze nie przyszedł.

Rozmyślam, czym dobrze postąpił, żem się ukrył. Chybaby mi zbyt wielkiej krzywdy nie zrobili, bom przecie nie truciciel i o niczym nie wiem. A tak, ponieważ się kryję, sam na siebie podejrzenie sprowadzam.

Może by wrócić do miasta? W najgorszym razie złapią, potrzymają w więzieniu.

A co będzie, jeżeli i ja się przyznam do winy?

Ten kat, widziałem go kiedyś, ma oczy jasne jak woda, włosy jak len, a na czole bruzdę głęboką, która mu biegnie między brwiami. Widziałem jego posesję na Wesolej, jego dworek choć nie murowany, ale zamożny i czysty.

Widziałem kiedyś, chodząc po Faworach, jak pan kat zawiesza na drzewach budki dla szpaków, jak podlewa kwiatki w ogrodzie, rzuca gołębiom jadło. Wiem o nim tyle, że jest nie naszej wiary.

Zmrok zapadał, kiedy przyszedł Cnota, bo wcześniej nie mógł. A przyniósł tyle wiadomości, że od słuchania aż zakręciło mi się w głowie.

Przy cieśli Cnota nie chciał gadać, więcśmy zaczekali, póki się nie ściemni, i poszliśmy na piwo do gospody, co na Kamiennych Schodkach. Postaram się wiernie tu wyłożyć wszystko, com usłyszał.

Coulon – tak opowiadał Cnota – przygotował trzy marchewki drażone, napełnił je trucizną i poszedł do Łazienek, do kucharza hrabiego de Lille. Zamierzał wrzucić marchewki do garnka, w którym się zupa gotowała. Od czego hrabia, hrabina i inna szlachta francuska byliby pomarli.

Do tego wszystkiego Coulon miał się przyznać, kiedy go zbito, potem się zaparł, a potem znów się przyznał.

Spytałem Cnotę, skąd ma te wiadomości. Powiedział, że z Kamery Pruskiej przez pana Hoffmanna, który w sekrecie mówił o tym aktorom.

Tu zamyśliłem się na chwilę, czy warto Cnocie tłumaczyć, że to może inaczej było, że marchewki kto inny mógł wydrążyć i trucizny napchać. Ale Cnota myśli moje przerwał, mówiąc:

– Aha, byłbym zapomniał ci rzec, że widział pana Borowskiego. Wie, żeś czmychnął z oberży i że się tułasz bez zajęcia. Gdybyś zechciał, mógłbyś się bezpiecznie w jego szpitalu ukryć. Prusacy nigdy tam nie zaglądają, bo się zarazy boją. Mówił jeszcze pan Borowski, że gotów cię wziąć na czeladnika felczerskiego, boś sprytny. Za co miałbyś stancję po społu z drugim czeladnikiem, dobry wikt i coś niecoś grosza.

Na zakończenie Cnota mi tłumaczył, że szpital na Mostowej to najpewniejsza kryjówka. Zawsze tam jest kupa bab i dziadów, którzy we dnie żebrzą pod kościołami, a w nocy nie mają gdzie spać i do szpitalnych pomieszczeń się garną, na co im konstytucja Świętego Łazarza od wieków zezwala, boć taki był i jest dziadowski przywilej.

ROZDZIAŁ IX

*Filipek w nowej roli. – Radość z własnego okna.
– Nocny dyżur. – Kilka uwag o mieszkańcach ulicy*

Mostowej. – Urządzenia, rygory i obyczaje szpitalne. – Czy Coulon zamierzał otruć hrabiego de Lille? – Sezonowy połów rekruta. – Stracone taczki. – Panna w saliwacyjnym pudle. – Doktor Roemer odwiedza chorych. – Zagadka starego spichlerza. – Rosotów było cztery. – Poważny kłopot z gnojnikiem. – Cyrulik i jego trębacz. – Coulon skazany na więzienie. – Pełnia księżycy. – Hospodi, pomituj! – Filipek opuszcza szpital. – Raport bractwa Św. Łazarza.

Od wczoraj jestem czeladnikiem felczerskim w szpitalu na Mostowej. Mam stancję prawie własną do spółki z innym czeladnikiem, którego nigdy nie widzę, chyba przy zmianie. Bo tak się dzielimy zajęciem, że przez dwanaście godzin ja mam być na sali, a przez drugie dwanaście ma być on.

Czasem wypada mi dzień, czasem noc wypada. W stancji mojej sam sobie jestem panem. I mam okno, którego nie miałem u Coulona.

Mam okno! Mogę je otwierać i zamykać, mogę zasłaniać kitajką, mogę wysunąć z okna głowę i patrzeć, patrzeć, ile mi się chce.

Z okna jest widok na mały lasek brzozowy, od którego sąsiednia ulica Brzozowa się nazywa. W lasku między drzewami widać dużo pagórków. Na niektórych pagórkach stoją drewniane krzyżyki, na innych nie ma nic, tylko trawa.

Pan Borowski wyznaczył mi na pierwszy tydzień same noce, żebym się z wolna ze szpitalem oswajał. W nocy nie ma prawie żadnej roboty i można sobie pospać, siedząc przy stole.

Chodzi tylko o to, żeby w porę do lampy oleju dolać, knot poprawić i mieć baczenie na chorych. Pilnować dzbanka z tyzaną gwajakową i dawać ją w kubku na żądanie.

Chorych mężczyzn jest trzydziestu i czterech. Każdy ma własne łóżko z zasuwanymi firankami z zielonej kitajki. Jeżeli który zapragnie wyjść za potrzebą, a słabuje, muszę mu pomagać.

Choć to surowo zakazane, nie brak takich, co lubią w nocy lulkę pokopcić. Skradają się więc cichutko do mojego stolika i proszą z pokorą, żebym im od lampy ognia użyczył. Nie robię trudności, bo choć sam tabaczanego dymu nie lubię, nic mi to nie szkodzi. Upominam tylko, żeby pożaru nie wzniecili.

Słuch mam czujny, a sen lekki. Mogę więc drzemać noc całą przy stoliku i na wszystko baczyć, a rano jestem wypoczęty i już spać się nie kładę.

Prusacy tak się wszelkiej zarazy boją, że omijają nasz szpital z daleka. Przez co spokojnie sobie

chodzę po ulicy Mostowej bez obawy spotkania policaja.

Kilka dni tu mieszkam, a jużem porobił znajomości i zdążyłem polubić nową ulicę. Duży tu ruch i zgiełk, w niektórych domach aż rojno od chrześcijańskich kupców. Są cebularze, co po mieście chodzą ze słomianymi koszatkami na głowach, pooplatani wiązками cebuli. Są jarostawiaczy, co w siecianych workach orzechy noszą, a potrząsając onymi, łoskot czynią; tych najwięcej mali chłopaczekowie lubią, bo na orzechy łasi i skorzy do grania w cetno-lichu. Są andrychowiacy, co objuczeni jak dromadery chodzą, wołając: „Kołdry, kołderki, kołdereczki!”. Są garncarze, co zamiast czapek wkładają na głowy rynki z czterema nóżkami i dźwigają kosze naczyń glinianych; przystaną gdzie na dziedzińcu i tak zawodzą: „Garnków, rynków, dzbaneczków!”.

Na Mostowej mieszka kilka respektowanych rodzin, które, odkąd Warszawa istnieje, nic nie robią, tylko rybackie sieci wyplatają. Można też u nich kupić najlepszych nici lnianych.

Co dnia tak bywa, że połażę z kąta w kąt po ulicy, popatrzę, co jest ciekawego, pogadam z ludźmi i kontent wracam do szpitala.

Izba męska, w której spędzam nocę, zajmuje prawie pół budynku i jest oddzielona kaplicą od

izby niewieściej. Wolnego przejścia nie ma, bo kaplicę z obu stron zamykają na klucz, a otwierają tylko w czasie nabożeństw. Chory, jeżeliby zechciał, może się spowiadać przez małe okienko w ścianie.

Jest jeszcze sień, kuchnia, piec piekarski i schody drewniane. Pawiment w sieni z cegły ułożony. Tam stoją cztery magle; kobiety z miasta bieliznę do maglowania przynoszą.

Na górze są różne izby, a wchodzi się do nich przez ganek dokoła domostwa biegnący. W najlepszej izbie doktor Roemer bywa i listy pisuje, tam też księgi szpitalne leżą. W drugiej znów izbie różne stoją sprzęty, w trzeciej jest kasza w workach, mąka i sól, w czwartej – apteka. Co się mieści dalej, tego nie wiem, bom tam jeszcze nie zajrzał.

Po lewej ręce od szpitala, który jest pośrodku dziedzińca, stoi infirmeria murowana. Dom duży z czerwonej cegły, a chorzy go się lękają. Dlaczego, później opowiem, jak będę lepiej wiedział.

Wchodzącemu do infirmerii dają się widzieć schody drewniane, pod którymi jest komora, a w niej wanna bednarskim kunsztem sporządzona. Ciepła woda kurańskiem prosto ze ściany leci.

Za schodami, przy tym samym piecu co i kąpiel, mieści się pralnia; tam dwie praczki pościel i bieliznę szpitalną codziennie piorą. Chyłkiem przyjmują też z miasta do prania, choć doktor

Roemer surowo tego zakazał i już kilka praczek precz przepędził.

Na górze są dwie izby: męska i żeńska, ścianą przegrodzone. Tam chorzy i chore na kąpiel czekają – na saliwacje, okadzanie siarkowe, purgowanie, i po przejściu onych spoczywają. Są jeszcze inne izby, o których opowiem, jak będę miał dzienną służbę z panem Borowskim.

Od jutra rozpoczynam drugą zmianę razem z panem Borowskim w infirmerii.

Przez ten czas, com ciągle drzemał przy olejnej lampie, ułożyła mi się w głowie sprawa Coulona.

Mógłbym przysiąc, że Coulon nie wpadł na pomysł otrucia hrabiego de Lille, bo i po co? Marchewki dali mu tamci dwaj, co to przychodzili z nim szeptać. Dawno spostrzegłem, że Coulona do czegoś złego namawiają. Przywozili mu anizetkę, dawali też pieniądze na wykupienie rewersów za bilard.

Coulon jest prostak – brał, co wpadło do rąk. Aż raptem ci dwaj przynoszą marchewki i mówią: „Dostaniesz dużo luidorów i paszport, będziesz mógł wrócić do Francji i spokojnie tam żyć. Wymagamy tylko od ciebie, żebyś te marchewki wrzucił do garnka w kuchni hrabiego de Lille. Znasz kucharza, łatwo ci to przyjdzie”.

Co im odrzekł Coulon, tego nie zgadnę. Domyślam się tylko, że pobiegł do swego dawnego pana, barona de Milleville i wszystko mu wyznał. Na mój rozum nie mógł inaczej postąpić.

Pan de Milleville, tak to mi się widzi, zawiadomił Łazienki. Była pewnie narada i doszli do wniosku, że to ludzie Gallona-Boyera przygotowali trucicielstwo. Przysięgłbym, że było tak, nie inaczej.

Cóż, kiedy Prusacy boją się pana Boyera i wedle jego woli prowadzą śledztwo.

Poćciwy Cnota był u dobrodzieja w drukarni pijarskiej, zamiótł mu izbę i opowiedział o moich przypadkach.

Dobrodziej wielce się zafrasował i radził cicho siedzieć, po mieście łązić jak najmniej, czekać przykazał.

Na pewno, mówił dobrodziej, coś się rychło odmieni, bo u Prusaków coraz większy niepokój, wojsko na zachód posyłają, a po wsiach i w Warszawie łapią rekruta.

Tu mnie Cnota pouczył, że od kilku dni feldfeble chodzą po karczmach i wypatrują młodych a krzepkich chłopaków. Niech się taki upije, przysiadają się doń z gorzałką i, niby to żartując, wkładają mu bermycę na łeb. Od tej chwili chłopak już przepadł. Biorą go pod pachy i do koszar

prowadzą, wołając, że na ochotnika się zgłosił. W gospodzie India na Podwalu w ten sposób wczoraj jednego już złapali i zaraz potem drugiego.

Mówił jeszcze Cnota, że go pan Magier zatrzymał i pytał, co się stało, dlaczego pod kolumną nie stoję. Przekupki też są niespokojne i powtarzają, że mnie zły los mógł spotkać, że pewnie już w regimencie jestem.

Na sam koniec, przez delikatność, żeby mnie za bardzo nie zasmucić, opowiedział Cnota o pocztamcie i taczkach; że pocztylioni, nie mogąc się doczekać, zrobili spółkę z jednym młodziakiem, który dawniej w farfurni pana Wolffa był za palacza, dali mu moje taczki i teraz młodziak ten odwozi kufry przybylców.

– Ano, trudno – rzekł Cnota – odżałuj tych tacek, bo lepiej taczki stracić, niż dać się złapać.

Pan Borowski był czegoś zły. Kiedyśmy jedną pannę do skrzyni saliwacyjnej zamykali, płakała gorzko.

– Zmiłujcie się, dobrzy ludzie – tak zawodziła – toć wiem, że łupania w zębach od tego dostanę i dziaśła mnie rozbolą!

A pan Borowski odpowiadał:

– Cierp, dziewko wszeteczna, cierp. Nie byłoby sprawiedliwości na tym świecie, gdybyś nie cierpiała.

Do saliwacji

chorzy wdziewają długie koszule z surowej wełny, bo każda inna szata od jadowitych waporów niszczeje i barwę traci. Podnosimy pokrywę skrzyni, ładujemy kogo należy i zamykamy w ten sposób, że mu tylko głowa na wierzch wystaje.

Od tyłu są w skrzyni małe drzwiczki. Tam wsuwamy rozpaloną cegłę i sypiemy na nią cynober. Przez ten żar cynobrowa substancja topi się i zamienia w obłok. I tak siedzą w tym dymie chorzy dłużej albo krócej, wedle tego, co zaznaczono w doktorskiej recepcie.

Pospolitym ludziom dajemy zwykły cynober, a bogatszym, którzy za to zapłacą, dorzucamy na cegłę wonnych ziół, nawet jantarowego pachnidła. Przez co leczenie jest przyjemne i chorych rozwesela.

Ta panna, co się tak skarżyła, nie miała pieniędzy. Żal mnie ogarnął i mówię cicho do pana Borowskiego:

– Pozwólcie, jegomość, że ze swej kiesy szóstaka wyłożę i dajmy jej pachnidła.

Kiwnął głową pan Borowski i zrobił, o co prosiłem. Zaraz panna poweselała.

¹ Saliwacja od łac. saliva, ślina. Zabieg ten powodował bolesne zapalenie dziąseł i obfite ślinienie.

Różni bywają chorzy. Jedni z własnej nieprzymuszonej woli przychodzą, innych zaś, a są to niewiasty, gwałtem sprowadzać trzeba.

Zaraz na powitanie każdy nowy chory dostaje purgens, żeby się grubszych plugastw mógł pozbyć. Jak to już nastąpi, dwaj pachotkowie prowadzą go do pralni, gdzie pod schodami jest kąpiel, i tam go myją szczotką z mydlinami. Czysto przyodżian w szpitalne szaty, czeka na doktora, o swej chorobie rozmyślając.

Doktor Roemer dogląda chorych codziennie po południu. Przed jego przyjściem otwieramy na oścież okna dla odświeżenia powietrza, a w obu izbach, męskiej i żeńskiej, podpala się kadzidło.

Surowy jest doktor Roemer, na chorych krzyczy. Sam ich palcami nie dotyka, na rękach ma zawsze rękawiczki. Badaniem zajmuje się pan pryncypialny cyrulik. I co u chorego spostrzeże, to po łacinie doktorowi przedkłada. Ten zaś dyktuje, co trzeba zrobić: albo saliwacje, albo okadzanie siarczyste, albo mazanie przy ciepłym piecu, albo wciórki na sucho, albo dekokty różne, gwajaki i salsaparylle wyznacza.

Na szpitalnej posesji stoi spichlerz stary. Ludzie mówią, że za dawnych czasów był tam kościół, co widać choćby z tego, że nad wejściem jest wizerunek anioła.

W tym spichlerzu są tacy chorzy, którzy już nigdy do zdrowia nie powrócą. Nawet ich doktor nie odwiedza. Tyle tylko, że czasem pan pryncypialny cyrulik tam zajrzy. Ale karmimy ich rzetelnie, jak resztę chorych.

Kiedym raz wyraził ciekawość, że chciałbym ich obejrzeć, pan Borowski rzekł:

– Nie śpiesz się, za kilka dni będzie pełnia księżyca, sami cię odwiedzą.

Tylem się dowiedział, że ci chorzy to ruscy wojacy, że jeszcze przed insurekcją byli tu przysłani na leczenie. Po rozbiórce Polski zapomniano o nich i tak już zostali na łaskawym chlebie szpitalnym.

Przed doktorem Roemerem jego poprzednik, doktor Dziarkowski, zrobił w szpitalu prawo, że ilu jest chorych, tyle ma być codziennie kupione funtów wołowiny.

Z mięsa tego robi się rosół, wydawany aż cztery razy dziennie. Bardzo to sobie chorzy chwalą, bo każdy wie, że na sił wspomóżenie nie ma nic lepszego.

Obiady też są dobre. Często bywa krupnik na baranich kościach, owsiany żur mazowiecki, kapuśniak z wędzonką, bywa też grochówka i zapiekanka; na drugie – mięso gotowane i kasza. W piątki pościmy.

Dowiedziałem się od Cnoty, że nad Coulonem wkrótce ma być sąd. Coulonową wypuszczono z więzienia, a na bilard nałożono pieczęcie.

Po raz drugi podkadzaliśmy cynobrem pannę, która wtedy tak się tego bała. I znów wyłożyłem sześć groszy na pachnidło.

– Ach, kawalerze zacny – tak do mnie rzekła – czymże ja się nieboga za to wszystko odwdzięczę? Zrobiłabym ci pończoch na drutach, gdybym wełnę miała, a ze szpitalnej nie mogę zrobić, bo pan Baar pilnuje.

Życzyłem jej wszystkiego dobrego, żeby prędko do zdrowia powróciła.

W szpitalu panuje taki obyczaj, że niezamożne niewiasty, które nie mogą za leczenie płacić, robią na drutach pończochy i ubranka dziecinne. Do pilnowania tego jest pan Baar, sprowadzony z Berlina majster od wełny. Wydaje niewiastom przedzę na wagę i po zrobieniu też na wagę przyjmuje. Przez co nie można nic ukraść.

Mieliśmy dziś dużo śmiechu i kłopotu, bo zza wolskiej rogatki przywieziono gnojnika.

Gnojnikiem zowie się u nas taki, którego wykopano z gnoju końskiego. Bo lud prosty wierzy, że na dworską chorobę najlepiej jest w gnój zakopać, żeby tylko głowa wystawała, i trzymać tak przez dni siedem. Gnój – powiadają – wszystek jad wyciągnie i człowiek wyjdzie zdrów.

Naszego gnojnika znachor zakopał. Ale się dowiedzieli o tym Prusacy i wysłali komisję lekarską. Całkiem nagiego wyciągnięto z dołu, rzucono na wóz, przykryto rogożą i tak przywieziono do szpitala.

Okrutnie był zły. Mówił, że przecie pięć dni już wytrzymał i tylko dwa dzionki mu zostawały do zupełnego wyleczenia.

Pan Borowski kazał go naprzód pod studnią z grubsza opłukać, potem do kąpieli wziąć, w mydlinach długo moczyć. Od końskiego nawozu miał ciało całkiem zielone i ta zieleń nie chciała z niego zleźć, choć szczotkami tarto.

Za polskich czasów nasz pryncypialny cyrulik służył w gwardiackim pułku. Od czego bez trąbki nie może się przebudzić ani też z łóżka wstać.

Nieraz się dziwiłem, kto i po co tak trąbi pod oknem pana cyrulika, i dopiero teraz się dowiaduję, że to jeden z pachotków tej sztuki nauczony. Kiedy czas jest wstawać, pachotek ów gra na trąbce pobudkę. Inaczej nie można.

Dziś rano, idąc do roboty, spotkałem pana cyrulika, który mnie zagadnął, czybym nie zechciał zostać jego trębaczem, bo tamten jest do niczego. Spóźnia się i fałszywie trąbi.

– Nauczę cię za to – rzekł – pijawek stawiania, baniek siekanych i zwykłych, krwi puszczenia, wrzodów opatrywania i innych medycznych sekretów. Ty zaś tylko mi zatrąbisz, no i mojej żonie drew narąbiesz, wody przyniesiesz, kwaterę uprzątniesz i czasem pomożesz, co bądź się zdarzy.

Chciałem mu rzec, że sam jest niegodziwa trąba, ale m milczał. Bo przecie, gdybym życzenie miał pouczyć się sekretów doktorskich, to do Dzibuty bym poszedł, który powolutku a dostojnie po mieście chadza, jest wdowcem i nie domaga się trąbienia.

Ta panna, cośmy jej z panem Borowskim saliwacje robili, płacze od kilku dni i gorzko narzeka. Żeby ją rozbolały, dżiąsła popuchły i ślina z ust jej ciecze. A na to cierpienie nic po aptekarsku nie można poradzić. Niektórym pomaga modlitwa do świętej Apolonii, ale nie zawsze.

Pan Borowski mówi, że im większa cierpiączka, tym lepiej dla chorych, bo to jest znak, że się jadowite humory wzburzyły w ludzkim ciele i wraz ze śliną spływają. Przez co i wyzdrowienie rychlej nastąpi.

Cnota był wczoraj u mnie, prosto z sądu przybiegł i wszystko opowiedział. Coulonowi cztery lata więzienia dano, choć się wszystkiego przed sędziami zaparł i chciał jurament złożyć, że jego przyznanie się do winy było wymuszone.

Sędziów to zgorszyło, coś między sobą po szwabsku zaczęli szwargotać, ale w sądzie był pan Gallon-Boyer, nad wszystkim miał dozór i bacznie słuchał. Sędziowie wyszli na naradę, po godzinie wrócili z wyrokiem.

Słusznie powiada Cnota, że cztery latka to dla truciciela za mało, a dla niewinnego za dużo. I ja tak myślę.

Bo tu jest polityka. Taki człowiek, jak Coulon, swobodę mając i karczmę znów prowadząc, byłby dla pana Boyera wielce niewygodny. Skazać głupiego chłopca na śmierć sędziowie nie mieli sumienia, no to go zamkli.

Mija już drugi tydzień, odkąd tu jestem. Pogoda ciągle piękna, a noce skwarne i duszne.

Opowiem teraz, co mnie spotkało i od czego na samo wspomnienie strach mnie oblata. Skończywszy pracę wczoraj wieczór, poszedłem do kuchni i siadłem na zydlu. Służebna dała mi kubek z rosółem i kaszy w misce, żebym sobie podjadł.

– Panie Filipku – mówi – to dziś mamy pełnię.

– Ano tak – powiadam – mamy pełnię.

Coś jeszcze rzekła, zachichotała i poszła sobie precz. Nawetem nie zwrócił uwagi na jej gadanie, bom właśnie rozmyślał o sądzie nad Coulonem.

Zjadłem kaszę, wypilem rosół, poszedłem przejść się po ulicy Mostowej. Odwiedziłem znajomych sieciarzy, pogwarzyłem z różnymi ludźmi, a gdy słońce zaszło, wróciłem do mojej stancji.

Noc była jasna, niebo bez chmur. Postąłem trochę w otwartym oknie, popatrzyłem na białe brzoźki, na połamane krzyże. Nie chciało mi się ognia krzesać i zapalać świecy, pomarudziłem więc trochę i kładę się spać.

Jeszcze nie zdążył pacierzy odmówić, aż tu słyszę szmer jakiś w brzoźowym gaiku, tuż pod moim oknem. Wstaję, wychylam się i patrzę.

Po ścieżce od starego spichlerza coś się czołga, ni to zwierzę, ni to człek na czworakach. Posunie się z łokieć albo dwa, przystanie dla odpoczynku i znów się czołga.

Patrzę, a za tą maskarą idą dwaj starcy brodac, jeden drugiego prowadzi pod rękę, bo ten drugi najwidoczniej jest ślepy.

Zadygotałem ze strachu, ale stoję i czekam, co będzie dalej. Ze spichlerza coraz więcej wychodzi brodatych koślawców. Jedni kuleją, drudzy dziwnie powłóczą nogami, jakby lękali się stąpnąć, inni

znów chwytają się drzewek, żeby nie upaść. A wszyscy idą ku mogiłkom, wprost pod moje okno.

Zasiedli w półkole, twarze zwrócili do księżyca.

Coś mi się wydało, że te twarze są jakieś płaskie, niepodobne do ludzkich. Wychylam się, oczy wytrzeszczam.

Boże! Toć oni nosów nie mają!

Siedzieli spokojnie, w księżyc wpatrzeni, i milczeli. Aż jeden, co miał brodę jak smoła czarną, zaczął śpiewać.

Dziwne mi się wydało, że śpiewa przez nos, choć nie ma nosa, ale zapisuję wiernie, com widział i słyszał.

Po chwili inni też zaczęli śpiewać nosowym głosem i tak na przemian śpiewali, to jeden, to znów w zgodzie wszyscy, jak w kościele na chórze. Słów tych pieśni nie mogłem rozeznąć, bo nie były polskie.

Skończyli, zamilkli, czasem tylko któryś z nich stęknął. I tak minęło może z pół godziny.

Ten z czarną brodą powstał z nagła, płaską twarz do księżyca zwrócił, kłaniał się i żegnał, coś mamrotał, a inni zawodzili: „Hospodi, pomiluj!”. I długo, długo to samo powtarzali jękliwie i żałośnie.

Od strony Wisły zaczęło świtać, noc była krótka, lipcowa. Brodacze skarżyli się coraz ciszej, ciszej. Ten, co pętał na czworakach, ruszył pierwszy w kierunku spichlerza. Powlekli się za nim inni,

kuśtykając, chwytając się brzózek, jakby uciekali przed słońcem.

Jeszcze z daleka dosłyszałem ich prośbę o zmiłowanie, skrzypnęły drzwi i nastała cisza. W chwilę potem ptactwo rozświergotało się w gaju, ale spać już nie mogłem, tylko się z boku na bok przewracał.

Pan Alojzy Żółkowski ma odwiedzić pana Hoffmanna i prosić, żeby pan Hoffmann dowiedział się w Kamerze Pruskiej, czy mnie policaje szukają, czy też nie.

Cnota, który to wszystko wespół z panem Alojzym wymyślił, powiada, że po wyroku nikt się mną już nie powinien zajmować, bo i po co? Warto jednak sprawdzić dla świętego spokoju. Urzędnicy pruscy dużo robią bez żadnej potrzeby, bo mieli rozkaz tak robić.

Byłem smutny i bardzo mnie ucieszyła ta nowina. Com zauważył, że w szpitalu żarty ze mnie stroją. Niewiasty kuchenne, kiedym rankiem przyszedł na polewkę z piwa, zaraz pytały, czy dobrze w nocy spałem. O to samo zapytał pan Borowski.

Kiedyśmy poszli na górę zapisywać, co się w infirmerii robiło, poprosiłem pana Borowskiego o wytłumaczenie, dlaczego te Moskwiciny bez nosów są.

Odpowiedział, że wszyscy chorowali na petersburską odmianę dworskiej choroby, a ta petersburska odmiana straszna jest, nieregularna, z medycyną sprzeczna i niczym wyleczyć się nie daje.

– Jużeśmy na nich wypróbowali – rzekł pan Borowski – wszystko, co jest najlepszego na świecie. I cynober, i fumigacje siarczyste, i mazanie, i pigułki Plenka, i syrop Kaisera, syrop Belleta, proszki Plumera, różne gwajaki, nawet sublimatowy rozpuszt Dżondego. Nic nie pomogło, nosy im poodpadały.

Mówił jeszcze pan Borowski o doktorze Dziarkowskim, który zawziął się, żeby zmóc tę kacapską chorobę. Sprowadził więc z Paryża kilka pakietów uniwersalnych pigułek Labisza, o których wyczytał w gazecie, że każde cierpienie leczą. Ale się okazało, że petersburskiej słabości nie mogą sprostać.

Pan Borowski dużo mi o tej chorobie naopowiadał i na zakończenie pokazał raport komisji Bractwa Miłosierdzia Świętego Łazarza, która w czerwcu 1794 roku (com zapisał) zastała w szpitalu:

Mężczyzn chorych 28

Niewiast chorych 41

Moskali chorych 37

Bab i dziadów zdrowych . . 56

Dowiedziałem się jeszcze od pana Borowskiego, że ustawa Bractwa Świętego Łazarza nakazuje, aby każdy bezdomny miał prawo w szpitalu przenocować. Dlatego tylu się tu widzi włóczęgów i żebraków, którzy śpią w sieni, na schodach, w stajni, wozowni i szopie z drwami. W czasie mrozów garną się do pralni, gdzie zawsze jest ciepło.

ROZDZIAŁ X

Filipek wraca do śródmieścia. – Odwiedza drukarnię pijarską. – Wita licznych przyjaciół. – Dlaczego Gecel stał się Zalcztajnem. – Opowieść Coulonowej o przypadkach jej męża. – Portrait parlé. – I znów pod kolumną. – Pan Petyskus jako dobra wróżka. – Ramie w ramie z profesorem. – Co znaleziono w marchewkach. – Wielka perspektywa. – Rokowania handlowe w cieniu Grubej Kaśki. – Kłopoty z listą prenumeratorów. – Prusacy skrobią saletrę. – Różne odmiany doktorów spotykanych w Warszawie. – O panu

Wolskim, co jajko zniósł pod krzakiem. – Szloch jego żony i słowa jego brata. – Kapucyni unoszą jajo do klasztoru.

Trochęśmy się z panem Borowskim potargowali przy rozstaniu, bo nic mi nie chciał dać za cały ten czas, co mu pomagałem. Mówił, że się niejednego nauczył, no i napatrzyłem się na różne dziwy, za co inny jeszcze by podziękował.

Widząc, że ze smutkiem słów jego słucham, pan Borowski dał mi zapieczętowane puzdro paryskich uniwersalnych pigułek Labisza i doradził, żeby w aptecę je sprzedać. Więcemy się rozstali bez gniewu i urazy.

Cnota, który był przy tej rozmowie, wziął ode mnie pigułki i obiecał, że je zamieni na coś lepszego.

Później poszliśmy z Cnotą do bawarii w Rynku, gdzie się przy piwie wszystkiego dowiedział. Prusacy już się nie troszczą o sprawę Coulona. Zamkli go, żeby pan Gallon-Boyer był kontent, i na tym się skończyło.

W mieście mówią, że hrabia de Lille jest przez to bardzo strapiony i ma zamiar wynieść się z Warszawy. Dokąd pojedzie, nie wiadomo.

Opowiedział mi jeszcze Cnota, że cały ten postępek z marchewkami był opisany we francuskiej „Gazecie Londyńskiej”. Jeden tylko człowiek w Warszawie ma numer tej gazety, stary

lokaj z gospody Pod Filarkami na Miodowej. Za pożyczanie na jedną godzinę żąda od gości szóstaka i jeszcze pilnuje, żeby kto odpisu nie zrobił. Siadają więc goście w kilku przy stoliku, jeden czyta, inni słuchają. W ten sposób Warszawa wie, jak było naprawdę z marchewkami.

Powiedziałem Cnocie, że żal mi Coulona, bo to był ludzki człowiek, choć nie za mądry. Wiedeński bilard go zgubił.

– Najważniejsze – rzekł Cnota – że możesz znów stanąć pod kolumną i zajmować się swoimi sprawami.

– A co będzie z pocztą? – spytałem.

– Z pocztą? Ha! Pożegnaj się z pocztą. Tam przez ten czas dużo się zmieniło. Starych pocztylionów już nie ma. Wypędzono ich za to, że listy z włoskich krajów cichaczem przewozili. Niektórzy w więzieniu siedzą.

Wspomniałem o moich taczkach, ale Cnota zaraz mnie pocieszył:

– Nie frasuj się, i bez taczek zarobek znajdziesz. Teraz w ludzi nadzieja powstępowała, zaczynają się krzątać. Każdy mówi, że tylko patrzeć, a wojna się zacznie.

Uradziliśmy, że póki nie znajdę stacji, będę mógł u Cnoty nocować, który z matką mieszka na Miodowej koło bazylianów, w domu przechodnim na Podwale.

Pobiegłem do pijarskiej drukarni, ale dobrodzieja nie zastałem. Zamiotłem więc stancję i napisałem kredą na stole, że zdrow i że odtąd w każdy piątek będę przychodził.

Potem pobiegłem na pocztę do Marcinka, który zajęty był, listy ważąc. Rzekłem mu więc tylko, żeby wieczorem przyszedł pod Gwiazdę na piwo.

Koło kolumny witały mnie przekupki. Musiałem zjeść dużo jabłek, bo każda dawała co najśodsze. Też mówiły, że naród tylko na wojnę czeka.

Potem poszedłem do pana Lindego i byłem grzecznie przez jego żonę przyjęty. Piłem kawę i jadłem placek. Zasmucił się pan profesor, że już nie mogę bywać na poczcie. Pocieszyłem go, że przez Cnotę-Nowickiego i tak będę wiedział, kto do Warszawy przyjechał, bo Cnota wszystkie oberże co dnia obchodzi. Umówiliśmy się więc, że znów zacznę zbierać przedpłatę na jego słownik.

Potem odwiedziłem Gecla na Mariensztacie, który mi zaraz oznajmił:

– Już się stało, Filipku. Nazywam się Zalcsztajn.

I opowiedział, jak to było. Nie mogąc się mnie doczekać, poszedł raz sam i zawrócił, bo pan Hoffmann był tego dnia za bardzo figlarny. Po tygodniu Prusacy ogłosili, że kto się spóźni, ten zapłaci karę. Wybrał się więc Gecel ponownie i postanowił wszystko już załatwić. Tym razem pan Hoffmann dawał same solne nazwiska, bo mu żona

zupełnie przesoliła. I dlatego Gecel stał się Zalcstajnem.

Wysłuchawszy tej relacji, poszedłem k'Staremu Miastu. Na Świętojańskiej zapachniały mi garbowane skóry, zapachniały winne piwnice. Stałem przed farą i spoglądałem na gruchające gołębie. Nic się tam nie zmieniło, chyba tyle, że dach nad Świętym Janem jakby się głębiej zapadł, a w załamaniach ścian więcej wyrosło mchu i chwastów.

Mijając Rynek, przystanęłam przed francuską gospodą, gdzie są sławne sosy podawane na drogiej porcelanie, jak i kto sobie życzy. Zwykle mogłeś tam spotkać o tej porze oficerów z domu Wasilewskiego, francuskich prałatów i hrabiów. Zajrzałem, izba była pusta. Za szynkwasem stał starszy pan i pilnował likworów od Serviera.

Pomyślałem, widać, z Francuzami jest źle. I powędrowałem na Gołębią, żeby się dogadać z żoną Coulona.

Na moje kołatanie do karczmy nikt nie wyszedł. Od dziedzica zastukałem więc do kuchni i powitała mnie Coulonowa ze łzą w oku, bardzo zdesperowana. Przyniosła z piwnicy butelkę białego wina i takeśmy gawędzili sobie obok bilardu, który tyle nieszczęścia narobił, a teraz był przegrodzony deseczką na skos i opieczętowany, żeby nikt na nim nie grał.

Mówiła, że Prusacy jej nie bili, tylko ciągle wypytywali o te marchewki.

– Najgorsze było – rzekła – jak ze mną zaczęli robić portrait parlé. Sadzali mnie na stołku przed jasnym oknem i kazali poruszać głową w różne strony¹.

. Przychodziło ich dużo. Stawiali dokoła i przyglądali się bacznie, zwracając uwagę na moje oczy, usta, nos, ręce i włosy.

Spytałem ją, jak to było naprawdę z marchewkami. Odpowiedziała, że Coulon dostał je od ludzi pana Gallon-Boyera. Wyprowadzili go z domu i kazali wrzucić marchewki do garnka z zupą hrabiego de Lille. Coulon okrutnie się przeraził, ale nie mógł odmówić, bo był im winien dużo pieniędzy. Zresztą już go nie odstępowali, tylko poszli z nim Nowym Światem, drogą Ujazdowską, aż do parkowego ogrodzenia. Tam zagrozili mu śmiercią, powiedzieli, że będą na niego czekać, i schowali się w życie.

Coulon wszedł do Łazienek. Oficerowie znali go, nie zatrzymali więc w bramie i nawet nie spytali, do kogo idzie.

Im bliżej Białego Domku był Coulon, tym wolniej wędrował; siadał na każdej napotkanej ławce, nad swoim losem rozmyślając. Wsunął rękę

¹ W ten sposób agencji policji tajnej starali się zapamiętać rysy aresztowanych. Nazywano tę formalność portrait parlé.

do kieszeni i namacał marchewki zawinięte w gałganek. Zauważył, że jedna jest pęknięta. Wyjął ją i obejrzał. Przez całą długość była wydrążona i zawierała proszek na kształt szarej glinki.

Coulon wyciągnął nitkę z ubrania, związał marchewkę i już ze spokojnym sumieniem poszedł do Białego Domku. Ale do kuchni nie zaglądał, tylko prosił o rozmowę z panem de Milleville. Przed którym na kolana padłszy, pokazał marchewki i opowiedział, że go ludzie Gallona-Boyera do trucicielstwa namawiają.

Pan de Milleville przywołał świadków, przywołał sekretarza z papierem i piórem, kazał Coulonowi wszystko pod przysięgą powtórzyć. Spisano jego słowa i zanesiono hrabiemu de Lille.

W tym miejscu Coulonowa płaczem wybuchła i zaczęła mi opowiadać, że tamta nitka, którą jej mąż przewiązał pękniętą marchewkę, doprowadziła go do zguby. Bo na sądzie wypruto mu z kapoty drugą nitkę i porównano z pierwszą. Dalej mówiła bez ładu i składu, na kobiecy sposób. Tylem zrozumiał, co zresztą już wcześniej miarkowałem, że Prusacy niechętnie przyjęli skargę hrabiego de Lille przeciwko panu Boyerowi wymierzoną.

Początkowo nie chcieli się do tego mieszać i mówili, że to nie jest podobne do prawdy.

Ponieważ hrabia de Lille nastawał i żądał śledztwa, aresztowali więc Coulona i całą winę na niego zepchnęli.

W ten sposób człęk niewinny dostał cztery lata więzienia, a mogło być gorzej.

Spytałem Coulonową, czyby mnie z powrotem na kwaterę nie wzięła. Odpowiedziała, że zwija karczmę i w końcu sierpnia albo w pierwszych dniach września wyjeżdża nad Narew do majątku barona Puszcza, gdzie się zgodziła za kucharkę.

– Póki tu jestem – rzekła – możesz mieszkać.

Zaraz jej obiecałem, że jeszcze za dnia przyniosę tobołek. Zawszeć to miło powitać stary kąk. Choć Cnotę lubię, w izbie na poddaszu byłoby nam we troje z jego matką trochę za ciasno.

I znów stoję pod moją kolumną, i znów spoglądam na Warszawę. Wszystko i wszystkich widzę, a i mnie widzą wszyscy. Oglądam piękne damy i pięknych kawalerów z pałacu Pod Blachą, oglądam różnych Francuzów, oglądam uczniów z liceum, których pan Linde prowadzi parami na Fawory. Dużo widzę, dużo słyszę, bo niejeden wita się ze mną, wypytuje o nowiny i dzieli się własnymi. Tylko na pruskich oficerów nie chce mi się spoglądać. I zwykle tak jest, że patrzę na nich, a nie widzę.

Przechodząc wczoraj koło Marywilu, wstąpiłem do kantoru pana Petyskusa i mówię:

– Kiedyż to, jegomość, doczekam się losowania domku na Przyryнку? Bo już pół roku mija, odkąd zapłaciłem za bilet i niecierpliwość mnie dręczy.

Pan Petyskus rzekł, że ciągnięcie losu rychło wypadnie urządzić, choćby ze stratą dla pana Dmuszewskiego, który ostatnich kilku biletów nijak nie może sprzedać. I znów mnie pocieszył, że wedle jego przeczucia nikt inny tylko ja powinienem wygrać domek na Przyryнку.

Spytałem go tedy, kto będzie ciągnął los. Odpowiedział, że zgodnie z obyczajem przywiodą małą niewinną sierotkę.

– A ten, co wygra – dodał pan Petyskus – powinien ofiarować sierotce coś miłego, na ten przykład kukiełkę, żeby dziecko miało trochę zabawy i uciechy.

Uradował się pan profesor Magier, kiedy mnie znów zobaczył pod kolumną. Zamachał parasolem i rzekł:

– Chodź, Filipku, to sobie pogadamy.

Jak zwykle poszliśmy przez Stare Miasto w stronę Żoliborza, gdzie teraz, w letniej porze, częściej spotyka się ludzi. Choć domy na Faworach stoją puste, w ogrodach jest duży ruch, a największy w ogrodzie zwanym Fraszki. Bo komu dokuczy spiekota, ten szuka ochłody pod drzewami.

Pan Magier spytał mnie o Coulona i z ciekawością słuchał. Potem sam zaczął opowiadać. Dowiedziałem się więc, że Prusacy nie chcieli dopuścić do zbadania marchewek, wobec czego dworzanie hrabiego de Lille zawołali lekarza Francuza, zaprosili też doktora Gagatkiewicza i polecili im zrobić, co się da.

Doktorzy, obaj ludzie uczeni i z chemią obeznani, poszli do aptekarza, który ma doświadczałnię, i tam się póty mozolili, póki nie orzekli, że szary proszek w marchewkach składa się z trzech arseników razem pomieszanych i jadowitych nad wszelkie spodziewanie.

Na życzenie pana de Milleville doktorowie wszystko to zeznali przed rejentem, ten zaś sporządził akt i pieczęć na nim postawił.

Z odpisem tego aktu pan de Milleville pojechał do dyrektora policji, Schimmelpfenniga d'Oyé.

Choć nie kontent, pan Schimmelpfennig musiał wysłuchać opowiadania Coulona, ale po wysłuchaniu, zamiast wypuścić, kazał go zamknąć.

Co dalej się działo, już pisałem. Hrabia de Lille żadnej satysfakcji nie otrzymał, jeszcze wstydu się najadł, bo w hamburskiej gazecie opisano, że chciał podstępnie panu Boyerowi zaszkodzić, że to wszystko jego dworzanie wymyślili i ponauczali Coulona, jak ma o marchewkach zeznawać.

Przez co – mówił pan Magier – gorycz w Łazienkach jest, hrabia de Lille pragnie wyjechać

na Inflanty albo do Szwecji i tylko czeka na paszporty dla siebie i dla swoich dworzan.

Doszliśmy tak, gawędząc ciekawie, do ulicy Spadek, gdzie jest murowany źródło w kształcie tureckiej altany z wyborną wodą. Tam pan Magier się napił, ja także, i jeszcze pan Magier wody nabrał do płaskiej manierki.

Później pytał mnie, jak leczą w szpitalu na Mostowej. Wszystko mu więc powiedziałem o fumigacjach siarczystych, saliwacjach cynobrowych, których się chorzy lękają, o dekoktach, wciórkach i innych sposobach.

Jakśmy już wracali do miasta, pan Magier rzekł, iż ma teraz największą w Warszawie perspektywę długości dwudziestu stóp. Sprowadził ją z Wrocławia i zamierza ustawić na dachu swego domu. Pytał, czy nie zechciałbym być mu pomocny.

Zgodziłem się chętnie, bo czasu mam teraz dużo. Na co tak powiedział:

– Nie pożalujesz. Pokażę ci różne gwiazdy, planety i sam księżyc, który przez perspektywę oglądany zdaje się wielki jak młyńskie koło. Ale przedtem musi mi blacharz zrobić daszek na kształt grzyba, coby się obracał na wszystkie strony.

Kiedyśmy doszli do Miodowej, pan Magier dostrzegł na ścianie ręcznie pisany anons tej treści:

*Widzę we śnie magnetycznem przyszłe wypadki
y wszystko rzetelnie opowiadam za l złp w tem
domu w Oficynie w ślifierni nożow
Wielmożnego Bieńkowskiego z sieni na lewo
pytać o Iasnowidzącą.*

Rzekłem do pana profesora, że to jest coś dla mnie, bo bardzo bym chciał wiedzieć, czy wygram domek na Przyryнку.

Z panem Linde mieliśmy wczoraj wspólny kłopot. Do zajazdu na Tłomackiem zjechał szlachcic jeden spod Łomży, żonaty i z dorosłą córką.

Pan Linde dał mi do niego list. Przychodzę do zajazdu i widzę, że szlachcic i jego niewiasty jedzą obiad. Wolałem poczekać, boć zawsze lepiej się gada z człowiekiem, co ma pełny żołądek, niż z głodnym. Wybrałem się więc na Nalewki do pana Zadory pogadać o pompie, czy dobrze wodę tłoczy.

Wracam po godzinie. Mój szlachcic schował się w cień pod Grubą Kaśką i lulkę kopci. Dałem mu list. Jak przeczytał, pokraśniał z zadowolenia i pyta, skąd pan Linde wie o jego przybyciu. Mówię, że w Warszawie wszyscy o tym gadają.

Co usłyszawszy, zaraz sięgnął po sakiewkę, zapłacił za pierwszy wolumen, wszedł ze mną do

gospody i podpisał rewers na następne. Aż dziw mnie ogarnął, bo nigdy mi nie szło tak gładko.

Wieczorem żona i córka szlachcica przybiegły do pana Lindego i z płaczem błagały, żeby choć chrzestnego imienia ich męża i ojca w słowniku nie publikował.

Żona krzyczała, że jej mąż był po obiedzie pijany, z czego skorzystał hultaj jakiś, pieniądze wycygał i jeszcze rewers do podpisu podsunął

Podobnie jak i w zeszłym roku Prusacy znów zaczynają łązić po piwnicach i zeskrobuja saletrę. Przez co między handlarzami winem niezadowolenie panuje.

Winiarze mówią, że od skrobania ścian psuje się oddech piwnicy i wino gorzej dojrzewa.

Zanieśli więc do Kamery Pruskiej petycję, na której się podpisali panowie: Kurowski z Krakowskiego Przedmieścia koło Dziekanki, Maruszewski z Freta, Hengel z domu Pod Okrętem, Fukier z Rynku, Piotr Lemonier, który dawał księdzu Kołłątajowi na kredyt, i jeszcze kilku innych.

¹ Linde, *Spis prenumeratorów słownika*. Przedostatnią pozycję tworzy samotne nazwisko bez jakichkolwiek danych.

Napisali w tej petycji, że chętnie zapłacą, ile się należy, dobrą monetą, byle im ścian nie skrobano w piwnicach, bo goła cegła niezdrowa dla wina jest i smak surowizny wnosi. Nie nadeszła jeszcze odpowiedź na ich list, ale winiarze mają nadzieję, że sprawę wygrają, bo cichaczem posłali panu gubernatorowi dwa koszyki węgrzyna i pan gubernator przyjął.

Przez ten czas, com nieraz chodził pomagać przy rozlewaniu wina do gąsiorków u pana Hengla, napatrzyłem się i nasłuchałem różnych dziwów. Najwięcej pan Hengel się bał i pilnował, żeby mu do piwnicy nie weszła jaka białogłowa. Mówił, że w przytomności płci niewieściej wino szaleństwa dostaje, burzy się i zamienia w ocet

Jak i lat poprzednich Wobanka chciała urządzić loterię dobroczynną w pałacu Pod Blachą, na ubogich Francuzów. Nie udało się jej tym razem.

Kerner mówi, że do księcia poprzychodziły liściki pisane po francusku, w których Wobanka była szpetnie sponiewierana. Księżę listy spalił i na loterię nie dał pozwolenia.

¹ Ciekawy ten przesąd, jeżeli jest przesądem, przetrwał do dziś w wielu okolicach Francji.

*Ludzie się pocieszają różnymi przepowiedniami,
choć coraz mniej w nie wierzą. W ostatnim
tygodniu dawano sobie z ręki do ręki wiersze
jakiegoś astrologa, który się zwał Nostradamus.
Teraz znów krąży po Warszawie pieśń Wernyhory.*

*Mówią, że Wernyhora żyje gdzieś na Rusi, gra
na harfie i śpiewa o przyszłej chwale
Rzeczypospolitej. Podobno trzeba tylko, żeby się
koń turecki napił wody z Horynia.*

*Cech cyrulicki wniósł skargę na pana de Keralie
do Kamery Pruskiej, że nierzetelnie postępuje,
rwąc zęby palcami, bez cęgów i bez lewarka. Przez
co cyrulikowie zarobki tracą.*

*Bo też trzeba przyznać, że pan de Keralie sławny
się zrobił i siłą chorych do niego się garnie. I sam
dostatnio wygląda, żonę oporządził, dzieci
oporządził, i w domu nie ma już biedy.*

*Tylko szlachta francuska na niego się boczy, że
im sromoty narobił. Bo zawsze tak było i jest, że od
cyrulika, który zęby rwie, każdy się odwraca z
obrzydzeniem.*

*Można rzec ku chwale pana de Keralie, że odkąd
zaczął zarabiać, wielu swoim ziomkom dopomaga.
Za stołem ich sadza i od głodu ratuje. Ale tych
tylko, którzy nie noszą kolorowych kokardek.*

*Mówił mi pan Magier, że nie tak dawno, może z
pół wieku temu, ludzie brzydzili się też doktorów. I
nieraz się zdarzało, że sam chory albo jego
krewniak kijem grzmotnął doktora, żeby skuteczniej
leczył.*

*W Warszawie dużo jest różnych doktorów. Są
krakowscy, są bolońscy, są paryscy, gdzie który
szkoły kończył. Krakowscy najtaniej leczą i
obrażają się chętnie. Nie brak też takich, co za
polskich czasów służyli w wojsku jako chirurdowie.
Ci lubią pijani chodzić. Ale najdziwniejszy jest
Dzibuła, bo tylko własną uznaje mądrość i
sprzecza się z każdym innym doktorem.*

*Opowiadały dziś przekupki pod Krakowską
Bramą, że pan Bonifacy Wolski, co to ma dworek z
gankiem i ogród na Nowym Świecie, od ośmiu dni
na rwanie we flakach cierpiął, z bólu aż się po
trawie tulgał i głośno pomocy wzywał.*

*Wtenczas dwaj braciszkwowie kapucyni ulicą
wędrowali, a niepojęte krzyki słysząc, w sukurs
panu Wolskiemu przyszli. Z klasztoru ziela
suszonego przyniosłszy, z winem zagotowali i tym
go poili.*

*Nie minęła doba, pan Wolski z łoża wyskoczył,
do sadu pobieżał, w maliny się zaszył;
braciszkwowie jak dwa gończyki za nim.*

*Tam żałośnie westchnąwszy, oczy zamknąwszy,
pan Wolski zniósł pod krzakiem jajo i zaraz
wyzdrowiał.*

*Jakem się dowiedział o panu Wolskim,
pobiegłem, nóg nie żałując, prosto na Nowy Świat,
żeby się na własne oczy i uszy upewnić.*

*Przed dworkiem zastałem już kupę spektatorów,
którzy rejwach czynili i od rodziny Wolskich
domagali się wytłumaczenia.*

*Po pół godzinie tego hałasu na ganek wyszła
pani Sabina Wolska; płacząc, tak mówiła:*

*– Nie myślcie, waszmoście, że przed wami ze
wstydu płaczę. Zechcicie mi uwierzyć, że płaczę z
radości. Bo mąż mój Bonifacy był już umierający,
aż tu nad spodziewanie wszelkie, dzięki pomocy
szlachetnych kapucynów do zdrowia wrócił. Nie
jego wszak wina, że jajko przy tym zniósł.*

*To rzekłszy, pani Sabina twarz sobie rękami
zakryła, cichutko popłakała i weszła do domu.*

*Potem ludzie się domagali, żeby na ganek sam
pan Wolski wystąpił i do nich przemówił. Ale
zamiast pana Bonifacego Wolskiego wyszedł brat
jego Kaźmirz i rzekł:*

*– Brat mój śpi, nie przystoi go budzić, bo choć
wyzdrowiał, ale z sił opadł. Wiadomo wszak
waszmościom, że kwoka, wedle kondycji swej do
znoszenia jaj od Natury stworzona, siedemkroć*

*westchnie i siedem razy oczy bielmem jej zajdą,
zaczynam jajo do gniazda złożyć. Nie dziwota przeto,
że brat mój Bonifacy, jajo w żywocie swoim
nosząc, uprzykrzone cierpiał morzysko; także
wyrozumieć łatwo, że w ptasiej znalazłszy się
opresji, gwałtu krzyczał i w co gęściejsze krzewy
umykał. Chwalić Boga, ojcowie kapucyni, choć w
księgach nie uczeni, na łaskliwości wszelakiego
ziela się znają, za co im ukontentowanie moje i
wdzięczność moją wyrażam.*

*Prosił jeszcze pan Kaźmirz, żeby się
spektatorowie w spokojności rozeszli, bo harmider
pod oknem spać jego bratu nie pozwala. Jajo,
powiedział, zabrali kapucyni, zanieśli na Miodową
i złożyli w klasztorze.*

*Pokłonił się grzecznie pan Kaźmirz, wszedł do
domu, za sobą drzwi na klucz zamknąwszy. A
myśmy się z wolna zaczęli rozchodzić, dyszkurując
po drodze.*

*Jeden godny mieszczanin mówił, że ani chybi,
tylko panu Bonifacemu kogut na plecy musiał
skoczyć i w głowę go dziobnąć. Bo skądżeby się
jajo wzięło?*

ROZDZIAŁ XI

Filipek w handlu korzennym. – Waży pieprz ze starą Ormianką. – Opowieść o narodzinach królika i o buncie Czerkiesów. – Persjarnia i dwanaście pracujących tam panien. – Zatarg honorowy na poczcie. – Fenomenalne jajo budzi niepokój. – Doktor Gagatkiewicz postanowił je zbadać. – Przygnębienie w Teatrze Narodowym. – Uwięziony zecer. – Godne uwagi szkiełka profesora. – O pannie, której za karę włosy obcięto. – Bądź mi muzą. – Patriotyczne napisy na talerzach. – Samochwalstwo Dzibuły. – Coulon w Grudziądzu. – Zbiorowa niewypłacalność szlachcianek. – Arabczyk nad podziw piękny.

Ormianin z Krakowskiej Bramy, pan Minasowicz, co handel korzenny ma, wezwał mnie do siebie i rzekł:

– Będziesz pomagał pieprz odważać i w papierowe rożki zawijać. Dam ci wikt, żebyś na obiad nie wychodził, bo mi wielce śpieszno.

Lubię pana Minasowicza. Uczony to człowiek i dużo świata widział. Był w Turcji, był w Persji, był na Krymie i zna różne języki.

Zasiadłem więc z jedną starą Ormianką w izbie nad handlem, który na dole jest, i cztery dni bez mała pieprz z nią zawijałem. Pan Minasowicz dostał dwa worki z przemytu, bo pieprzu w pruskich krajach nie ma, a w Galicji – ile dusza zapragnie. Kleiliśmy rożki z różnych starych listów, memuarów, silwarerów i kalendarzy; papieru ciągle brak. Ważyliśmy pieprz na szalce od prochu myśliwskiego, dbale i sprawiedliwie, żeby nie za dużo i nie za mało. Potem obcinaliśmy brzegi rożków, zawijali i zaklejali arabską żywicą.

Stara Ormianka, z którą wespół siedziałem, ciągle mi spoglądała na palce, czy aby pieprzu nie kradnę. Rzekłem jej, że przed wyjściem powywracam kieszenie, żeby wiedziała, co wynoszę.

Od czego uspokoiła się zaraz i już mnie życzliwiej traktowała.

Żeby ją zabawić, opowiedziałem jej o panu Wolskim, jak porodowych bólów dostawszy, wybiegł do ogródka i jajo zniósł pod krzakiem.

Starucha się przeżegnała i rzekła na to, że takie phoenomena nic dobrego nie wróżą. Bo kiedy była młodą panienką, mieszkała z rodzicami w mieście persjańskim Kaśfin; tam niewiasta jedna wydała na świat królika, który z łoża wyskoczył i w konopie czmychnął, a poszczuty psami w ziemię się zarył. W niespełna rok po tym przypadku

zbuntowali się Czerkiesi pałacowi, szach ledwo głowy nie postradał i była wojna.

Spytałem staruchy, ile ma lat i skąd się w Warszawie wzięła. Odpowiedziała, że ma już osiemdziesiątkę, a jeszcze dwudziestu lat nie miała, kiedy już była wdową, bo męża jej zamordowali nestoriańscy zbójnicy¹

. Przywiózł ją do Polski pan Paschalis Jakubowicz, sławnych pasów fabrykant, za które brał nieraz siedemdziesiąt dukatów. Pas był szeroki i długi, można się nim było kilkakroć owinąć, a taki cienki, że przez pierścioneł przechodził. Dorobiwszy się pieniędzy, pan Jakubowicz kupił Zielonkę pod Warszawą i folwark Lipków. Potem sprowadził jeszcze więcej ormiańskich młódek, i założył w Lipkowie persjarnię.

– Było nas razem – mówiła starucha – niewiast dwanaście, czyli tyle, ilu jest świętych apostołów. Tak chciał pan Jakubowicz, człowieł nabożny. Robiliśmy pasy przez długie lata, aż do insurekcji, potem persjarnia upadła. Nasze pasy można było poznać po literach P. J. albo po wyhaftowanej figurze baranka z chorągiewką. W Kobylce koło Warszawy francuski majster Fiżan²

¹ Mowa, jak się zdaje, o Kurdach.

² Klaudiusz Filsjean, który konkurował z Jakubowiczem.

wyrabiał pasy podobne do naszych, ale gorsze. Niedobry miał zwyczaj, że powtarzał nasze ornamenta. Od czego pan Eliasza Bluciński, który był u nas majstrem, rozchorował się ze zgryzoty na żółtą niemoc.

Mówiła jeszcze starucha, że ormiańskie panny zmieniały się w persjarni, bo wychodziły za mąż za szlachtę i za mieszczan. Niektóre mają już prawnuków. I dlatego tyle się widzi w Warszawie kruczowłosych pacholąt. Było we zwyczaju, że kiedy zasłużona niewiasta ustępowała z persjarni, pan Jakubowicz wołał malarza, a ten na miedzianej blasze robił konterfekt onej. Wszystkie te podobizny można oglądać w dworku Jakubowiczów na Mariensztacie, gdzie wiszą jako pamiątki na ścianach.

Już po zwinięciu persjarni, na samym ostatku, starucha pożegnała się z sukcesorami Paschalisa Jakubowicza i odtąd żyje we wdowieńskim stanie, sama sobie radząc, zna bowiem różne orientalne sekreta.

Nie mogłem wytrzymać i spytałem, jakie to są sekreta.

Odpowiedziała, że zna sposób na zgęszczenie włosów na głowie i żeby długie rosły, na przyciemnienie brwi i rzęsów albo gdy się komu włosy siekają, i na spędzanie włosów z miejsc, które by gołe kto mieć chciał, i na farbowanie włosów siwych, takież rudych. Mówiła jeszcze, że

dopomaga pannom, które sobie czoło chcą rozprzestrześć, gdyby im włosami zarosło, że umie opuszczone rzęsy do góry wywijać, cerę rozjaśniać albo rumieńce czynić, wódkę różaną i inne pachnidła przyrządzać. Zna też sekret takiego lekarstwa, że piwne albo wodniste oczy stają się czarne i połyskliwe, od czego białogłowa piękna jest, a kawalerowie jak muchy do miodu k'niej się garną.

Tak oto się rozgadawszy, starucha mówiła już sama, bez mojego pytania, o różnych dystyngwowanych paniach i panach, którym z pomocą śpieszy. Na zakończenie rzekła mi, że ją czasem do pałacu Pod Blachą wzywają. Ale o tym, com się z tej rozmowy dowiedział i domyślił, nie będę dziś pisał.

W mieście ukazała się drukowana modlitwa do Matki Boskiej o wypędzenie Prusaków, Austriaków i Rosyjanów.

Sprzedawano modlitwę pierwiastkowo całkiem otwarcie przed każdym kościołem. Po kilku dniach, kiedy policaje zwiedzieli się o tym, można było dostać tylko przez znajomość. Dziś już trudno ją znaleźć, ale ludzie jedni od drugich przepisują i noszą w książkach do nabożeństwa.

*Byłem w pocztamcie, widziałem moje taczki,
ale nie pisał ani słowa. Starych pocztalionów
nie ma już, nowi mnie nie znają.*

*Marcinka zastałem wielce zatroskanego. Twarz
miał z jednej strony opuchłą i podsiniałe oko.*

– Co ci to? – pytam.

*Opowiedział mi historię z pruskim oficerem. Ten
oficer chciał do Berlina dziś rano dyliżansem
jechać. Przychodzi, miejsc już nie ma. Rozsierdził
się więc i dał w pysk naczelnikowi pocztamtu.*

*Naczelnik nie mógł tego płazem puścić. Wybiegł
na dziedziniec i dał w pysk swemu pomocnikowi.*

*Ten, oczywiście, w kieszeń tego nie schował. Do
izby pocztowej wpadłszy, sprzął mojego Marcinka.*

*A Marcinek nie miał już kogo bić. I tak
nieszczęsny ucierpiał za to, że dyliżans był ciasny.*

*Opowiadając o powyższym, Marcinek żalił się
na los i na lichy zarobek. Dzień do dnia podobny,
żadnej pociechy nie ma.*

*Zapytałem go, ile jest prawdy w gadaniu, że
urzędnicy pocztamtu są przekupieni przez pana
Gallon-Boyera. Odpowiedział od razu, że tak, są
przekupieni, i za każdy list hrabiego de Lille dany
do przeczytania tudzież za inne szelmostwa z
listami dostają wynagrodzenie i zyskiem się dzielą.*

*– Z tego jest i dla mnie – rzekł – duża pomoc.
Ale gadki chodzą, że hrabia ma na Inflanty jechać.
Z czego będę żył, jak wyjedzie? Pruska zapłata nie
wystarczy.*

Powiedziałem mu tak:

*– No to pluń na ten pocztamt i do cudzych listów
nie zaglądaj, bo wstyd. Po co tu będziesz siedział?
Teraz na świecie robi się ruch.*

*– To prawda, że się robi. Wiem od pocztalionów.
Niech no się Francuz ruszy, zaraz pojedę na
spotkanie i wstąpię do wojska.*

*Dziś jest niedziela. Przez ciekawość poszedłem
do kościoła ojców augustianów, gdzie sam przeor
miał kazanie i twardo nastawał na ojców
kapucynów.*

*– Słyszana to rzecz – wołał z ambony – słyszana
to rzecz do takich bezceństw ręki przykładać i, nie
odprawiwszy żadnych egzorcyzmów, zabierać jajo
do klasztoru, którego służ pańskich domem ma być!
Słyszana to rzecz spokojnie pozierać na męża,
którego jajo znosi, nie pokropiwszy go nawet wodą
święconą!*

*Bardzo się gniewał ksiądz przeor. Tłumaczył, że
spośród wszystkich kongregacji tylko ojcowie
augustianie na diabłach się znają i skutecznie
walczą z diabłami.*

*Ledwom to usłyszał, pobiegłem co tchu na
Miodową do ojców kapucynów i wszystko
opowiedziałem. Zaprowadzono mnie do przeora, a
ten mi rzekł:*

– Bóg zapłać, chłopcze, żeś o nas pamiętał. Alić uspokój się, bo żadnego czarta w tym jaju nie ma. Jeszcze ci powiem na uspokojenie, że to nie było jajo, jeno kamień wątrobiany z żywota pana Wolskiego. Chcesz obaczyć, to obacz.

Poszedłem z jednym braciszkiem do refektarza, gdzie zastałem doktora Gagatkiewicza pochylonego nad stołem. Cyrulickimi nożykami krajał w plasterki kulkę na kształt kurzego jaja. Z wierzchu była jasna, a od wewnątrz jak toruńska cegła. Pomagał doktorowi kapucyn. I tak mżoląc się, o skuteczności ziół wszelakich rozmowę wiedli.

Doktor pytał o zioła, które panu Wolskiemu do picia dawano, i czy w innych przypadkach były skuteczne.

Braciszek odrzekł, że różnych kamieni udało mu się już dużo wypędzić, nigdy jednak nie widział tak wielkiego. I podyktował doktorowi receptę, z której zapamiętałem, że się bierze rdest, świętojańskie ziele, korę kruszynową i kwiat jarzębiny.

Opowiadał mi dziś Cnota, że w Teatrze Narodowym rozruch był, aktorowie się buntowali, a pan Bogusławski krzyczał, że już nie wiadomo, co grać, że chyba wypadnie zamknąć antrepryzę. Cenzura pruska staje się coraz bardziej sroga i odrzuca wszystkie dramy, w których jest słowo ojczyzna albo wolność.

Teraz znów, dla odmiany, zabronili grać „Rzepichę, matkę królów polskich”, na którą przed pół rokiem wydali zezwolenie.

W teatrze wszystko było gotowe. Strojne suknie poszyte, aktorowie pouczali się, co trzeba, pan Smuglewicz wymalował jezioro Gopło z łabędziem, wymalował także rynek miasta Gniezna z kościołem Lelum-Polelum. Aż tu nad spodziewanie wszelkie w przeddzień pierwszego spektaklu przychodzi zakaz.

Pan Bogusławski w te pędy pobiegł do Kamery Pruskiej, ale nawet przez pana Hoffmanna nic nie wskórał.

Z rozpaczny niezmiernej pani Truskolaska podarła na sobie królewski płaszcz Rzepichy, z włosów wytargła zdobne grzebienie i zachorowała na spazmy; w lektyce odniesiono ją do domu.

Mówił mi jeszcze Cnota, że do pani Truskolaskiej wzywano doktorów, a ci zmusili ją do postu i kazali pić gorącą wodę chebską po pół kwaterki co godzina

¹ Agnieszka Truskolaska (1755–1831), znakomita artystka Teatru Narodowego. Opisane zaskabnięcie było, jak się zdaje, przypadłością wątrobianą. Woda chebska, od miejscowości Cheb w Czechach, toż, co woda karlsbadzka.

Z drukarni na Krzywym Kole zabrano do więzienia starego zecera i jego syna, też zecera. Skarżą ich Prusacy, że samowolnie, w sekrecie przed panem Gröllem, wydrukowali modlitwę do Matki Boskiej o wolność i wypędzenie wojsk cudzoziemskich z Polski.

Przypomniała mi dziś Coulonowa, żebym sobie szukał jakiej stancji na mieście, bo już niezadługo wyjeżdża nad Narew do barona Puszeta.

– Jakbyś chciał – rzekła – to ci mogę sprząty tanio odstąpić, bo i tak wszystko sprzedam.

Pomyślałem sobie, że gdyby czasy były pewniejsze, to może by i warto było zatroszczyć się o kąt. Ale cóż, dziś są Prusacy, jutro może być wojna. A jak wojna, to najlepiej nic nie mieć.

Pan Magier jest teraz szczęśliwy, bo cieśla przebudował mu budkę na dachu, a blacharz nałożył pokrywę blaszaną na kształt kopuły kościelnej, która się obraca wokół drewnianego filara.

W tej pokrywie jest dziura, a przez nią można wystawiać perspektywę, jak lufę od armaty, i spoglądać w niebo.

Dwa dni tam spędziłem, pomagając panu Magierowi przenosić i rychtować różne

instrumenta fizyczne. Perspektywa jest rozsuwana, z mosiężnych rur złożona, które wchodzi jedna do drugiej. Szkła tam są różne, szlifowane, wypukłe; można je wkręcać i wykręcać. Przez takie szkło spojrzawszy, palec wydaje się gruby jak belka, a włos jak postronek.

Pan Magier mówi, że takim szkłem można bez hubki i bez krzesiwka mech podpalić, a nawet łyżkę wody zagrząć; także pistolet zmusić do strzału bez pociągania za cyngiel.

Bardzo mi się te szkiełka podobały. Opowiedziałem o nich Cnocie-Nowickiemu, a ten rzekł, iż dyrektor francuskiej antreprzyży teatralnej pan Fourèze ma podobne szkiełko, które mu służy do podpalania tiutiuu, czyli krajanej tabaki, w lulce. Ale tylko w jasny dzień, przy pełnym słońcu. Bez słońca szkiełko gorącość traci i martwe jest, jak każde inne szkło.

Rzekłem Cnocie, że chciałbym mieć takie szkiełko, a jak nie ma słońca, to trzeba się pocieszać, że będzie.

Panna jedna z mieszczańskiego rodu, której imię przez skromność zatajam, z pruskimi officyerami bawiła się wesoło na Fawory, do ogrodów chodząc, hużdając się i piwo popijając. Nawet w kręgle grała i publicznie, ku powszechnemu zgorszeniu, hiszpańskie sygaretta kopciła.

*Tej pannie liścik przysłano, że jak nie zaniecha
swawoli z Prusakami, to kara ją spotka.*

No i stało się.

*Idę wczoraj Podwalem, patrzę, a tam o kilka
domów dalej ludu co niemiara. Obstąpili jakąś
białogłową, która głośno zawodzi:*

*– Oj, ja nieszczęsna! Co ze mną teraz będzie?
Napadli mnie, skrzywdzili!*

*Spoglądam, a panna w rękach własne warkocze
trzyma. Obejrzałem ją od tyłu, a tam zamiast
włosów kosmyki jeno mizerne.*

*Oho, myślę, to jest polityczny przypadek, bom
już był słyszał, że się nasi chłopcy co do tego
zmawiali.*

*Postałem trochę, żeby posłuchać, a panna się
żałowała, że jej nad spodziewanie wszelkie chustę na
twarz zarzucono i gwałtem do sieni wciągnięto.
Poczuła tylko, jak tną włosy nożycami. Ktoś
związał chustę na krzepki węzeł, przez co nic nie
widziała i ledwo dech mogła złapać.*

*Kiedy chustę zdjęła, minęło sporo czasu. Łapie
się panna za głowę – włosów nie ma! Patrzy
wokół, nikogo już nie widać. Sień pusta, tylko jej
włosy leżą na klepisku. I tak lamentując, wybiegła
na ulicę, a napotkawszy ludzi, o swej krzywdzie
opowiadała.*

*Cnota sprzedaje teraz po kafehauzach wiersz
pod tytułem „Apostrofa do IMCI Pana
Schimmelpfenniga d’Oyé, chwilowego prezydenta
policji w chwilowej stolicy Prus Południowych”.
Wiersz tak się zaczyna:*

*Bądź mi muzą, Mości d’Oyé,
Wszak dla ciebie lutnię stroię.
Krotki wierszyk, rzecz maleńka,
Niechże waszeć tak nie stęka.*

*Kto to ułożył i kto przepisał, nie wiem. Cnota
wie, ale go nie pytam. Bo taki się już utarł obyczaj,
że lepiej nie pytać.*

*Posłano mnie wczoraj z listem na Rybaki,
odwiedziłem więc z tej okazji francuską rodzinę, w
której był trędowaty chłopak i hrabia de Lille go
wyleczył.*

*Gadałem z nimi i na wszystkie strony oglądałem
chłopaka. Jest całkiem zdrow, silny i rumiany,
dawno już wrzody postradał, żadnego śladu po
nich nie ma. Pomaga teraz ojcu, który przy tym
domu, gdzie mieszkają, wybudował drewnianą
szopę i postawił w niej piec. Wypalają tam miski i
talerze z gliny, pięknie malowane. Widziałem, jak
to się robi.*

Starsza córka siedzi przy wierciółce i, popędzając ją nogą, wylepia naczynia z mokrej gliny. Potem je suszą. Po wysuszeniu młodsza córka z matką malują na talerzach różne powykręcane kwiatki i inne ornamenta. Polewę nakłada i po raz drugi wypala te naczynia ojciec, a pomaga mu syn, i to jest najcięższa praca, bo przy ogniu. W ten sposób zarabiają na życie.

W ich izbie wisi między świętymi obrazami wizerunek hrabiego de Lille jako króla w koronie i purpurowym płaszczu. Co wieczór za niego się modlą.

A teraz opowiem, co zrobiłem, choć sam nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy. Poradziłem im, żeby malowali na talerzach orła białego z napisem, przez co ludzie chętniej będą kupować.

– Orła – rzekłem – możecie przerysować z byle jakiej monety polskiej, a napis zaraz wam zrobię.

Co powiedziawszy, wziąłem kredy i napisałem na okapie kuchennym: „Honor y Oycyzna”.

Dziękowali mi za to i dali na pamiątkę talerz kunsztownie malowany. Chłopak, który szedł do miasta, wybrał się ze mną w drogę. Miał na głowie mykę wełnianą siniego koloru. Mówił, że w jego kraju najchętniej takie noszą.

Pytałem go, czy rodzice pragną do Francji wracać. Odpowiedział, że wróćą razem z królem, a teraz, lepiąc miski, mogą spokojnie żyć.

Byłem dziś na Zapiecku, oglądałem ptaszki i, jak to się nieraz zdarzało, spotkałem Dzibułę. Obajemy się uradowali. Doktor miał pod płaszczem małą klatkę i kupował szczygiełka. Wybrał jednego, pogderał trochę, zapłacił. Potem zanieśliśmy ptaszka na Rynek i tam wypuścili.

– Hej, jegomość – rzekłem mu – a wiecie, że i ja niby jestem z waszej doktorskiej korporacji, bom terminował w szpitalu na Mostowej.

Wielce go to zaciekało. Wypytywał o różne sposoby leczenia, głównie o dekokty gwajakowe, ile tego chory wypija i czy się przy tym poci.

Kiedym mu zdał relację, zasepił się i rzekł:

– Doktorowie tutejsi, prócz mnie jednego, są same niedożrzałki.

Rozgniewała mnie taka buta, więc go pytam:

– A powiedzcież mi, jegomość, czy wasi chorzy nigdy nie umierają?

– Nigdy mi jeszcze – odrzekł – nikt nie umarł, o ile choroba była regularna.

Na zakończenie znów mnie zahaczył, czybym do niego na czeladnika nie poszedł. Obiecował stancję, wikt, naukę kunsztu lekarskiego i zarobek.

W Rynku, na Dunaju, na Piwnej ulicy i w Krakowskiej Bramie porozklejano dziś w nocy

kartelusze, że która panna z Prusakami się zada, będzie miała obcięte włosy.

Ludzie czytali, dużo było gadania, a wszyscy mówili, że to sprawiedliwie jest i inaczej nie można. Anonse wisiały kilka godzin. Prusacy zeskrobali.

Dowiedziała się Coulonowa, że jej mąż jest w Grudziądzu, gdzie w fortecy zamknięty siedzi. Gorzko płakała, powtarzając:

– Moja winą, bom go sama skłoniła, żeby brał od tamtych wódkę i pieniądze.

Pocieszałem ją, jak umiałem najlepiej, że rychło patrzeć, wojna się zacznie, Francuzy zdobędą fortecę i męża jej wypuszczą.

Antreprenier pan Fourèze, co teatr francuski prowadzi, zapowiedział nowy balet ze śpiewami „Les trois carottes”, czyli fantazja o trzech zatrutych marchewkach.

Rozgniewały się dziś przekupki pod Krakowską Bramą i bez pieniędzy nie chcą już dawać szlachciankom francuskim nawet pospolitych jarzyn. Która zapłaci, to dostanie; która obiecuje, że zapłaci później, nie dostanie nic.

Po tej zmowie między sobą obstały mnie przekupki i jedna przez drugą kazały zapisywać familijne nazwiska tych pań francuskich, które są najgorsze w płaceniu. Przekupki mówią, że pójdą z tym spisem do rzeźników i wspólną skargę z nimi ułożą; potem zanoszą do hrabiego de Lille.

Mnie tam nic do tego, zapisałem, co kazały. Najgorsze w płaceniu są szlachcianki: Koszula, Otwór, Kokleń, Wokleń, Oberwał, Dzigier, Lakruła, Polniak, Szospir, Buszurdan, Rożakleń, Legrandoś, Bołdok, Wikander, Katryfasz, Wieruła, Siubyś, Dziwozak, Szuzyl i Barbarmuła

Powiedziałem przekupkom, żeby się śpieszyły, bo hrabia ma na Inflanty wyjechać.

¹ Autor miał nieprzyjemny zwyczaj polszczenia nazw i nazwisk, które znał tylko ze słyszenia. Straciliśmy dość dużo czasu, pracując nad odtworzeniem ich pisowni. Oto domniemane nazwiska emigrantek (dla ścisłości zaznaczamy, że nie wszystkie są szlacheckie): Cauchoix (Koszula), Hautefort (Otwór), Coquelin (Kokleń), Vauquelein (Wokleń), d'Auberval (Oberwał), Diguères (Dzigier), Lacroix (Lakruła), Polignac (Polniak), Chaussepierre (Szospir), Boisjournain (Buszurdan), de la Roche Jacquelin (Rożakleń), Lengrad d'Aussy (Legrandoś), Baudelocque (Bołdok), Vicq d'Andry (Wikander), Quatrefages (Katryfasz), Villeroy (Wieruła), Soubise (Siubyś), de Vieuzac (Dziwozak), Choiseul (Szuzyl), Barbe-Marbois (Barbarmuła). Niechże ta mała próbka świadczy, jak trudny był do przerobienia i opracowania ten wyjątkowo niechlujny rękopis. Jeszcze raz przypominamy, że wobec braku numeracji kartek nie możemy ręczyć za ścisłą kolejność przedstawianych tu faktów. Dbamy jedynie o to, by skrócony do jednej trzeciej pamiętnik nadawał się do czytania.

Kiedy sobie pomyślę, jak to na Podwalu warkocze pannie obcięto, przypomina mi się druga panna, która się też sprusaczyła.

Ta druga ma stancję w małym domku opodal Cekhauzu. Gdy zmrok zapadnie, zajeżdża do niej czasem pruski rotmistrz. Przywiązuje konia do ulicznego drzewka i trzykroć stuka kołatką. Na ten znak panna zbiega na dół i drzwi mu otwiera.

Pewnie bym o tym nie pisał, żeby nie ten koń.

Kerner mówi, że jest to arabczyk nad podziw piękny i rzadko spotykany, bo kary i strzałkę ma na czole. W austriackiej kawalerii, która ze swych koni sławna jest, Kerner przez całe swoje życie widział pięciu albo sześciu takich koników. I to na Turkach były zdobyczne, a może od Turków kupione.

Jeszcze mówił Kerner, że ten arabczyk, na którym rotmistrz do panny zajeżdża, nie może być pruski, bo Prusacy takich koni nie mają, nie stać ich na to. Pewnie go więc źrebięciem zabrali ze stadniny pana Kwileckiego w Poznańskim, który miał taką samą klacz karą ze strzałką na czole.

Jakaś dziwna tęsknota ogarnęła Knera i już mnie dwakroć prowadził w stronę Cekhauzu, aleśmy konika nie spotkali.

Pan de Keralie był dziś rano koło Krakowskiej Bramy i przekupkom do sumienia przemawiał, żeby

się nie szły skarżyć do hrabiego de Lille. Mówił, że francuskie rodziny są teraz w biedzie, że na każdego naród może spaść taka klęska, że co dziś mnie, jutro tobie.

Dał przekupkom trochę grosza i obiecał, że odtąd co sobota będzie im coś przynosił na spłacenie długu rodaczek.

ROZDZIAŁ XII

Filipek jest świadkiem bójki ulicznej. – Traktat o farbowaniu włosów. – Jedź do Krzeszowic albo kupuj kozę. – Mazur i jego zagadka. – Katastrofa z Hamletem. – Honor y Ojczyzna. – Kerner zwierza się Filipkowi ze swych pragnień. – Pruskie pogrożki. – Topografia okolic Cekhauzu. – W

oczekiwaniu na wojnę. – Nagłe zniknięcie arabczyka. – Warszawa pogrążona w mizerii. – Ha, taki konik! – Zupa na kościach z Lucypera. – Książę Józef chwali talerze. – Cud na Świętojskiej. – Filipek nic nie dostrzega. – Wymiana słów z niedelikatnym mieszczuchem. – Domniemane cechy wolterianizmu.

Była wczoraj niedziela, dzień piękny, choć skwarny. Na podwieczerek dużo luda jechało albo szło do ogrodu pana Unruha za wolską rogatką.

Poszedłem i ja panny huźdać, za co wdzięczni kawalerowie coś niecoś grosza mi kapnęli.

Zgrzany, spocony, wracam przez Leszno; patrzę, przed pałacem pana Mostowskiego wiele karet stoi. Konie powyprzęgane spokojnie obrok jedzą, a stangreci, zebrawszy się w kupę, dyszkurują.

Pewnie bal, myślę sobie. Zaciekało mnie to, bom słyszał, że pan Mostowski do tańców się nie garnie. Podchodzę więc i pozdrawiam stangretów, a prawie wszyscy mnie znali.

– Jaki tam bal – powiadają. – Nie bal, tylko ważna sprawa.

Dowiedziałem się od nich, że się w pałacu zebrało Towarzystwo Przyjaciół, że mają obwołać nową starszyznę. Przyjmują też dziś do nowicjatu; takich, co zwą się czeladnikami, obwołują majstrami, a wszyscy są znów braćmi.

Pytam więc, kto będzie starszy na ten rok? Jedni mówią, że ani chybi, tylko pan Małachowski, inni znów się spierają, że pan Wincenty Krasiński. Jeden stangret, co siedział na kozle, strzelił z bata i krzyknął:

– Mój pan najwięcej krysek dostanie, pan Łubieński!

Rozgniewali się drudzy na te słowa, a ten od pana Krasińskiego tak się rozsierdził, że rąbnął tamtego biczyskiem. Przez co rejwach się zrobił i harmider. Stangreci zaczęli się pracować, a że ciemno było, nie mogłem pomiarkować, który którego bije.

Teraz napiszę zakończenie sekretów, com się dowiedział od ormiańskiej staruchy.

Kiedy powiedziała, że bywa pod Blachą, zaraz mi przyszedł na myśl książę Józef. Ale nie mówię nic, pilnie słucham, a stara gada i gada.

Zaczęła tłumaczyć, jak się farbuje włosy na mużulmański sposób. Do czego służy kamień perski, na który mówią jedygo, i mączka chemna z abisyńskiej ziemi

. Kamień trzeba potłuc na proch, zmieszać z mączką, dodać żelaznego koperwasu, póki jeszcze nie ściemniał, i zagnieść na ciasto. Siwemu człowiekowi albo kobiecie oblepia się głowę tym

ciastem i niech tak leży w spokoju godzinę czy też dwie. Przez ten czas nie trzeba go drażnić, żeby głową nie trząchał. Potem wygrzebuje się ciasto z włosów, a głowę myje i płucze w zmienianej po kilkakroć wodzie deszczowej.

Od czego siwe włosy nabierają cieni, jak kto chce, byle tylko dobrze pomieszać tłuczony kamień z mączką.

Ponieważ opowiadają w Warszawie, że księżę Józef siwy jest i malowane ma włosy, spytałem staruchy, czy potrafi siwą głowę przerobić na kruczą. Odpowiedziała, że się podejmie przerobić na czarniejszą od smoły.

Wtedy spytałem, czy i baczki umie farbować, co potwierdziła skwapliwie. Od tej chwili nabrałem pewności, że to, co powiadają na mieście, prawda jest. I aż mi się żal zrobiło księcia Józefa. Taki jeszcze młody, taki od niewiast miłowany, a już siwy.

Starucha mówiła dalej, że są w Warszawie głupie białogłowy, które posiławszy ołowianego grzebienia używają. Ano, trudno zaprzeczyć; grzebień taki skutkuje i włosy od niego czernieją, byle się nim ciągle bez przestanku czesać. Alic po kilku miesiącach niewiasta dostaje chrostów na czole, na plecach, na piersiach; chudnie, z sił opada i ciągle się drapie.

Spytałem, czy jest ratunek dla takiej niebogi. Starucha odrzekła, że trzeba się wystarać o

paszport austriacki i do Krzeszowic jechać. Tam są siarczyste kąpiele, od których chrosty znikają. Kto nie dostał paszportu, niech sobie kożę kupi i bezustannie pije kozie mleko. Lepszych sposobów nie ma.

Od Czerska, gdzie się Mazury ślepe rodzą, przyjechał garncarz jeden i przywiózł chyba z tysiąc różnych zabawek dla dziatwy. Były tam kogutki gliniane, pawie, gołąbki, kukułki, psy, woły, konie, figurki wdzięczne, miseczki, garnuszki, rynki, dwojaki, a wszystko tak pomyślane, żeby dzieciom uciechy przysporzyć.

Na ten przykład kogucik, koń, pies, gołąbek, czyli każde stworzenie, miały z tyłu szparkę do dmuchania i wydawały różne piskliwe tony. Najlepsza z tego zwierzyńca była kukułka; jeśliś dmuchnął w nią należycie, kukła niby żywa.

Przekupki, widząc tyle cacków, kołem obstały garncarza, żeby nikt obcy do wozu się nie dostał, i po krzykliwym targu wszystko wykupiły. Garncarz był kontent.

Wybrałem sobie i ja glinianą kukuleczkę. Chcę płacić, o cenę pytam, na co on mówi, że kukułka da mi darmo, jeżeli zgadnę jego zagadkę.

Bardzo lubię zagadki i mam do nich łatwość, zgodziłem się więc chętnie. A to ciemne chłopisko powiada w swym szkaradnym narzeczu:

– Cyrwuny ptosek wierci d..om piosek.

Biorę na rozum, że czerwony ptaszek to niby z gliny ulepiony, pewnie będzie kukułka. I głośno wołam:

– Kukułka!

Ten zaś mi w żywe oczy:

– A dyć nie zgodłeś, bo cybulo

.

Taka mnie złość ogarnęła na te kłamliwe słowa, że dałem mu w łeb. On mi oddał. I dalejże zaczynamy tarmosić jeden drugiego. Dopiero nas przekupki rozdzieliły.

Nie udało się pierwsze przedstawienie „Hamleta, czyli królewicza duńskiego”. Jest to drama, którą pan Bogusławski pilnie z języka niemieckiego tłumaczył. Wzory do dekoracji nadesłał pan Smuglewicz, bo sam malować nie mógł; do Wilna wyjechał.

Cnota mówi, że pan Bogusławski wielce się trudził, żeby publiczność dla tej sztuki zjednać. I wszystko się załamało.

Poszło o to, że pan Szymanowski

królewicza grający, kiedy się duch pojawił na scenie, stanął twarzą do tego ducha, a tyłem do spektatorów. Wtedy zaczęto szemrać:

– Hej, waszeć, a stańże przodkiem do nas!

Pan Szymanowski dawał publice znaki, że tak musi być, że przecie nie może wykręcać się tyłem do ducha ojca swego, któren zza grobu gada. Nie pomogło. W łóżach szmer był, a na paradyżie tupot i gwizdanie.

Co widząc, pan Bogusławski kazał korynę zaciągnąć i potem prosił gości o wybaczenie i cierpliwość. Mówił, że skoro aktorowie ochłoną, cały ten obraz się powtórzy i królewicz będzie już postępował zgodnie z życzeniem przeświejnej publiczności. Tak też zrobiono.

Po spektaklu, zamiast do dom iść, pan Szymanowski pić poszedł. Znalaziono go rankiem na Kamiennych Schodkach, gdzie spał. Przez ten czas niedobrzy ludzie buty mu zzuli.

Od tej kukuły przekłetej mam teraz wiele utrapienia, bo kiedy idę rankiem ku Krakowskiej Bramie, na mój widok przekupki wołają: „Kuku, co to za ptosek?”.

W kafehauzie Nad Zdrojami jest mała stacyjka prawie całkiem ciemna; okno wychodzi na mur,

¹ Zagadki tej, jak się zdaje, nie zanotował żaden etnograf.

² Marcin Szymanowski (1775–1830), znakomity artysta Teatru Narodowego, grywał role bohaterów tragicznych.

ręką do niego sięgniesz. Tam przy olejnej lampie zbierali się panowie, kawę pili i lwowskie zakazane gazety czytali.

Wczoraj przyszli Prusacy i wszystkich gości uprowadzili; było ich sześciu.

Cnota znał tych panów, bo im lwowskie gazety sprzedawał. Najstarszy wiekiem wśród tych sześciu jest pan Andrzej Kapostas, bardzo respektowany; po insurekcji do Petersburga był wywiezion i w ciurmie siedział. Za polskich czasów pisywał i dawał do drukowania książki jakobińskie przez młodych chętnie czytowane. Jedną jego książkę „Pogoda, czyli zabytek prawdy” Cnota zna i chwali, choć nie rozumiał.

Pod Krakowską Bramą są dwa stragany z garnkami, dzbankami, talerzami.

Stoję wczoraj rano pod moją kolumną i widzę, że niezwykajna siła narodu do tych straganów się garnie. Podchodzę bliżej i oczom nie mogę uwierzyć.

Na straganach leżą piękne, błyszczące talerze z malowanymi orłami, dokoła których napis „Honor y Oyczyzna”. Ludzie kupują jeden przez drugiego, cisną się, niektórzy po pół tuzina biorą.

Nie minęło ćwierć godziny, talerze były rozprzedane. Pytam się z głupia frant przekupek, skąd to wzięły. Powiadają, że im przyniósł jakiś

francuski chłopak. I jeszcze mówią, że tylko zbiegł na Rybaki i zaraz tu wróci z nowymi talerzami.

Miło mi się zrobiło na sercu, kiedym tego słuchał i na to patrzył. Postanowiłem zaczekać. I choć mnie wzywano do rąbania drew na Senatorską, nie chciałem odejść od kolumny.

Stoję, rozglądam się, idzie mały Francuzik, na głowie kosz ciężki dźwiga. W koszu były talerze sianem poprzekładane od stłuczenia. Pomogłem mu wyjąć i rozdzielić pomiędzy dwa stragany, bo już się przekupki zaczynały czubić i kłótnia by była. Rzekłem więc do nich:

– Weźmijcie, co wam dają, i zamówcie więcej, bo towar jest dobry. A nie zapominajcież dodać coś chłopakowi, to wam chętniej będzie przynosił.

Posłuchały mnie i tak zrobiły. Zaprowadziłem niedorostka na piwo pod Gwiazdę, bom wielce był ciekaw posłuchać, co się też u nich dzieje. Powiedział, że nigdy jeszcze takiego handlu nie mieli, że ojciec szuka parokonnego wozu, żeby znów nazwozić glinki z farfurni pana Wolffa. W imieniu rodziców chwalił mnie i dziękował za dobrą radę.

Zaciekawiła mnie jego mycka, którą mi dał do obejrzenia. Zrobiona z jednego płata wełny, na czoło zsuwana i w lewo zwisająca. Kolor ma ciemnosiny, ma też wyhaftowane trzy znaczki na podobieństwo pszczołek. Jedna pszczołka u góry, spodkiem dwie.

*Taki skwar, że trudno ustać pod kolumną,
biegam więc często do Gwiazdy. Ostatnią razą
spotkałem tam Knera; zafrasowany siedział.
Pytam go, o czym tak duma i dlaczego twarz ma
smutną, nieogoloną i zapadniętą policzki.*

*Odpowiedział, że był na Payembergu za Saskim
Ogrodem, gdzie są stajnie pruskie. Tam rozmawiał
z forysiami i widział arabczyka, na którym
rotmistrz do polskiej panny jeździ. Od tej chwili,
powiada, spokoju nie może zaznać, tylko myśli i
myśli. Ten konik śnił mu się przez dwie noce.*

*Na ścianie Kamery Pruskiej, na magistracie w
Rynku, na Krakowskiej Bramie i w kilku innych
miejscach rozklejono dziś rano takie publicandum:*

*Uwiedomia się publiczność dla bacności y
przestrogi, iż zaaresztowanie y wysłanie
niektórych tutejszych osób dla publicznego
bezpieczeństwa od Regencyi za potrzebne
poczytane zostało y że wspomniane osoby o
wpływ do machinacyi na zburzenie spokojności
zamierzające, tak przez zeznanie współników
iako y przez dokumenta przy nich znalezione
przekonanemi zostali.*

Schimmelpf

ennig d'Oyé

Prezydent

Policyi

Miasta

Warszawy

*Cnota mówi, że pana Kapostasa, jako leciwego,
z więzienia zwolniono, a jego przyjaciółów bez
sądu wysłano do Grudziądza. Wysłano też do
Grudziądza trzech czy czterech drukarskich
czeladników.*

*Chodziliśmy na podwieczery, Kerner i ja, po
ulicy Długiej, po Nowolipkach i Tłomackiem, żeby
sobie wbić w głowę całą tamtejszą geografią, a
najwięcej po to, żeby spałiętać, gdzie stoją
wartownicy, co bram Cekhauzu strzegą.*

*– Spójrz, Filipku, na to okienko – mówił Kerner.
– Tam mieszka panna, do której rotmistrz
przyjeżdża.*

*Okienko było w górze, na półpiętrze. Stały w nim
doniczki z kwiatkami, wisiiała też wzorzysta
kotarka.*

*Długo i uważnie rozglądał się Kerner dokoła, a
potem wskazał na bżowe drzewko przed domem i
tak powiedział:*

– Tu, zapamiętaj sobie. Do tej bżyny rotmistrz przywiązuje konika.

Chyba już teraz będzie naprawdę wojna, chyba się Prusak pobije z Francuzem, bo znów zaczęto łapać rekruta, gdzie się da, po wsiach, po miasteczkach i w samej Warszawie.

Pod moją kolumną spokojnie sobie stoję; wiem, że gdyby łapanka była, ludzie mi w porę dadzą znać, żebym zemknął. Znam wszystkie przechodnie domy z ulicy na ulicę, znam różne sienie i zakątki, a jakby trzeba było, to ormiańscy kupcy mnie ukryją w Krakowskiej Bramie.

Pisano we lwowskich gazetach, że najważniejszy pruski minister, pan Haugwitz, jest od Napoleona przekupiony i że wierniej mu służy, niżli własnemu królowi.

Te słowa piszę w świąteczny dzień narodzin Matki Boskiej. Tak mi błogo, że gdybym umiał wiersze pisać, to wszystko wierszem bym tu pisał.

Pruskiemu rotmistrzowi konik się gdzieś zapodział. Był jeszcze wczoraj, a dziś już go nie ma.

Huzarowie po dziedzińcach biegają, stajnie i szopy otwierać przykazują, konika nie mogą znaleźć. Przepadł, nie ma konika.

Wczoraj o zmroku rotmistrz do swej panny przyjechał, konia przywiązał do drzewka pod oknem, zakołatał i wszedł do domu. A kiedy wyszedł, konika już nie było.

I niechże mnie nikt więcej nie rozpytuje, bo nie powiem.

Wciąż mi na duszy błogo, a w Warszawie mizéria coraz większa. W zeszłym roku na jesieni i w zimie, kiedy Napoleon wojował z Austriakami i Rossyjanami, narodowi warszawskiemu letko się żyło, bo handel szedł w obie strony przez galicyjską granicę.

Teraz Prusacy gęsto granicę obstawili, od czego w handlu towarów coraz bardziej brak.

A najwięcej brakuje towarów korzennych, roślin farbierskich, szafranu, sukna czeskiego i szkiełek czeskich, takóŜ wyrobów brabanckich, ryŜowego pudru do peruk, pachnideł i papieru do pisania dystyngwowanych listów. Nie ma wcale migdałów i rodzyneków, cytryny bardzo drogie, kawa teŜ droga. Wina od roku sã tylko ryńskie w handlu, węgierskie pochowane.

Przez to wszystko bogaci kupcy zbiednieli, niektórzy się pozamykali, a jadło w gospodach stało się mdłe bez pieprzu. Pan Czempiński, nie mogąc się wonnych ziół doszukać, zamknął swoją dystylarnią likworów.

Po Warszawie dużo chodzi takich, co nie mają zarobku. Choć nie lamentują głośno, zaraz poznasz, że są w potrzebie.

Kernerowi oczy się śmieją i cała twarz się śmieje, ze wszystkiego jest kontent.

Schyliwszy się do mojego ucha, szepnął:

– Będzie siurpryza dla księcia Józefa, niech no się zrobi ruch. Ha, taki konik!

Byliśmy pod Gwiazdą i Kerner z uciechy za piwo płacił. Spytałem go, czy ma czyste sumienie.

Spytałem też, czy nie warto by iść do spowiedzi.

– Jak chcesz, to idź – powiedział. – Ja nie pójdę, z sumieniem mam spokój.

Kerner z kroackiej jest ziemi, też rzymskokatolickiej, ale czy wierzący, nie pytam go o to.

Na Senatorskiej w spalonym pałacu pana Szczęsnego Potockiego, który się moskiewskim generałem zrobił, farmazoni polskiego obrządku wybudowali piec i ustawili w nim kocioł do gotowania zupy. Od dziesiątej rano dają każdemu zupę, kto się zjawi z miską i z łyżką, nic za to nie żądając. Siła narodu przychodzi, a ustawiają się gęsiego.

Jadłem zupę, smaczna. Ludzie za mną mówili, kiedym czekał, że w tym kotle kości się rozgotowują aż do ostatka i śladu z nich nie zostaje. Przez co zupa wielce posilna jest, lepsza od rosółu. A ten kocioł, mówili, ma taką mechanikę, że po ugotowaniu zupy sam zwołuje kucharzy.

Jakem to usłyszał, rady sobie dać nie mogłem z ciekawości i przed wieczorem drugi raz pobiegłem do spalonego pałacu. Spotkawszy kucharczycę, grzecznie go prosiłem, żeby mi wytłumaczył, jak ten kocioł daje znać kucharzom, że zupa ugotowana.

Kucharczyk, warszawski chłopak, wszystko mi pokazał. Obejrzałem kocioł. Z miedzi jest, wewnątrz pobielany, głęboko wpuszczony w obmurowanie ceglane, przykryty hełmem też miedzianym, który się przykręca po nałożeniu mięsa, jarzyn, kości, soli i po nalaniu wody. Od czego para, nie mając nigdzie ujścia, nabiera takiej ostrości, że co miękciejszy gnat to go w sobie roztopi, a z twardszych wyciąga szpik i smak. Na zakończenie, w szaleństwo wpadłszy, para wypycha kurasik z wiszącym na nim ciężarkiem i syczy, pryca, parska, ksyka i gwizdże, kucharzy zewsząd zwołując.

Sam widziałem, że zupa jest na kościach wołowych. Przekupki powiadały, że ją farmazoni robią na kościach z Lucypera.

Ksiązę Józef przechodził dziś Krakowską Bramą. Kiedy go przekupki pozdrowiły, spytał: „Jak wam się, moje ciotki, powodzi?”.

Jedna pokazała talerz z orłem i napisem. Ksiązę go wziął do ręki, pilnie obejrzał i zagadnął, czyby mu mogła sprzedać tuzin. Ponieważ tyle nie miała, rzekł jej, żeby zamówiła i odesłała do pałacu.

Ludzie biegną do kościoła Świętego Jerzego, bo Matka Boska płacze. Taki ścisk, że nawet ja nie mogłem się tam dopchać. Kobiety mdleją, jednej rękę złamano.

Zaglądałem, tyłem tylko widział, że ludzie klęczą przed bocznym ołtarzem i litanią śpiewają.

Zaczęło się przed kilku dniami. Jakaś niewiasta pomodlić się przyszła, dziecko ze sobą przywiódłszy. W kościele luz był, na bocznym ołtarzu jarzyły się dwie świece. Dziecko mówi:

– Mamo, boję się, bo Matka Boska płacze.

Słyszac te słowa, niewiasta opuściła głowę i nie miała śmiałości spojrzeć na obraz. A dziecko powtarzało, że widzi łzy Matki Boskiej, że się boi i chce do domu wracać. Coraz głośniejsze wołało.

Przez ten czas ludzie do kościoła napływać zaczęli, a zrozumiawszy głos niewinnego dziecka, padli na kolana. Nic naprzód nie widzieli, potem

ktoś krzyknął, że widzi, i od tego inni też zobaczyli, że Matka Boska płacze.

Szloch się zrobił w kościele i niespokojność wielka. Niektórzy pobiegli do dom swoich sprowadzać, inni zakrystiana wołali, żeby więcej świec przed obrazem zapalił.

Od czego, gdy jasno się stało, każdy już mógł dojrzeć, że Matka Boska płacze. Ale byli i tacy, co się upierali, że nie widzą. Od tych się odwracano, boć wiadomo, że grzesznik cudu nie dostąpi.

Dziś raniutko poszedłem na Świętojerską i, rozpychając ludzi w prawo i lewo, stanąłem przed ołtarzem. Dookoła klęczano, niektórzy plackiem leżeli, dwanaście świec woskowych oświetlało obraz na cedrowym drzewie od Świętego Łukasza malowany.

Trochę stałem, trochę klęczałem, trochę śpiewałem z innymi, a przez cały ten czas okam nie spuścił z obrazu. I przykro mi było, że nic nie mogę dojrzeć z tego, co wszyscy podziwiają.

Po godzinie więc, a może i więcej czasu minęło, wydostałem się na światło dzienne z kościoła, który ze starości w ziemię się zapadł na kształt piwnicy i chodzić teraz trzeba po ciemnych kamiennych schodkach. Tam niewiasta jedna, stopni nie dojrząwszy, rękę złamała.

Jakem się nareszcie wydostał, siadłem koło wejścia pod daszkiem gontami krytym, żeby deszcz przeczekać. Na to samo też czekał mieszczanin stary jakiś w tykawatym żupanie żółtogorącym, dziś już z rzadka noszonym. Różaniec odmawiał, a co kilka zdrowasiek stukał palcami w kościaną tabakierę i niuch pergamoty pociągał.

Myślę sobie, niech kichnie. Kiedy kichnął i zaczął nos wycierać, mówię do niego grzecznie:

– Pozwólcie, waszmość, że wam się zwierzę z frasunku mojego. Byłem w kościele przed obrazem, modliłem się i żadnego cudu nie dostrzegł.

Odrzekł na to:

– Boś grzesznik. Nie przerywaj mi różańca i idź sobie precz.

Pan Magier wziął mnie dziś na przechadzkę i o cud z Matką Boską pilnie wypytywał.

Wszystko, com wiedział, rzetelnie mu opowiedziałem. Rzekłem też, iż choć byłem w kościele, niczego nie dojrzałem. Korciło mnie spytać profesora, co o tym myśli, ale nie spytałem, bo człowiek, który wiatry mierzy i ma składaną perspektywę, człowiek taki, ani chybi, jest wolterianin.

I tak po całej Warszawie z okolicą rozeszła się nowina. Świętojerski ksiądz proboszcz, kiedy do niego przyszli parafianie, o niczym nie chciał słyszeć i mówił, że mszę świętą, jak dotychczas, będzie odprawiał przed głównym ołtarzem, nie przed bocznym.

Wtedy mieszczanie rzekli, iż złożą fondusz na kościół, byle przed Matką Boską była co rano msza solenna i adoracja obrazu.

Proboszcz mówił, że bez zezwolenia biskupa nie może tego czynić. Rozstali się więc ze wzajemną urazą.

Na trzeci dzień ludzie zaczęli zjeżdżać wasągami, biedkami, nawet na drabiniastych wozach, z różnych wsi i miasteczek.

Zmówiły się cechy: kowalski, kołodziejski i bednarski, żeby w kościele i przed kościołem ład utrzymać. Pozwoływano co tęższych czeladników.

Tymczasem pruscy szpiegowie i policaje też się kręcić zaczęli koło kościoła, przez co bójki były i dla policji dyshonor.

Pan gubernator zły był; wzywał do siebie proboszcza i żądał, żeby zamknąć kościół, póki się ruchawka nie uspokoi. Na to ksiądz proboszcz tłumaczył, że kościół od poznańskiej diecezji zależy i bez woli biskupiej zamknąć go nie masz prawa.

Jak się o tym zwiedzieli mieszczanie, poszli dziękować proboszczowi; prosili też, żeby za

poprzednią rozmowę urazy do nich nie miał. Ten im rzekł:

– Widzicie, waszmości, że przez cały dzień przed obrazem dwanaście świec się pali, a mój wikary co rano odprawia mszę śpiewaną. Więcej zrobić nie sposób. Pisałem w tej sprawie do Poznania i odpowiedzi czekam.

ROZDZIAŁ XIII

Filipek chciałby się pozbyć grzechów. – Ma kłopot z wyborem spowiednika. – Kłeka przed konfesjonalem i otrzymuje rozgrzeszenie. – Nowe cuda u Św. Jerzego. – Czeladnicy w opałach. – Gubernator zamyka kościół. – Wieści o wielkiej armii nad Renem. – Pomyślna wróżba w szlifierni. – Balet i szkieleto. – Kowal piorunem tknięty. – Zamieszanie na rynku pieniężnym. – Złośliwe wierszyki. – Odjazd hrabiego de Lille. – Filipek jako doktorski czeladnik. – Co się dzieje z listami

na poczcie. – Krótki oddech, aqua Fioravanti, panna z przełękiem i uwięziona dusza. – Zamach na Krakowskim Przedmieściu. – Filipek znajduje swoją mykę. – Gdzie sól, gdzie słonina?

Kilka dni rozmyślałem nad tym, co mi ten zatabaczony mieszczuch powiedział. I takem postanowił iść do spowiedzi, grzechów się pozbyć.

Największa trudność, że nie mogę sobie jasno tych grzechów wyobrazić. Co niedziela chodzę na mszę świętą, często i na nieszpory. Póki pamięcią sięgam, jeszcze nigdy w dzień postny kawałka kiełbasy nie zjadł. Nikomu nic nie ukradłem, bo mnie pieniądź nie kusi; co zarobię, to zwykle rozdaję i nieraz sam zostaję bez grosza. Cudzej żony, na ten przykład Coulonowej, nie pożądałem; za bardzo szpetna jest. I tak mi czas niewinnie zleciał od ostatniej wielkanocnej spowiedzi.

A ten grzech, o którym często myślę, to chyba nie jest grzech, tylko zasługa. Sam nie wiem, co o tym sądzić.

Chciałem się dziś rano znów dostać do kościoła, ałem za późno przyszedł. Zwarty tłum kłęczy na ulicy, odmawiając litanie. Przecisnąć się nie sposób.

Na rogatkach policaje wypytują każdego przybylca, do kogo idzie i po co. Toteż ludzie

zmądrzeli już i albo kłamią, albo się przemykają przez folwarki podmiejskie; zza Wisły przeprawiają się łodziami na Żolibórz i dalej idą pieszo.

W Warszawie i hen, daleko za Warszawą, jeden drugiemu powtarza, że Matka Boska płacze.

Była wczoraj niedziela; przypomniały mi się czasy z konwiktów bartoszków, gdzie kalefaktorem będąc, różne szkolne sekreta znałem i nigdy ich nie zdradziłem.

Przypomniało mi się, jak to uczniowie na wagusy biegali do opuszczonego ogrodu pani Karoliny Godzkiej, która za księcia de Nassau za mąż wyszła i stąd jej ogród Dynasami przezwano.

Jakaś mnie rzewność ogarnęła. Poszedłem więc tam wczoraj i w każdy kąt zaglądałem. W ogrodzie, który do reszty zarósł i zmarniał, żywej nie spotkałem duszy. Ruiny teatru i pałacu chwastami są pokryte, a wśród kamieni jaszczurki śmigają.

Zleżałem pod kasztanem i takem myślałem i myślałem, czy to był grzech, czy nie był grzech i jeżeli był grzech, to jak go się pozbyć. Musi tu być jakaś subtylność, bo za taki postępek chłopcy kłonicę z wozów wyjmują i biją, aż zabijają.

Jeśli mam się z tego spowiadać, tak rozmyślałem, to u kogo? Do pijara nie pójdę, bo zanadto uczony i niezwykajny takich grzechów. Bartoszek mnie zna, wstyd by więc było do niego

iść. Jezuitów już tylko kilku pozostało i staruszkowie są, pono głusi. Do augustianów nie pójdę, bo od ich kazań kołowacizna mnie ogarnia.

Myślałem, myślałem i nagle zaświtało mi w głowie: pójdę do ojca kapucyna! A dlaczego? Bo kapucyni warszawscy prawie wszyscy z bezrolnej szlachty się wywodzą. Taki szlachcic szaraczek, choć w habit przybrany, fantazją swoją ma; i prędzej uwierzy, że nie dla zysku popełnił koński grzech.

Stało się! Zaraz tu opowiem, jakem się z końskiego grzechu spowiadał.

Poszedłem na Miodową do kapucyńskiego kościoła, kiedy już msze święte były poodprawiane. Kłękłem przed ołtarzem i odmówiłem pacierz. Rozejrzałem się później i upatrzyłem sobie kapucyna wzrostu słusznego, lat ze czterdzieści, z bystrym spojrzeniem i z brodą in folio.

Podchodzę, mówię, że grzech mam nad spodziewanie wszelkie osobliwy, w Warszawie rzadko spotykany, i chciałbym go się pozbyć.

Trochę się zdumiał ojciec kapucyn, popatrzył mi w oczy, ale się nie spierał. Kazał czekać przy konfesjonale, sam się poszedł pomodlić.

Wrócił, zaczynam spowiedź. Jak to pruski oficer na arabczyku jeździł, a ten arabczyk był

*niezmiernej piękności, bo kary, z wążiutką strzałką
na czole, stąpał jak panienka, ledwo ziemi dotykał.*

*Widzę, że ojciec kapucyn uważnie słucha, dodaje
więc, że ten konik był z pewnością porwany z
polskiej stadniny, bo Prusaków na takiego nie stać.*

*Mówię dalej, że nicem tu dla zysku nie czynił, a i
mój kompan także, bo ma być wojna i chcemy dać
konika polskiemu wojakowi. Opowiedziałem, jakem
stanął na czatach wedle Cekhauzu i kiedy
wartownik skreślił za mur, znak dałem,
gwizdnąwszy. Potem było słychać w ciemnościach
tętent kopyt końskich, a potem znów wołanie:
„Halt! Halt!”.*

*Ojciec kapucyn chrząknął, poruszył się
niespokojnie w konfesjonale i spytał:*

– A dobrzeście go schowali?

– Oho – powiadam – już go nie znajduję.

– No to zmów Zdrowaś Maria.

Zastukał i tak się skończyła moja spowiedź.

*Jutro wczesnym rankiem pobiegnę do kościoła
Świętego Jerzego, tam przyjmę komunię świętą i
może spłynie łaska na oczy moje.*

*Czeladników kowalskich, bednarskich i
kołodziejskich, którzy przed Świętym Jerzym
porządku pilnowali, do kordygardy zabrano. Tam*

*ich bito, żądając, żeby się przyznali, że nijakiego
cudu nie było. Wszyscy siedzą.*

*Raniutko byłem przed kościołem i oto, com się
dowiedział.*

*Wczoraj, już po zapadnięciu zmroku, zajechali
przed kościół budowniczowie pruscy od
gubernatora przystąpi, a z nimi wachmistrz z
oddziałem dragonów na koniach.*

*Ludziom kazano się rozejść i dużo było krzyku.
Budowniczowie zapalili łuczywa, weszli do
kościół i oglądali ściany. Orzekli, że kościół może
się zawalić, trzeba go więc zamknąć do czasu, póki
nie przyjedzie komisja z Berlina.*

*Zakrystianowi odebrali klucze, wszystkie drzwi
zamkli, deskami zabili na skos; przed kościołem
stanęła wacha, a po Świętojerskiej jeżdżą konne
patrole.*

*Hańba i klęski wojenne niech spadną na
Prusaków za ich podły postęp!*

*Napoleon zgromadził nad Renem dwakroć sto
tysięcy żołnierza, a drugie tyle trzyma pod bronią
w miastach włoskich i różnych księstwach
niemieckich.*

*Przeznaczeniem tego żołnierza jest zawojować
Prusy, bo Napoleon ścierpieć nie może króla*

Fryderyka Wilhelma, który zeszłego lata wszystkich dokoła pozdrazdał, ślubując przyjaźń carowi moskiewskiemu.

Tylem wyczytał we lwowskich gazetkach i to jest dla mnie teraz największa pociecha.

Z tej zgryzoty pobiegłem do jasnowidzącej, która mieszka przy ślifierni nożów pana Bieńkowskiego na Miodowej, i zagadnąłem ją otwarcie, kto wojnę wygra, Prusak czyli też Francuz.

Mówiła mi różne rzeczy z kart, potem z ręki, ale o wojnie nic nie chciała powiedzieć. Rzekła wreszcie, że mam jakieś utajone pragnienie.

– Jako żywo – zawołałem – to prawda! Mam takie pragnienie i chciałbym wiedzieć, czy się ziści.

Kazała mi wróżka dołożyć jeszcze szóstaka, bo inaczej nie można, i zapewniła, że wszystko się stanie, jak sobie tego życzę.

Teraz już jestem pewny, że wygram domek na Przyryнку.

Kiedy wychodziłem od tej wróżki, zawołał mnie czeladnik pana Bieńkowskiego i sprzedał mi składany kozik misternej roboty, w którym są dwa nożyki, mały i duży, wypustek do dłubania w uchu i świder, tyrbuszonom zwany, do wyciągania szpuntu z gąsiorków.

Antreprenier francuski pan Fourèze wystawił w swoim teatrze nową komedię z baletem „Les trois carottes”. Na pierwszym przedstawieniu siedział pan Gallon-Boyer, rad był i głośno klaskał.

Tańczowały i śpiewały trzy niewiasty odziane za marchewki, z których każda, powtarzając wyuczone słowa, zapewniała spektatorów, że jest zatruta.

Na dowód czego marchewki sięgały palcami między zieloną nać na piersiach, gdzie miały pochowane woreczki z ryżowym pudrem pomieszanym z tabaką czy jakimś innym proszkiem na kichanie. Garściami rzucając ten proch przed siebie, tuman czyniły. Od czego same kichały, muzykanci kichali i publika także.

Wesołość się w teatrze zrobiła niezwykajna. Pan Fourèze wyszedł dziękować i prosił gości, żeby nie omieszkali powiedzieć o zabawie swym przyjacielowi i krewnym.

Dowiedziałem się tego wszystkiego od Cnoty, bo go tam wysłał pan Bogusławski, żeby mu zdał relację.

Dobry chłopak ten Cnota. Idąc do francuskiego teatru, wziął ze sobą mój pakiet uniwersalnych pigulek Labisza i tam je przehandlował panu Fourèze, którego żona cierpi na gastryczną. Pienędzy nie chciał brać, tylko wycygał dla mnie wypukłe szkietko.

*Teraz mam uciechę i bawię się tym szkiełkiem;
przychodzą też do mnie ludzie, nawet
dystyngwowani kawalerowie, i proszą o
podpalenie im lulki; za co od czasu do czasu grosz
jakiś wpadnie mi do kieszeni.*

*Przekupki dziś opowiadały, że kowal jeden z
Raszyna grzech popełnił, żelazo w niedzielę kując.
Za co pokaran był, bo kiedy w kuźni siedział,
chmura nadciągnęła i piorun w kowala uderzył.*

*Na lament żony porażonego – narodu zbiegło się
wiele. Nikt nie wiedział, co czynić. Alić szlachcic
jeden, co był na kalendarzach uczony, kazał
kowala po pas w ziemię zakopać, a na głowę onego
siadłe mleko lać i serwatkę, ile się tylko znajdzie.*

*Niewiasty z ceberkami godzinę albo i dłużej
biegały, mleko znosząc i na kowala lejąc, aż
przywrócony do życia doma był odniesion; ziemia i
mleko wszystek jad piorunowy z niego wyssały.
Atoli od wilgotności mlecznej kowal na złą
gorączkę zaniemógł i teraz w izbie leży, o
popełnionym grzechu rozmyślając.*

*W domu Wasilewskiego, gdzie oficerowie
francuscy mieszkają, od wczoraj ruch i krzątanie.
Jeszcze nie wiem, co to wszystko znaczy, bom nie*

*miał sposobności z rojalistami pogadać. Myślę, że
zmiany jakieś będą.*

*Od wczoraj też kupcy na Marywilu nie chcą
przyjmować pruskich dydków, zupełnie jak w
zeszłym roku przed samym wybuchem wojny z
Austriakami.*

Za złote polskie wszystkiego można dostać.

*Powiedziała mi dziś Coulonowa, że za kilka dni
wyjeżdża nad Narew, mam więc sobie innej
kwatery szukać.*

*Ha, trudno, będę szukał. Zawsze coś znajdę.
Poszedłbym w potrzebie terminować do doktora
Dzibuły, ale tylko na półdniówek, żeby ranki mieć
wolne dla pana Lindego, dla siebie i dla postania
pod kolumną.*

*Pan Amadeusz Hoffmann mówił panu
Bogusławskiemu, pan Bogusławski panu
Żółkowskiemu, pan Żółkowski Cnocie, a Cnota
mnie, że dyrektor policji, pan Schimmelpfennig,
gniewał się za to, że na rogach ulic są przyklejane
kartelusze, że z ręki do ręki krążą różne
doniesienia pisane po polsku i po francusku, że po
kafehauzach dają się słyszeć buntownicze mowy.
Naród warszawski, powiada pan dyrektor, nie lęka
się wojny, ale i owszem bez trwogi na nią czeka.*

W mieście gadają, że lada dzień hrabia de Lille wyruszy z Warszawy na Inflanty. Ma zabrać ze sobą tylko swiętę i kilku oficerów.

Resztę Francuzów hrabia zostawi tu, choć mu się serce kraje; bo o pieniądze coraz trudniej, nikt nie pożycza, a klejnotów koronnych bankierzy nie chcą brać. Napoleona się boją.

Na drzwiach kościoła Świętego Jerzego, skąd wachę już zabrano, ktoś nakleił wierszyk przeciwko panu gubernatorowi. Jakem się o tym dowiedział, zaraz tam pobiegłem i zdążyłem przepisać:

*Spokoyność, ordnung musi być,
Tak rzecze pruski gubernator,
Od cudów iest w kościele ścisk
Y na ulicy przez to zator.*

*Co rzekszy posłał iegrow stu
Y z luterskiego przykazania,
Nayświętszey Pannie czynić tu
Wszelakich cudów się zabrania.*

Chciałem ten wierszyk dać Cnocie, ale już go miał i właśnie roznosił po gospodach.

Kto to ułożył, nie pytam, boć prawda oczywista, że o takich rzeczach lepiej nie wiedzieć.

Dziś rano wyruszyły z Warszawy wozy naładowane dobytkiem hrabiego de Lille. Sam hrabia wyjeżdża jutro o świtaniu. Mówią, że dostał zaproszenie od króla szwedzkiego i w Mitawie będzie czekał na okręt.

Śród Francuzów, którzy pozostają, smutek jest i niespokojność wielka, bo z czego tu żyć?

Mówią, że pan z Wilanowa zajął się ich losem i co uczeńszych a samotnych ma poumieszczać we dworach za guwernerów. Mówią też, że oficerowie rojaliści, którzy ścierpieć nie mogą Napoleona, chcą się przez Białystok do moskiewskiego wojska przedostać.

Ale są i tacy oficerowie, co przez pana Gallon-Boyera robili starania, żeby do Francji wrócić. Ci już na niczyją pomoc nie mogą liczyć. Uczą więc fechtunku, to znów tańców i salonowej konwersacji w mieszczańskich domach, inni znów na Rajszuli konnej jazdy uczą. A najgorzej jest żonatym, z dziećmi.

Rozkleili wczoraj Prusacy publicandum, że kto by nie chciał pruskich gutengroszy przyjmować albo, za gutengrosze sprzedając, ceny podnosił,

*albo towar lichejszego gatunku na widok wystawiał,
a lepszy ukrył, tego surowa spotka kara.*

*Jak to przeczytały niewiasty warszawskie, zaraz
pobiegły kupować, co się da. W kilka godzin
wszystką sól i mąkę wykupiły, słoninę jedna drugiej
z rąk wrywały.*

*Jeszcze słońce świeciło, a moje przekupki w
Krakowskiej Bramie zaczęły kramiki zwijać, bo już
nie miały nic. Patrzymy, idą policaje i hałas
czynią, że nie wolno handlu zaprzestawać. Baby w
śmiej, policaje jeszcze głośniejsze krzyczą, a one do
nich:*

*– Kupujcie, waszmoście, co wam się podoba.
Tanio oddamy.*

*Od czego wesołość była u nas, a u nich wstyd i
konfuzja.*

*Za dwa dni Coulonowa wyjeżdża pod Pułtusk.
Bilard jej zabrano, sprzęty posprzedawała. Muszę
więc albo stancję znaleźć, albo do Dzibuły za
czeladnika iść.*

*Zgromadziły się rodziny francuskie, a i Polaków
przyszło niemało, kiedy odjeżdżał hrabia de Lille.
Przyszły też siostry klaryski z Krakowskiego
Przedmieścia.*

*Hrabia z każdym rozmawiał, a kto był smutny,
tego pocieszał i do przetrwania napominał.*

*Chodził też żegnać hrabiego mały Francuzik z
Powiśla, co z trądu był wyleczon. Ten głośno
płakał. Do stóp hrabiemu padłszy, za odzyskane
zdrowie dziękował i o błogosławieństwo prosił.*

*Znów się zatkała pompa u pana Ignacego
Zadory na Nalewkach. Chodziłem naprawiać sam,
bez majstra. Choć w fizyce nie jestem uczony,
dobrze sobie radziłem i pompa już ssie wodę.*

*Pan Ignacy kontent ze wszystkiego, bo miłuje
swą nad podziw piękną żonę Klarę, dla której
pompe założył.*

*W Warszawie, choćbyś wkoło całutkie miasto
obleciał, soli już nie znajdziesz. Łatwiej o nią na
Pradze, bo ją tam z Karczewia przez galicyjski
kordon przemycają. Ale znów przez most trudno
przenieść.*

*Idę do Dzibuły na czeladnika, niech się dzieje,
co chce. Obiecał mi stancję i wikt. Umówiliśmy się,
że do południa mogę stać pod kolumną i swoje
sprawy załatwiać. Na co zgodził się chętnie, bo*

przed obiadem chorych nie odwiedza. Chyba że się stanie jakie nieszczęście.

Dzibuła mieszka blisko Rynku, we własnym domu na Jezuickiej ulicy; z nim razem dwaj synowie, ich żony i gromada dzieci. Syn starszy był w Paryżu i uczył się na doktora, ale mu chorzy zanadto umierali; zbrzydził więc sobie to zajęcie i teraz lekcjami zarabia. Młodszy syn jest palestrant.

W tej rodzinie zgoda panuje przykładna. Dzibuła w domu jest łysy, a na mieście nosi perukę z końskich ogonów sporządzoną, sztucznie ufryzowaną, od wewnątrz grubo wystaną pakułami. Dobrze to widział, bo ją przy mnie zdjął i zawiesił na kołku. Kiedy idzie ulicą w płaszcz zawinięty, peruką potrząsając, przypomina stracha na wróble albo maskarona. Bez peruki ubogi ma wygląd.

– Jegomość – powiadam do niego – i po co się tak męczyć? Po co na głowie taki ciężar dźwigać?

Odrzekł mi, że peruka doktorskiemu stanowi przynależna, jak habit mnichowi.

Mówił Marcinek, że pan Gallon-Boyer pisuje ciągle do Paryża i jeszcze częściej wysyła listy do posła francuskiego w Berlinie, skąd też nadchodzą odpowiedzi.

Tych listów pana Boyera, które są bardzo polityczne, nikt na pocztę tknąć się nie ośmieli. Od

tego jest jeden tylko urzędnik w sekrecie wyznaczony; do pocztamtu przychodzi codziennie i sprawdza listy.

Spytałem Marcinka, jak się czyta list zaklejony; rzecz musi być trudna.

Odrzekł, że w pocztamcie jest ciemna izdebka, a w niej lampa ze zwierciadłem tak ostre światło dająca, że kiedy przyłożyć do niej list, to można różne rzeczy wyczytać. Kontroler zamyka się w izbie z listami i sporządza raporta. Ale pan Gallon-Boyer nie jest głupiec i kiedy ma co ważnego do napisania, pisze skrytym alfabetem, przez co tamten urzędnik nic nie może zrozumieć i na próżno głowę sobie łamie.

W ostatnich czasach pan Gallon-Boyer zaczął wysyłać własnych kurierów, bo widać pocztę nie ufa.

Już mieszkam u doktora Dzibuły. Stancyjkę mam na poddaszu z oknem od strony Wisły. Łóżko jest i stołek, innych sprzętów brak, ale wstawią stół, jak wróci synowa, która tu domem rządzi.

Najwięcej mi żal, że z okna widać Wisłę, a nie ulicę, bo nie ma na co popatrzeć.

Pierwszego dnia, kiedy się tam przeniosłem z moim tobołkiem, Dzibuła dał mi książkę i zapowiedział, że póki się z niej wszystkiego nie nauczę, będę jak tabaka w rogu. Książka gruba

*jest, sam regestr wszelakie choroby i leki
obejmujący ma osiemnaście stron.*

*Nazywa się ta książka; „Alexego Podemontana
Medykaty Filozofa tajemnice, wszystkim oboiem
płci ku leczeniu rozmaitych chorób począwszy od
głowy aż do stop bardzo potrzebne, z łacińskiego
języka na polski przełożone y w dobry porządek
wprawione; do których są przydane lekarstwa
wyborne a doświadczone na rozmaite choroby;
teraz dla żądania wielu Godnych Osob
przedrukowane w Supraślu u Wielebnych Oycow
Bazylianow”.*

*Przypomniłem sobie, co mówił dobrodziej z
pijarskiej drukarni. Żeby się wystrzegać książek
drukowanych w Supraślu, bo najgłupsze. Nie wiem
teraz, co robić, kogo słuchać*

*Odbyłem pierwszy obchód chorych z Dzibułą i
bardzo sobie chwale to zajęcie.*

*Na początek uradowaliśmy się obaj, że jedna
mieszczka z ulicy Piekarskiej do zdrowia wraca. Z
wdzięczności postawiła przed nami gąsiorek miodu
i takeśmy z doktorem pociągali, a ona bez przerwy*

*gadała. Potem przyszła jej siostra i we dwie
gadały. Potem przyszła druga siostra i we trzy
gadały.*

*Tylem zrozumiał, że nasza mieszcza
rozchorowała się na krótki oddech i po schodach
nie mogła chodzić ani krzątać się w domu, ani się
schylić, ani bielizny na strychu rozwieszać, ani
ciężaru dźwignąć. Od byle czego zaraz jej tchu
zaczynało brakować i łapała dech jak złota rybka
w stojku, kiedy jej wody nie zmienia.*

*Ponieważ zachorowała w maju, Dzibuła kazał
jej postać kogo bądź do lasu, żeby nazbierał ziela i
kwiecica konwaliowego, ile się da. Kwiatki kazał
zalać gorzałką i na słońcu we szkle postawić, żeby
stały. Z czego się zrobiła wódka woniejąca, a w
smaku cierpka.*

*Nabierając tej wódki na spodek naparstka,
niewiasta piła ją po kilkakroć dziennie, ile trzeba,
aż poprawa w jej zdrowiu zaczęła występować. Po
miesiącu straciła krótki oddech, drżenie serca
mineło i teraz może się krzątać, drwa nosić i po
schodach biegać. Może też nosić wodę.*

*Kiedyśmy od niej kontenci wyszli, rzekł doktor,
że choroba była całkiem regularna i dlatego tak
łatwo dała się wyleczyć. Ale bywają chorobiska
nieregularne, które dawniej czarom przypisywano.
Te do wyleczenia trudne są, bo przeciwne sztuce
lekarskiej.*

¹ Bazylianie z Supraśla celowali w wydawnictwach nabożnych, pisanych językiem prostym, nie literackim. Stąd niechęć do tych książek wykształconego pijara Kopczyńskiego. Wspomniane dzieło medyczne było często przedrukowywane, ostatni raz w roku 1788 w Supraślu.

Odwiedziliśmy następnie pana Gastla, który ma dom na przegrodzonej ulicy, pospolicie Niecałą zwanej. Od wiosny pan Gastel na reumatyk cierpi, bo z wesela syna chrzestnego wracając, do studni wleciał i tam zasnął, po pas w wilgoci zanurzony, przez co go na słotę w biodrach łamie.

Na nasze powitanie wybiegła pani Gastlowa, mówiąc:

– Mój stary wszystko wypił.

Doktor zgniewał się, bo lekarstwo było do nacierania bioder. I znów zapisał panu Gastlowi aquae Fioravanti.

Później nas zawołano na Senatorską do panny chorej na przełęk. Ta miała taką przygodę, że kiedy weszła do ciemnej drwalki, siedząca tam kwoka frunęła jej w twarz. Myśląc, że to diabeł, panna przewróciła się i zemdląła. Doktor zapisał jej kozłkowe ziele do naparzania i picia.

Byliśmy później na Tłomackiem u zduna, który ledwo zipał. W obie dziurki od nosa miał powtykane szmatki, żeby mu dusza nie uciekła.

Kiedy Dzibuła chciał te szmatki wyjąć, żona chorego, czyli zdunowa, nie dopuściła nas do łóża i głośnym krzykiem wezwała sąsiadów.

Wyszliśmy tedy, nie chcąc ich gadania słuchać, bo nam ubliżano. Dzibuła rzekł:

– Chociem go nie oglądał, myślę, że jest chory na pleurę. Można by mu pomóc, bańki siekane stawiając i krew puszczając z żyły Bazyliki. Alić

prędzej niżli choroba zabiją go te szmatki, co mu w nos powtykano.

Mówił jeszcze Dzibuła, bym z tego brał naukę, jak czasem słodki, a czasem gorzki bywa chleb doktorski. I na zakończenie rzekł:

– Po to cię z sobą prowadzam, żebyś mnie bronił w złym przypadku. Synowie moi lekarskiego kunsztu się wstydzą i nie chcą ze mną chodzić.

Kiedy Kernerowi zdałem relację ze spowiedzi, długo myślał, głową kręcił i tak zakonkludował:

– Wynika z tego rezon, że kradzież konia może być grzechem ciężkim albo lekkim; czasu wojny może być też zasługą.

Potem opowiadał o arabczyku, który w ukryciu jest. Ksiązę Józef nic o nim jeszcze nie wie.

Dziś rano, stojąc pod kolumną, usłyszałem hałas na Krakowskim Przedmieściu. Widzę, ludzie biegną, wołają jeden drugiego, pobiegłem i ja. A tam już kupa narodu.

Z ciasnej uliczki na tyłach domu Wasilewskiego wynoszą jakiegoś pana w popielatym fraku. Twarz, choć zamazana, ale jakby znajoma. On czy nie on? On, Gallon-Boyer!

Pytam się ludzi. Powiadają, że to jakiś Francuz znakomity, mieszka tuż obok, w pobliskiej

kamienicze. Inni jeszcze mówią, że go jakiś chłopak uderzył toporkiem w głowę. Uderzył i czmychnął, o, tedy, ciasną uliczką.

W tłumie zaczęto szemrać, że trzeba chirurga sprowadzić. Ktoś pobiegł do apteki po plaster, inni przynieśli wody w dzbanku.

A mnie coś tknęło. Pomyślałem sobie, że warto by się rozejrzeć. Nie zwlekając, skrzyłem w boczną uliczkę. Żywego ducha tam nie było. Myślę, że jeśli sprawca napadu zbiegł, to chyba tedy.

Ide, rozglądam się w mroku i nagle widzę, że coś leży. Schylam się, a to mycka siniego koloru z trzema haftowanymi pszczołkami.

Zmiałem ją, schowałem do kieszeni i wróciłem pod moją kolumnę.

Na rogatkach są teraz bijatyki z policajami, bo ludzie więcej przywożą w skrytości słońcę pod słomą albo sianem i nie chcą jej sprzedawać za pruski pieniądz.

Prusacy wyznaczyli cenę na słońcę i pierwsi ją zabierają na własne potrzeby.

W Warszawie pokazała się przemycana sól warzonka, bielusińska jak śnieg, bardzo droga, w funtowych pakietach z austriackim orłem. Kto ma znajomych handlarzy, temu chyłkiem sprzedadzą. Kto ich nie ma, ten nie dostanie.

Do pana Gallon-Boyera wezwano trzech najdroższych doktorów: Gagatkiewicza, Lafontaine'a i Czempińskiego, o którym powiadają, że się we własnej żonie na śmierć zakochał w rok po ślubie.

ROZDZIAŁ XIV

Filipek pociesza strapionych. – Odwiedza z Marcinkiem cyrk na Brackiej. – Czary czy nie czary? – Dobrodziej w kłębach dymu. – Wyjaśnienie sekretu Dzibuły. – Spalona mycka. – Szepty w Ogrodzie Saskim. – Skąd się bierze kołtun? – Pan de Keralie i jego współbracia. –

*Wyleczony kielbaśnik. – Listy od generała
Dąbrowskiego. – Ktoś wygrał domek na Przyryнку.
– Cechy starej Warszawy. – Wobanka w niełasce. –
Nocne koszmary. – Wieści z Wrocławia. –
Mieszkańcy Kumkatal. – Nagły wyjazd pana
Gallon-Boyera. – Księżę Józef sporządza mapy. –
O klimakterykach zodiakalnych.*

*Już się ludzie zwiedzieli jedni od drugich, że
jestem doktorskim czeladnikiem. Nieraz się zdarza,
że kiedy rankiem pod kolumną stoję, przychodzą do
mnie i opowiadają, że ktoś tam zachorował na
kolkę albo gorącość wątroby, albo na oberwanie,
albo na febrę kwartanną, albo na zatracenie
apetytu, czyli chuci do jadła, albo na wapory, albo
na stranguryjną, pospolicie wiewiórem zwaną, albo
na żabę pod językiem, na paskudnika, kaszel, na
kolan puchnienie.*

*Pocieszam ich dobrymi słowami, że za kilka
godzin przyjdziemy z doktorem i zaraz te wszystkie
choroby precz przepędzimy.*

*Jakem mógł zmiarkować, Dzibuły nie wołają do
ludzi bogatych, jeno do prostaczków. Przekupki
spod Krakowskiej Bramy jedne go chwala, drugie
ganią. Najwięcej im się podoba, że Dzibuła za
wyleczenie z choroby nie żąda pieniędzy, ale
owszem, przyjmuje, co kto da: kopę jaj albo pół
kopy, gęś, kurę, mąki woreczek. Jeżeli choroba
była ciężka i uparta, bierze warchlaka.*

*Byliśmy z Marcinkiem zaraz po południu w
cyrku na Brackiej, bo wypadła niedziela i dzień
miałem wolny.*

*Dziwów tam było co niemiara. Słoń grał w
kręgle, konie winerwalca tańcowały, jedna panna
przez ognistą obręcz skakała. Przynieśli też
kitajkowy balon na kształt kuli uszyty, w kwiaty
malowany, od gorącego dymu wzdęty; kiedy go
wkóło obniesiono i wszystkim pokazano, do góry
poleciał.*

*Ale w największe podziwienie nas wprowadził
Mołdawianin jeden, który z gąsiorkiem chodził, a
jego pomocnik szklane kubki podawał. I co kto
chciał, to się z gąsiorka łało, likwory rozmaite, a
każdy innego smaku i koloru.*

*Jedni wołali, że chcą cytrynowego, inni
miętowego, inni różanego, inni imbirowego.*

*I zawsze z tego samego gąsiorka wypływał
likwor na żądanie: zielony albo żółty, albo biały,
albo różowy; co na własne oczy widziałem. Goście,
którzy to pili, a były tam osoby znane i dostojne,
zgodnie powtarzali, że nie ma żadnego
oszukaństwa.*

*Marcinek na ten widok tak ślipki wytrzeszczył,
tak się przez ogrodzenie przechylił, że ledwo z
paradyżu nie zleciał. W porę go zatrzymano.*

Podczas antraktu zbiegliśmy na dół, do stajen cyrkowych, gdzie zagadnąłem pachółka, czyby mi nie wytłumaczył, jak to się dzieje z tymi likworami. Obiecałem, że mu za to pokażę szkietko, co tabakę zapala.

Odrzekł, że ten Mołdawianin zowie się Grygor Grygresku, że wielce zazdrosny jest i tajemnicy pilnuje. Od jego pomocnika nic się dowiesz, bo głuchy i niemowa. Sztuki tej nauczył się Grygresku w tureckich krajach. Już mu nieraz ofiarowano zapłatę za zdradzenie sekretu; zawsze odmawiał.

Marcinek spytał, czy to czasem nie czary. Stajenny pachółek powiedział, że i owszem, wielu tak sądzi, a w Kijowie, gdzie podczas zeszłorocznych kontraktów z cyrkiem byli, tamtejsze duchowieństwo greckiego obrządku klątwą im zagroziło. Grygresku, który jest greckiej wiary, tak się tego zląkł, że aż do archijereja pokłony bić chodził.

Dziś rano biegałem po raz wtóry na folwark pana Bacciarrellego z listem do panny Czarnowskiej. I znów pokraśniała z uciechy niezmiernej, i znów mi dała konfekt słodki, czekoladowy.

Pan Gallon-Boyer ma się lepiej. Doktorzy nie znaleźli żadnego rozbicia czaszki, tylko szeroką ranę ciętą, która się goi pod maściami.

A Prusacy cierpliwie szukali zbrodniarza. Tyle się dowiedzieli, że jakiś chłopak, który mykę zgubił, uciekał w stronę Wisły i tam gdzieś się zapodział.

Sam dyrektor policji, pan Schimmelpfennig d'Oyé, oglądał miejsce napadu i wchodził do ciasnej uliczki, gdzie każdy kąt przepatrzył. Nic nie znalazł.

Był wczoraj piątek, poszedłem więc do pijarskiej drukarni dobrodziejowi stancję zamieść. Zastałem go, jak zwykle, w kłębach dymu tabaczanego, a okno było zamknięte.

– Dobrodzieju – mówię – wpuśćmy trochę powietrza do tej izby.

Chciałem okno otworzyć, ale mi nie pozwolił. Powiedział, że mu gwar z ulicy pracować przeszkadza. Zajęty był wylapywaniem błędów z odbitek nowej książki, którą pisze, drukuje i poprawia. Ma to być „Nauka o dobrym piśmie”.

Zamiotłem, mokrą szmatą wytarłem podłogę, piaskiem posypałem, ze sprzętów kurz zebrałem, ze ścian pozdejmo wałem pajęczynę. Świeżej wody nanosiłem i nalałem na misę.

– Nim odejdę – powiadam – pozwólcie, dobrodzieju, że wam ręce umyję. Za bardzo są już czarne od farby drukarskiej. Beze mnie zapomnicie.

Wstał ze stołka i zaczął zawijać rękawy. Przez ten czas okna zdążyłem uchylić.

U doktora Dzibuły dobrze mi się żyje. Mam gdzie spać, dostaję obiad i wieczerzę. Ponieważ w tym domu wszyscy się późno kładą i późno wstają, nie chce mi się czekać na ranną polewkę i biegam do pani Jezierskiej na Podwale, gdzie śniada czeladź rzemieślnicza.

Żeby domowników nie budzić u Dzibuły, za jego zezwoleniem dorobiłem sobie klucz od sieni i mogę teraz wchodzić i wychodzić, kiedy mi się zechce.

Do południa mam wolny czas. Roznoszę więc listy profesora Lindego i stoję pod kolumną, byle zarobić, co się da.

Po obiedzie chodzimy z Dzibułą do chorych, wstępując po drodze na Zapiecek, gdzie kupujemy szczygiełka i na wolność puszczamy. Teraz pacholeta nie śmia Dzibułę napastować, bom kilkoro z nich za uszy wytarł.

Wiem już wszystko, dlaczego doktor kupuje i wypuszcza ptaszki. Bo takie ślubowanie zrobił.

Dzibuła miał syna Piotrusia, chłopczyka wcale udanego. Chciał go zrobić człowiekiem Natury

wedle książki jakiegoś filozofa, któremu zawierzył. Wywiózł więc dziecko na wieś pod Warszawę i zamknął w posesji z ogrodem pod opieką głuchoniemej piastunki.

Odwiedzając synka co niedziela, Dzibuła pouczył go pospolitych słów jak: pić, jeść, spać, boli. I niczego więcej uczyć nie zezwalał, nawet pacierza. Z ogrodu nie dał mu wyjść.

Kiedy Piotruś podrósł i była obawa, że zacznie przez płot przelaź, Dzibuła do Warszawy w karecie go przywiózł i w czasie procesji Bożego Ciała między ludzi puścił.

Ze strachu i ze zdumienia chłopakowi rozum się w głowie pomieszał. Od tej chwili jak sarenka był, wszystkiego się lękając.

Po kilku latach leczenia u bonifratrów polepszyło się trochę Piotrusiowi, ale już głupi został, niczego się nie mógł nauczyć. Lubił kolorowe szkiełka w ołów wprawiać i to była dla niego największa pociecha. Potem się rozpił i na białą gorączkę skonał.

Taki jest sekret Dzibuły i wytłumaczenie, dlaczego ptaszki na wolność wypuszcza.

Młody Francuzik z Powiśla był dziś rano i przyniósł w koszu talerze z napisem „Honor y Oyczyzna”. Ludzie wciąż jeszcze kupują, do innych miast wywożą. Com spostrzegł, że na głowie miał

już inną myckę, do tamtej całkiem niepodobną i bez haftowanych pszczołek.

Nie domyśla się chłopak, że sinej mycki już nie ma, żem ją spalił.

Choć to prawdziwa jesień, słońce przez cały dzień wczorajszy silnie prażyło i przed południem miałem dużo amatorów do podpalania w lulkach szkiełkiem tabaki. Gęsiego stawali, zarobiłem też sporo.

Ciekawym wciąż musiałem tłumaczyć, jak to się dzieje i dlaczego słońce w tym szkiełku tak się rozgrzewa, że aż ogniem praży. Dziękowali mi za naukę.

Jeden pan chciał ode mnie kupić szkiełko, prosił, obiecywał, alem się nie dał skusić.

Ludzie się pytają jedni drugich, kiedy przyjedzie z Berlina obiecana komisja badać stropy zabitego deskami kościoła na Świętojerskiej.

Tymczasem ksiądz proboszcz, chcąc złoczyństwu w niepilnowanych piwnicach zapobiec, kazał замуrować wejście do lochów, które są tak rozległe, że końca ich nikt nie zna. Toteż łatwo tam zabłądzić, nawet wejść straszno, bo od stęchłego powietrza łuczywo gaśnie.

Mówił mi pan Magier, że to jest najstarszy kościół w Warszawie, starszy od fary i kościoła Panny Marii na Nowym Mieście. Mówił też, że był w tamtych lochach i widział trumny jedne na drugich leżące. Widział dębowe, ołowiane i z blachy miedzianej zrobione. W tych trumnach poczywają prochy różnych rycerzów mazowieckich. Są między nimi tacy, co się jeszcze poganami rodzili i dopiero później, nieraz przed samą śmiercią, chrzest święty przyjęli.

Kiedy wieczór jest ciepły i bezwietrzny, w Saskim Ogrodzie zbierają się kawalerowie we frakach i damy poprzebierane za Dianny i inne nimfy greckie, bo taka teraz moda. Wolniutko chodzą parami po alejach, cicho o czymś gwarząc. Dla odpoczynku zajdą czasem do pawilonu pana Lessla na lody, a gdy ich swawola ogarnie, bawią się w chowanego, wołając: „Kuku! Kuku!”.

Zdarzyło mi się wczoraj, żem dla własnej rozrywki do ogrodu poszedł na piękne panie popatrzeć. Wędrowałem samopas między drzewami, a księżyc świecił.

Tam dostrzegłem księcia Józefa i pannę Czarnowską. Siedzieli pod kamienną figurą przytuleni do siebie i nic nie mówili. To było całowanie.

Kobiety biegają jak opętane, szukając słoniny. Synowa Dzibuły gotuje na oleju, o który też coraz trudniej.

Mówił mi wczoraj Dzibuła, kiedyśmy do chorych chodzili, że olej lniany często szkodliwy jest i u człowieka kołton wywołuje. Łatwo to można sprawdzić, po bożym świecie podróżując, ludzi wypytując i wszystko pilnie spisując.

Bo cóż się okazuje? Że we wsiach luterskich tudzież kalwińskich kołtona nie znają.

A dlaczego? Bo lutrowie i kalwinowie postu się brzydzą, przez co nie używają oleju lnianego i ta nieszczęśliwa choroba ich się nie ima.

Widząc moje skonfundowanie, rzekł doktor, żebym kołtona się nie bał. Synowa ma dużo słoniny, w skrzyni ją zasoliła i chowa, bo się spodziewa wojny.

Słyszałem od jednego Francuza, który dawniej w karczmie Coulona bywał, że pan de Keralie, odkąd wyjechał hrabia de Lille, stał się opiekunem i karmicielem biednych ziomków. Tych, co się nie starali o napoleońskie paszporty.

Jego żona i jeszcze dwie francuskie panie chodzą samotrzeć z koszykami na miasto, i co mogą dostać, to kupują. Potem robią strawę dla piętnastu albo i więcej osób.

Ratowaliśmy z Dzibułą jednego kielbaśnika, który od żarcia własnych kielbas na pokręcenie kiszek zaniemógł. Ta choroba bardzo trudna do wyleczenia jest, przez co ją Miserere mei przewzano.

Od innych doktorów opuszczony, krzyczał ten nieszczęśliwy kielbaśnik, że we flakach ma takie rwanie, jakby mu tam kołodziej świdrem dziurę wiercił.

Widząc to i słysząc, Dzibuła kazał przynieść kulę ołowianą od fuzji, co się do wilków strzela. Potem zmusił chorego przekleństwami i szarpaniem za włosy, żeby tę kulę połknął. Co gdy się stało, dał mu wypić kwaterkę topionego szmalcu i rzekł do jego synów:

– Trzączajcie ojcem na wszystkie strony, byle nie za mocno.

Kiedy go już natrzęśli, Dzibuła kazał ułożyć kielbaśnika na rozestanym kobiercu i z boku na bok tulgać, a od czasu do czasu za nogi podciągać, żeby przez krótką chwilę głową na dół zwisał.

Widząc, że choremu żywot zaczyna chodzić, jakby się w nim króliki kotłasiły, uradowany Dzibuła zawołał:

– Połóżcie go teraz, niech poczywa, i Panu Bogu dziękujcie.

A do mnie rzekł:

– Skocz no, Filipku, do apteki. Już nie zemrze.
Trzeba mu dać purgens co najdzielniejszy na
wypędzenie ołowiu.

W złodziejarni na Marywilu od Trębackiej
strony było wczoraj wielkie myszkowanie, hałas
był, harmider i bieżanina z kąta w kąt.

Ci, co mieli nieczyste sumienie, gdzieś się
zapodzieli. Do kordygardy zabrano kilku
niewinnych, co z nędzy chcieli trochę własnych
rupieci sprzedać.

Podczas tego myszkowania po Marywilu
Prusacy znaleźli w śmieciach kaszkiet wojskowy po
jakimś dezercerze.

Na mieście mówią, że znów przysły listy od
generała Dąbrowskiego, który zaleca, żeby się
nasze chłopaki branki pruskiej strzegły. Po lasach
niech się kryją i każdy ma im pomagać w miarę
swojego stanu.

Marcinek słyszał od pocztylionów, którzy z
Grudziądza przyjechali, że w Borach Tucholskich
potworzyły się partie leśnych ludzi uzbrojonych w
kosa i fuzje. Tych borowiakami nazywają.

Ostatniego czwartku, podczas jarmarku w
mieście Tucholi, borowiacy przyszli na rynek i,
policajów rozbiorwszy, rozbili pruską szparkasę.

Pieniądże najbiedniejszym rozdali i sobie wzięli. Z
magistratu stręcili orła pruskiego; koniowi do
ogona postronkiem przywiązawszy, po majdanie go
wlekli.

Do spalonego pałacu na Senatorskiej
przywieziono z Wrocławia drugi kocioł, bo jeden
już nie starczał i brakowało zupy dla ubogich.

Ma być teraz zupy dwa razy więcej, ale do
gotowania kucharze nie będą brali tyle kości, ile
się należy, za to mają brać dużo jarzyn, cebuli i
ziemniaków. Coraz trudniej o kości wołowe,
rzeźnicy mniej gadziny biją.

Ledwie nóg nie postradał, takem biegł do
kantoru pana Petyskusa, gdzie się odbywało
losowanie domku na Przyryнку.

Pan Petyskus, nic o tym nie wiedząc, że tylko
rankiem pod kolumną stoję, dwakroć po mnie
przysyłał. Głupi pachół kręcił się po kątach,
zaglądał tu i owdzie, na kolumnę się gapił, aż go
przekupki spytały, czego szuka. Od nich się
dowiedziałem, kiedym z Dzibułą przechodził, że
mnie pan Petyskus potrzebuje.

– Wybaczcie, jegomość – powiadam do Dzibuły
– idę wygrywać domek na Przyryнку.

*I takem prysnął przez dziedziniec przechodni
domu Pod Gwiazdą, a dalej biegłem ulicą
Senatorską i koło Marywilu.*

*Po drodze przypominam sobie, że trzeba kupić
kukielkę dla sierotki, która ma dla mnie domek
wylosować. Skręcam więc na Marywil i idę między
kramy.*

*Wybrałem kukielkę strojną, bogatą, z włosami
do zaplatania w warkocz. Nawet się o cenę nie
spierałem, czasu nie było. Przez bramę od ulicy
Wierzbowej poszedłem wprost do kantoru.*

*Wchodzę, zastaję kupę dostojnych osób. Pan
Petyskus dojrzał mnie, kiwnął mi głową i powiada:*

*– Zdaje się, że nikt więcej nie przyjdzie. Możemy
zaczynać.*

*W głębi stał duży stół zielonym suknem kryty.
Siedli przy nim pan Petyskus, pan Dmuszewski,
rejent i jego pisarczyk. Rozglądam się po izbie,
szukam sierotki, dostrzec jej nie mogę.*

*Wstał pan rejent i mowę wygłosił, objaśniając,
że oto za zezwoleniem władz królewskopruskich ma
odbyć się losowanie posesji JWielmożnego Pana
Ludwika Dmuszewskiego na Przyryнку, że biletów
było sto i każdy bilet był do kupienia za jedną
setną wartości posesji, a ta wartość była
postanowiona przez komisją prześwietnego
magistratu miasta Warszawy.*

*Mówił jeszcze pan rejent, że do losowania
sporządzono tokarską robotą sto krążków jednakiej*

*wielkości, na każdym zaś wypisano numer od 1 do
100.*

*Co rzekłszy, pan rejent wyjął z szuflady
kwadratową deszczutkę równo pokratkowaną, na
której leżały krążki na kształt warcabów.
Wszystkim pokazawszy i mnie takó, że krążki leżą
sprawiedliwie wedle ilości losów, i że ich jest sto,
pan rejent zgarnął je do woreczka, potrząsnął tym
woreczkiem ze dwadzieścia razy i zawołał:*

– Niech wnijdzie sierotka!

*Pachotek z sąsiedniej izby sierotkę przywiódł,
czysto wymytą i odzianą, Alić była tak
przelekniona, że nie rozumiała, co do niej pan
rejent mówi, i za nic nie chciała ręki do woreczka
włożyć.*

*Dopieroż jej obiecywać zaczynają: pan Petyskus
konfekt, pan Dmuszewski piernik, pan rejent inną
łakoć. A ona nic, tylko płacze. Pisarczyk wziął ją
na kolana, po główce gładzi. Nie wiedzą już, co
robić.*

*Myślę sobie: „mój Filipku, a dajże jej kukielkę.
Może to ją skusi”.*

*Przepycham się do stołu, mrugam na pana
Dmuszewskiego, kukielkę podaję.*

*Sierotka ręce wyciąga do kukielki. Pan rejent
woreczek podsuwa sierotce i tłumaczy, że ma
wybrać krążek, ale tylko jeden, to dostanie
kukielkę.*

W kantorze zrobiło się cicho.

– Siegnij, moje dziecko, i podaj mi krążek –
mówi rejent.

Dziewczynka podała. Wszyscy zaczynają się
cisnąć do stołu, ja też napieram, żeby prędzej
zobaczyć. Rejent, który stał z drugiej strony,
poprawił okulary, bacznie spojrzał na krążek i
oznajmił:

– Zgodnie z prawem ogłaszam, że posesją
JWielmożnego Pana Ludwika Dmuszewskiego na
Przyryнку wygrał numer dziewięćdziesiąty siódmy!

Szmer się zrobił w izbie, a pode mną jakby się
ziemia rozstąpiła. Myślałem, że w przepaść lecę.
Bo mój numer był tylko dwudziesty trzeci.

Oprzytomniałem, patrzę na stół, pan
Dmuszewski bardzo blady siedzi i czoło ociera z
potu. Pan Petyskus coś mówi rejentowi do ucha.
Sierotka bawi się kukiełką.

– Proszę mości panów – odzywa się rejent –
numer dziewięćdziesiąty siódmy nie był sprzedany.

– Jak to? – zawołało kilka głosów.

Pan Petyskus wstał i tłumaczył, że na sto losów
udało się sprzedać dziewięćdziesiąt sześć, a
czterech ostatnich w żaden sposób pan Dmuszewski
nie mógł już sprzedać.

– To czyżże teraz będzie dom? – spytano.

Pan rejent wyjaśnił, że ponieważ taksa za cztery
ostatnie losy też była opłacona, szczęśliwy numer

jest ważny i dom pozostaje własnością pana
Dmuszewskiego.

Kiedym wychodził z kantoru, gorzko mi było i
cały czas myślałem o łabędziu, któremu z pyska
woda leci.

Za polskich czasów, tak opowiadają przekupki,
tanizna była w Warszawie i dobra wszelakiego
obfitość. Kurczęta sprzedawano po kilka groszy,
koguty po kilkanaście. Krowę dojną mogłeś być
dostać za złotych dwadzieścia, owcę za cztery
złote.

Szewc brał dwa złote za buty juchtowe, a za
pasowe na podwójnej podeszwie trzy złote z
groszami.

Przy obfitości wszystkiego i małych podatkach
żyło się łatwo, rzemiosła kwitły. Kto się wyzwolił
na czeladnika, miał byt zapewniony; kto majstrem
został, mógł się wzbogacić. Kowal ze
Świętojerskiej, pan Mariański, dworek sobie
murowany wystawił na Faworach. Bogaty szewc,
pan Peszkiewicz, kopersztychy i obrazy olejne od
malarzy kupował i z onymi hulał. Inny szewc,
sławny pan Kiliński, miał manią budowania

¹ Opowiedziane tu perypetie z losowaniem są zgodne z prawdą.
Ludwik Dmuszewski mieszkał w swej kamieniczce aż do śmierci w roku
1847..

domów wespół z bratem swym, kanonikiem; od małżonków Niedziałkowskich dwa tysiące złotych pożyczył. Krawiec, pan Twardowski, ulubionym przez siebie osobom na kredyt szyl; ksiądz Kołłątaj jeszcze mu za sutannę winien. Rzemieślnicy lubowali się w kontuszach, karabelach i pasach kosztownych.

Ponieważ teraz przy Prusakach wszystko się zmieniło i rzemiosła poupadały, zapisuję tutaj wedle tego, com się dowiedział. Zapisuję też, jakie cechy były w Warszawie.

Były cechy: piekarski, stolarski, garncarski, złotniczy, blacharski, piernikarski, zegarmistrzowski, rzeźniczy, szmuklerski, mosiężniczy, konwisarski, garbarski, tokarski, rękawicznicy, rymarski, mydlarski, iglarski, introligatorski, bednarski, kołodziejski, nożowniczy, szpadniczy, kapelusznicy, piwowarski, siodlarski, goździarski, ślusarski, rybacki, krawiecki, szewski, kowalski, kominiarski, szklarski, kotlarski, kuśnierski, furmański i najgorszy ze wszystkich, cyrulicki.

Mówił mi Kerner, że ksiązę Józef do reszty Wobankę sobie zbrzydził i przestał się z nią cackać. Miał też głośną eksplikację z panią Tyszkiewiczową, która go namawiała, żeby do

Wiednia się przeniósł. Od czego mdlenia, słabości i damskiego płaczu dość tam było.

Teraz Wobanka i pani Tyszkiewiczowa zamkły się i jak kapusta kisną. Na pocieszenie mają lampę, co nie świeci, tylko woń wydziela i przed spazmami chroni. Zamiast oleju wlewa się do tej lampy wódki pachnącej, z Paryża sprowadzonej, która się nazywa Onżelik

Byliśmy z Dzibułą w dworku na Grzybowie, za ratuszem, u jednego szlachcica, któren na nocne cierpi koszmary, a sen tak twardy ma, że go dobudzić nie sposób.

Uprzykrzona ta choroba oddech ciężki sprawuje, człeka męczy i bojaźliwym go czyni, pochodząc z konwulsji muszkułów piersi od żywota dzielących.

Nasz chory nie chciał medycznego tłumaczenia słuchać, machał na wszystko ręką i powtarzał, że zły duch, czyli straszdyło go dusi. A tak jest uciążliwe, że się nawet wody święconej nie lęka.

Dzibuła spytał:

– Co też waszmość na wieczerzę jadacie?

Szlachcic odrzekł – na żonę wskazując – że najczęściej dostaje jajecznicę albo jaja na twardo,

albo siekane ze szczypiozem, albo sadzone. Bo żona kury hoduje i z tego żyją.

Dziuba zapisał mu purgens senesowy i krople ambrowe. Jaj na wieczerzę zabronił, a zezwolił zjeść talerz krup pszennych w formie klujowatej albo talerz owsianego żuru i kromkę chleba, albo talerz siadłego mleka i ziemniaki.

Kiedysmy wracali z Grzybowa, Dziuba duzo rezonował i mówił, że kiedy taki chory w paroksyzm wpadnie, inni doktorowie zalecają strzelić mu nad uchem z pistoletu, żeby się obudził. Ale ten sposób niedobry jest, bo od niego może wielka choroba powstać, czyli kaduk. Lepiej jest rożek z papieru skrócić, tabaki tam nasypać i w nos śpiącemu wdmuchnąć. Od czego zaraz się obudzi.

Dziś w nocy był pierwszy przymrozek. Dyliżanse pocztowe z Wrocławia miały ciężką drogę, bo konie się ślizgały.

Marcinek słyszał od pocztylionów, że król pruski pisał do Napoleona z zapytaniem, dlaczego wojska francuskie gromadzą się w różnych księstwach niemieckich. Odpowiedzi nie dostał.

Co tak rozgniewało królową Luizę, że podczas parady wojskowej w Poczdamie, oficerów dokoła siebie zwoławszy, zaklinała ich na pamięć Fryderyka, żeby pomścili ten dyshonor.

Z tego powodu w Prusach niepokój jest, bo o słowach królowej dowiedział się poseł francuski w Berlinie i miał napisać do Paryża.

Panowie Dmuszewski i Kudlicz pozdrowili mnie grzecznie pod kolumną i trochę porozmawiali.

Za to, żem ofiarował sierotce kukielkę, pan Dmuszewski dał mi dwa bilety na operę „Mieszkańcy Kumkatal”.

– Jam ją napisał – rzekł – a muzykę dorobił Elsner.

Uradowałem się z biletów. Zawiodę Marcinka do teatru, będzie zabawa.

Ekstrapocztą, za drogie pieniądze, wyjechał dziś z Warszawy pan Gallon-Boyer, który już dawno zdążył wyzdrowieć. Mówią, że dostał pilne listy z Paryża.

Przed odjazdem pan Boyer sprzedawał stoły, krzesła, fotele i różne sprzęty, a ponieważ chętnie przyjmował pruskie pieniądze, siła się kupców natłoczyło.

Od czasu napadu i zranienia w głowę pan Boyer był pilnie strzeżony przez Prusaków.

*Coś chyba będzie, bo coraz trudniej o żywność.
Ludzie na wieś wędrują i przekradają się później z
workami przez folwarczne miedze, omijając
rogatki. Od chłopów wszystkiego można dostać –
byle za polskie pieniądze, w srebrze albo miedzi
krajowej. Pruskich dydków nikt nie przyjmuje,
chyba żebrak. Najwygodniej temu, kto ma sól.*

*Wieś przestała żywność do Warszawy przywozić,
bo na rogatkach czatują Prusacy i wszystko
zabierają, w gutengroszach płacąc.*

*Żona szlachcica, cośmy go od koszemarów
ratowali, przyniosła Dzibule kopę jaj. Opowiadała,
że tamto straszycło precz się wyniosło i już nie
tarmosi jej męża.*

*Księżę Józef zapowiedział paniom i kawalerom
w pałacu, że już dość swawoli. Kto chce hulać,
niech hula na mieście. Pod Blachą spokój musi
być.*

*Z niektórymi panami księżę Józef zamyka się w
bibliotece. Tam kawę piją, sporządzają różne mapy
i regulamina wojskowe. Tegom się dowiedział od
Kenera.*

*Wczoraj wieczór, kiedy się kładłem spać,
przyszedł do mojej stancji Dzibuła i z nagłą zaczął*

*przepytawać o wiadomości medyczne z książki,
którą mi dał do czytania.*

*Niekontent był, że się za dobrze pouczał na
pamięć o klimakterykach zodiakalnych, gradusach
większych i mniejszych, o wpływie planet na
zdrowie. Mówił, że teraz wszystkie fakultety, nawet
krakowski, nie dają temu wiary, o czym zapomniał
mnie uprzedzić.*

*Opowiadał dalej, chyba z godzinę, o
rozpoznawaniu złych gorączek, a wychodząc z
izby, rzekł:*

*– Urynie się przypatruj, która ma być cudna,
przeźroczysta, z obłoczkiem pośrodku.*

ROZDZIAŁ XV

Czuwanie na poczcie. – Śmierć pięknej Klary Zadorowej. – Rozpacz jej męża. – Dziad ma pilnować katafalku. – Coraz większy głód w Warszawie. – Nieboszczka wraca z Powązek. – Zbiegowisko przed domem Ignacego Zadory. –

Zamknięcie szynków. – Wojna. – Rodziny urzędnicze uciekają do Prus. – Latarnicy na ulicach miasta. – Wieści o wielkiej wiktorii. –

Modły w kościele Św. Jana. – Parada z piszczałkami. – Zawrócony dyliżans. – Coś się dzieje w pałacu Pod Blachą. – Gdzie był ukryty arabczyk? – Kerner prezentuje go księciu. – Pani de Keralie osaczona przez zgraję łotrzyków. – Filipek kupuje zawój kaszmirowy. – Nowe buty Marcinka.

– Trzymaj się mnie i miej baczenie na pocztamt – powtarza Marcinek.

Tak też i czynię. Stojąc pod kolumną, spoglądam na róg Trębackiej, czy nie widać dyliżansu z Wrocławia.

Gdy zajedzie kareta, Marcinek, jeżeli tylko może, wymyka się na dziedziniec i gada z pocztylionami. Czasem i ja zdążę tam dobiec i posłuchać, a jak nie, to już teraz co wieczór spotykamy się pod Gwiazdą i bez gorączki o przyszłej wojnie gwarzymy.

Coraz większa tęsknota nas ogarnia, żeby się przedostać na tamtą stronę.

Gazety, które wczoraj nadeszły z Wrocławia, przyniosły opis pożegnania regimentów berlińskich przez królową Luizę. Wojska, przed odejściem na zachód, paradowały w Poczdamie, a królowa błogostawiła żołnierzy i tak do nich wołała: „Idźcie i zwyciężajcie! Wspaniałe wojska pruskie rozbiją sankiulotów francuskich. Duch Fryderyka Wielkiego unosi się nad wami i poprowadzi was do boju”.

To mi odczytał Marcinek, który rozumie po niemiecku, a ja zapisałem.

Od wczorajszego ranka chodzę smutny, bo umarła piękna pani Klara, żona pana Ignacego Zadory, com mu pompę naprawiał.

Śp. Klara chorowała na jakąś nieregularną chorobę, której nazwy nawet doktor Lafontaine nie mógł odgadnąć. Ano, stało się. Taka była wola Najwyższego.

*Niezmierzoną rozpaczą ogarnięty, pan Zadora
głową o ściany tłucze.*

*Nieboszczkę odprowadziliśmy dziś rano do
kościół przy nowym cmentarzu pod Powązkami.
Jutro ją mamy pochować.*

*Zgodzono dziada cmentarnego do pilnowania
świec i katafalku, żeby od wiatru nie pogasty, bo w
kościółce jedno okno jeszcze nie jest oszkłone.*

*Tych świec zapalono tyle, że nigdy bym się ich
chyba nie doliczył. Kwiatów też naznoszono i
obsypano cały katafalk. Śp. Klara Zadorowa,
mieszczańską córką będąc, krewniaków miała wielu.*

*Na krótką chwilę smutek swój poskromiwszy,
pan Zadora rozważnie z dziadem gadał i
wypytywał, czy aby gorzałki ponad miarę nie pije.
Boć wiadomo, że pijane dziadziśko może ogień
zaproszyć, katafalk spalić, a z katafalkiem trumnę i
nieboszczkę.*

*Na Marywilu nie chcą już przyjmować żadnej
koprowiny, nawet groszy z miedzi krajowej. Można
jeszcze coś niecoś kupić, ale za polskie srebro.*

*W mieście, choćbyś wszystkie kramiki obleciał,
nie zobaczysz funta słoniny. Kto ma znajomą
przekupkę i jest z nią w dobrej zgodzie, ten
dostanie trochę oleju. Pod Krakowską Bramą są
świeże jarzyny, ale ziemniaków nie ma; ludzie
wykupili.*

*Na Senatorskiej przed spalonym pałacem, gdzie
zupę rozdają, coraz więcej ludzi ustawia się
gęsiego. Niewiasty, dziatwą obarczone, przynoszą
garnki i dzbanki.*

*Ponieważ o mięso i o kości trudno się wystarać,
różni myśliwi jeżdżą z flintami na prawy brzeg
Wisły i tam między Saską Kępą a galicyjskim
kordonem granicznym polują na dziki, które
kucharzom oddają.*

*Z tej leśnej gadziny, do robienia kielbas tylko
zdatnej, kucharze gotują zupę. Rąbią na kawały i
do kotła rzucają. Nikt nie narzeka, bo głód.*

*Pouczył mnie pan Magier, że kotły z pokrywą
szczelnie zamykaną, w których para
niespodziewanej ostrości nabiera, wymyślił hrabia
Rumford rodem z Ameryki. Od czego taka zupa na
kościach rumfordzka się zowie.*

*Kto żyw biegnie na Nalewki. Ludzie jak gdyby
zapomnieli o niedostatku, kłopotach, o
spodziewanej wojnie.*

Śp. Klara Zadorowa wróciła do domu!

*Już tam byłem i długo stałem przed dworkiem
pana Zadory, ale się dopchać nie mogłem. Pan
Zadora dwakroć wychodził na ganek i prosił, żeby
wrzawy nie czynić. Widziałem przez okno doktora*

Lafontaine'a, który tam jest i nie odstępuje pani Klary.

Ponieważ chcę pisać tylko prawdę, a mało wiem, i ludzie różnie mówią, przeto odkładam moje pisanie na później.

Prusacy aresztowali dziś nad ranem pana Gaetano Vignole, który na Świętojańskiej handlował paciorkami z Wenecji. Mówią, że był francuskim szpiegiem i nie Włoch, tylko Francuz Włocha udający. Jego ogromne skarby opieczętowano i oddano pod opiekę pana bankiera Riokura.

Napiszę teraz, com się dowiedział o zmartwychwstaniu pani Klary.

Po odprowadzeniu nieboszczki do kościoła powązkowskiego pan Ignacy Zadora nie poszedł wieczorem spać, jeno kazał pachotkowi, któremu Pietrek na imię, drew przynieść i w kominku palić.

Północ minęła, a pan Zadora tylko płomień podsycił i cicho lamentował, urodę i cnoty swej żony wspominając. Kiedy ogień zagasł, pan Zadora obudził Pietrka i rzekł mu, żeby więcej drewna naznosił. Pietrek wdział kozuch, bo noc była chłodna, i wyszedł.

Siedzi pan Zadora, patrzy na popiół, o swoim wdowieństwie rozmyśla i tylko wzdycha, żeś z prochu powstał i w proch się obrócisz. Nawet nie słyszy, że ktoś się do furty dobija, że ktoś go wzywa po imieniu.

Tymczasem wrota zaskrzypiały, bo je odemknął Pietrek. A potem wbiegł do izby, wołając:

– Hej, jegomość, pani wróciła!

Pan Zadora chciał wstać, ale mu nogi w kolanach zmiękły i upadł na kobierzec. Pietrek zaś, ponieważ było ciemno, chciał ognia skrzesać i z pośpiechu palce sobie krzesiwkiem pokaleczył.

– Ignacy, to ja – rzekła pani Klara, we drzwiach stanąwszy.

Ale pan Zadora nie dosłyszał tych słów, bo zemdlął. Przez ten czas Pietrek rozdmuchał siarniczkę i świecę zapalił. Pani Klara zaczęła męża ratować, twarz mu spryskała wodą i balsamkę z solami angielskimi podała do wążania.

Ocknąwszy się, pan Zadora te słowa wyrzekł:

– Klaro, toś ty nie umarła?

– Jako mnie żywą widzisz.

– A czemu to masz na sobie łachmany? Przecie w szaty co najpiękniejsze cię przybrałem.

– Dziad kapoty pożyczył, bom w trumnie zmarła, nogi mi skostniały.

Co rzekłszy, pani Klara zrzuciła dziadowski przyodziewek, zaczęła rozcierać kolana i prosiła,

żeby rychlej w kominku ogień rozpalono. Skarżyła się też, że ma dreszcze, i zapragnęła się napić kwiatu lipowego.

To wszystko, com tu o powrocie nieboszczki napisał, prawda jest, bo wiem od Pietrka. Powtórzyłem wiernie i nic od siebie nie dodałem.

Ludzie gadają, że tamten dziad chciał zmarłej pierścień z palca ściągnąć i przez to się obudziła. Ale pani Klara nic o tym nie mówi, dziadzisko też, a świadków nie ma.

Myślę więc, że ktoś sobie taką bajkę wyimaginował i w świat puścił ku utrapieniu stanu dziadowskiego.

Pani Klara, pogrzebem zmęczona, w domu odpoczywa, przy kominku się grzejąc. Dziadowi, który ją przyprowadził z cmentarza, pan Zadora dał ciepły kożuch barani i pięć dukatów.

Od dziś, kto chce wyjechać z Warszawy do Wrocławia, musi przynieść frajkartę z dyrekcji policji. Bez tego nie dostanie miejsca w dyliżansie pocztowym.

Prusacy tak postanowili, ponieważ wielu chętnych uciekało na zachód, byle się prędzej na tamtą stronę przedostać.

Księżę Józef był dziś u państwa Zadorów i ofiarował pani Klarze bukiet róż. Wypytywał o

wszystko, co zaszło, i życzył małżonkom szczęśliwego żywota.

Mówił mi o tym Kerner. I jeszcze mówił, że te róże są z Jabłonny, gdzie księżę ma ogród pod szkłem, cieplarnią zwany. Tam kwiaty, na przekór prawom naturalnym, kwitną przez cały rok.

Pani Tyszkiewiczowa grozi, że do Wiednia wyjedzie, a Wobanka, całkiem od księcia opuszczona, popłakuje, marudzi i sprowadza Cyganki, żeby jej z ręki wróżyły.

Chodziłem dziś rano z panem Gerlachem oglądać różne posesje. Pan Gerlach chciałby kupić plac między Krakowskim Przedmieściem a dziedzińcem Saskim, żeby tam wybudować cukiernię. Powiada, że w niedługim czasie będzie w tym miejscu środek Warszawy, niech tylko Prusacy precz sobie pójdą.

Na razie niceśmy nie znaleźli, bo gospodarze nie chcą sprzedawać. Powiadają, że kawałek gruntu w tych czasach pewniejszy od pieniądza.

Z doktorem Dzibułą odwiedzamy co wieczór chorych. Tom zauważył, że doktor nie lubi choroby pierwiastkowej. Woli, żeby choroba spokojnie dojrzała.

Zaniosłem list od księcia Józefa do panny Czarnowskiej. I znów mi dała konfekt słodki, czekoladowy.

Dziś Prusacy opieczętowali wszystkie składki wódek, małe szynkownie całkiem pozamykali, w większych wolno podawać gościom gorzałkę tylko do południa i każda szynkownia może dziennie sprzedać nie więcej niż sześć kwart.

Na Muranowie, podczas targu końskiego, Prusacy zagarnęli najteższe konie.

Wojna! Hej, zakotłowało się w Warszawie!

Pracę porzuciwszy, ludzie chodzą po mieście i o nowiny jeden drugiego pyta. Nawet się nieznajomi witają.

Marcinek wie od pocztylionów, którzy znów się zwiedzieli od innych pocztylionów, że w Dreźnie popłoch jest i zamieszanie. Francuskie wojska weszły do saskich krain, gdzie się też zebrała największa armia pruska.

Tyle biegam, tyle gadam, tyle słucham, że mi brak czasu na rzetelne pisanie.

Rodziny urzędników pruskich uciekają z Warszawy. Najwięcej wyjeżdża ich do Królewca, Gdańska i Berlina. Na Śląsk nie jadą, bo za blisko Saksonii.

Jak się rozeszła wiadomość o wojnie, wszyscy chorzy Dzibuły od razu wyzdrowieli i z rzadka nas kto wzywa. Dzibuła więc pozwolił mi stać pod kolumną nawet po obiedzie. „Gdybyś był potrzebny – rzekł – to cię zawezwę”. Zresztą Dzibuła sam jest na nowiny łasy i chętnie widzi, że do pocztamtu biegam.

Prusacy urządzili wczoraj paradę wojskową na placu Krasińskich. Bili w bębny i grali na piszczałkach, bo to jest dla nich najmielsza muzyka.

Rozklejono dziś nowe publicandum, że po zachodzie słońca każdy, kto wyjdzie z domu, musi mieć zapaloną latarnię. Ci, którzy po spektaklu z teatrów wychodzą, a własnych latarek nie mają, mogą się łączyć po kilka osób i wracać z latarnikiem. W obu teatrach, polskim i francuskim, będą czuwali latarnicy z blaszanymi numerami na czapkach i latarniach.

Kto by się chyłkiem przemykał, a światła nie miał, ten do kordygardy powędruje. Po północy nikomu już na miasto nie wolno wychodzić, nawet ze światłem.

Z koszar mirowskich uciekli dwaj żołnierze, a potem jeszcze trzeci, i gdzieś się zapodzieli. Szukano ich, huzarowie po mieście cwałowali, żandarmeria myszkowała po kątach, nikogo nie złapano. Jutro w Marywilu będą do kupienia trzy pary butów wojskowych.

Przekupki mówią, że to nasze chłopaki. Jeden jest z Ciechanowa, drugi z Poznania, trzeci z Łęczycy.

Rozkołysała się Warszawa z uciechy nad pomyślenie wielkiej. Napoleon rozbił armię pruską, pędzi teraz szwabów a siecze.

Opowiadają pocztylioni, że z Wrocławia do Dreżna dyliżanse już nie odchodzą. Nikt nie wie, co się w tym mieście dzieje, bo i stamtąd poczta nie nadeszła. Są tylko wieści z Magdeburga o francuskiej wiktorii pod Jeną.

W samym Magdeburgu, który fortem jest, zapędzono ludzi i kobiety do szańców i fos. Tamtejszy generał na rynku przysięgał, że zginie, a miasta nie podda.

To zapisuję, co mówi Marcinek.

Od chwili, kiedy zaczęła się wojna, ludzie pozapominali o urazach i kłótniach. Nawet farmazoni polskiego obrządku, co noszą fraki z

kotwicą na guzikach, pogodzili się z farmazonami obrządku francuskiego i wspólnie zamówili uroczystą mszę świętą u fary za wyzwolenie ojczyzny.

Byłem tam i widziałem dużo znajomych panów, a com którego nie znał, to się o nim wszystkiego dowiedziałem od jego stangreta.

Na nabożeństwo przyszedli panowie: Wincenty Krasiński, Małachowski, trzech panowie Łubieńscy, Sołtyk, Dmochowski, który na ten dzień ze wsi przyjechał, Osiński, Mostowski, Czacki, Chodkiewicz, Ostrowski, Stanisław Potocki i Marcin Badeni. Ci byli najważniejsi, dlatego ich wymieniam.

Wokół księcia Józefa spostrzegłem panów: Rautensztraucha, Frybesa, Hebdeńskiego, Pokutyńskiego, Prusząka, Merliniego, Suchodolskiego, Białopiotrowicza, Kickiego, Wasilewskiego, Boleszę, Hulewicza, Dzbańskiego, Grotusa, Cichockiego, Brzostowskiego, Dembowskiego i Ostrowskiego.

Panowie Hebdeński i Bolesza nad podziw trzeźwi byli.

Aktorowie Teatru Narodowego śpiewali na chórze, a pan Elsner grał na organach. Ksiądz Albertrandi miał kazanie wzywając do zgody i jedności. Mówił, z czego się ucieszyłem, że już nam świta jutrzienka.

Z Berlina wrócił pan sztukator Boretti, który sławny jest, bo ośmielił budowniczych i majstrów warszawskich do odnawiania domów włoskim sposobem, czyli bez rusztowań.

Pan Boretti powiada, że król pruski w srogie popadł terminy. A wszystko przez gadatliwą żonę, która jezora nie umiała hamować, ubliżając bez ustanku Napoleonowi i całej francuskiej nacji. Od tego zrobiła się wojna.

Regimenty pruskie, mówi pan Boretti, które z Berlina szły na wojaczkę, były dobrze zaopatrzone, ale żołnierz miał minę smutną. Oficerowie wieźli ze sobą na wozach klatki z kurczętami, kaczkami i dużo skrzynek z wiwendą.

Teraz w Berlinie zapanowała trwoga. Do Spandawy, która berlińską fortecą jest, zaczynają napływać zbiegowie z rozbitej pod Jeną armii.

Poznikało gdzieś srebro. W sakiewkach znajdziesz tylko miedziaki i każdy miedziakami chce płacić. Cóż, kiedy inni znów nie chcą przyjmować koprowiny. Przez co swary są i narzekania.

Prusacy urządzili nową paradę na placu Krasińskich, bili w bębny i grali na piszczałkach. Przekupki mówią, że im gorzej się Prusakom wiedzie, tym głośniejsze hałasują.

Uwierzyć trudno, ale com słyszał od Marcinka, rzetelnie zapisuję.

Dwie urzędnicze rodziny pruskie, czyli żony z dziatwą, które się pocztą wybrały do Berlina, są już z powrotem w Warszawie.

Udało im się szczęśliwie dojechać do Poznania. Tam, po spożyciu posiłku w oberży, wsiadły Niemki do dyliżansu, który miał iść do Frankfurtu. Odszedł, ale nie dojechał. Zatrzymano go w drodze i kazano jechać na Kistrzyń, gdzie stał przez pół dnia.

W kistrzyńskim pocztamcie nikt nie wiedział, dokąd można jechać, bo przychodziły sprzeczne i nadspodziewanie groźne nowiny. Jedni opowiadali, że Francuzi już pod Berlin podeszli, inni znów, że król pruski układa się z Napoleonem, jeszcze inni, że król z Berlina uciekł.

Po kilku godzinach takiego czekania pocztylioni oznajmili, że mają dość i wracają, bo im do Poznania śpieszno. Kto chce, może z nimi się zabrać.

Co usłyszawszy, zdesperowane Niemki też zawołały, że chcą do mężów. W ten sposób zamiast w Berlinie znalazły się znów w Poznaniu, a potem w Warszawie.

Marcinek mówi, że według tego, co słyszał od pocztylionów, w Poznaniu jest większy porządek i

nie ma takiego braku żywności. Za pruskie dydki można coś niecoś kupić. Ale polskie srebro poznaniacy też pochowali.

W Grudziądzu niepokój panuje. Prusacy łapią, kogo mogą, i zapędzają do sypania szańców dokoła miast. Rzemieślników powywlekali z mieszkań, a zakonników z klasztorów.

Wobanka i pani Tyszkiewiczowa odjechały dziś rano do Galicji.

Już drugi tydzień jemy bez przerwy na oleju, spoglądam więc w lusterko, czy mi się włosy nie zaczynają zwijać. Ziemniaki jemy bez okras, posypane prażonym siemieniem lnianym albo siekaną nacią pietruszki. Synowa Dzibuły skąpa jest i chowa słoninę na zimowe miesiące.

Kerner mówi, że do pałacu Pod Blachą przyszedł wczoraj starszy cechu szewców ze starszym cechu piekarzy. Zamknęli się z księciem Józefem, pili kawę i długo gwarzyli. Ale o czym, nikt nie wie, nawet lokaj, co kawę podawał.

Król pruski wyjechał z Berlina. Mówią, że jest w Gdańsku.

Marcinek chodzi do roboty z coraz większą chęcią. Każdy dyliżans, który teraz zajeżdża na dziedziniec, przywozi nowiny.

Forteca Spandawa poddała się Francuzom. Tego samego dnia Francuzi weszli do Berlina. Witali ich burmistrz, trzymając klucze miasta na aksamitnej poduszce i ze strachu nie mogąc słowa przemówić.

Pocztylioni mówią, że króla pruskiego w Gdańsku nie widziano, choć mógł się zaplatać między generałami, których tam kupą zjechała.

Francuzi zajęli fortecę i miasto Szczecin.

Czas teraz nadszedł, żeby zdać relację, co się działo z konikiem, przez którego musiałem się spowiadać u ojca kapucyna.

Ukrył go Kerner w folwarku pana Bacciarellego, gdzie miejsca w stajni było dość. O czym zawczasu zawiadomił pannę Czarnowską, a ta się wielce z tego radowała, gorliwą opieką koniowi przyrzekając. Staruszek pan Bacciarelli, malowaniem zajęty, nic nie wiedział.

Wczoraj Kerner rzekł do mnie, że już kończą się pruskie czasy, a zaczynają polskie i francuskie. Trzeba więc arabczyka pod Blachę sprowadzić i księciu sprezentować.

Słotno było, z nieba dżdża padała. Ponieważ dni są krótkie, wybrał się Kerner wcześniej do Ujazdowa i kiedy zapadł zmrok, wsiadł na konika i zajechał pod Blachę. Nikt go po drodze nie zatrzymał, boć w taką pogodę nawet wacha się kryje.

Dziś rano Kerner poszedł do księcia Józefa i zameldował, że w stajni pałacowej stoi konik jak malowanie, a niczyją nie jest własnością, bo zdobyczny.

Księżę zaraz do stajni zeszedł. Spojrzawszy na arabczyka, zawołał:

– To od Kwileckich!

Potem wypytał Knera, a dowiedziawszy się prawdy, zaczął kląć po węgiersku; zawsze tak klnie, kiedy się rozgniewa. Później poweselał i rzekł, iż zaraz napisze do pana Kwileckiego w Poznaniu z zapytaniem o tego konia, bo pragnie go kupić. Kernerowi zabronił wpuszczać ciekawych ludzi do stajni i słowa pisać zabronił.

Choć to listopad i zimno, siła Prusaków skąpało się w morzu koło miasta Lubeki. Zapędził ich tam jakiś francuski marszałek i tak przycisnął, że już

nie mieli gdzie iść, tylko prosto do wody. Wszyscy złożyli broń, a było ich dwadzieścia tysięcy.

Przewodził im oberst, który się Blücher nazywa.

Marcinek powiada, że Francuzi każdą wojnę muszą wygrać, bo mają najwięcej marszałków.

Nie wiem, czy pan Kwilecki zdąży odpisać księciu na list, bo pocztylioni mówią, że między Prusakami w Poznaniu popłoch jest. Urzędy się wynoszą, a wojsko siedzi wystraszone i tylko czeka, żeby czmychnąć.

Pan profesor Magier ma globus, prawie taki wielki jak karmelicka bania. Są na nim oznaczone różne królestwa, cesarstwa i księstwa, każde innym kolorem z pokazaniem gór, rzek, oceanów, miast i fortec.

Na tym globusie pan Magier obliczył, że Francuzi robią dziennie od sześciu do siedmiu mil, pędząc przed sobą Prusaków.

Nadziwić się pan Magier nie może pośpiechowi, z jakim Prusacy umykają.

Spotkałem na Marywilu żonę pana de Keralie. Była zatroskana i sprzedawała jedwabny szal kaszmirowy.

Patrzę, a tu już ją obstała zgraja łotrzyków, już się między sobą dogadali i nie chcą więcej dać, tylko czterdzieści gutengroszy.

*– Madame – rzekłem po francusku –
wystrzegajcie się tych pieniędzy, bo nic nie są
warte.*

*Łotrzykowie, choć moich słów nie rozumieli,
dalejże łajać. A ja na złość podbiłem im cenę. I nie
w dydkach, tylko w złotych polskich. Oni też
podbijają. Ja znów podnoszę. Takeśmy się, łajając,
targowali, aż kupiłem szal za osiem złotych i
groszy dwanaście.*

*Pani de Keralie odeszła kontenta; ja trochę
markotny, bom nie wiedział, co z tym szalem robić.
Zwinąłem go, wsunąłem za pazuchę i wróciłem pod
moją kolumnę.*

*Później, stojąc i patrząc dokoła, postrzegłem
panią de Keralie, jak kupowała jarzyny ze
straganu. Napęłniła koszyk marchwią, cebulą,
kapustą, ziemniakami i odeszła. Pomyślałem sobie,
że to za sprzedany szal. I dziwno mi było, bom
sobie wyobrażał, że pan de Keralie wciąż dobre ma
zarobki.*

*Przed samym południem przyszedł mały Francuz
z Powiśla, przydźwigał dla przekupek talerze i
miski. Zaczekałem, póki się z targiem nie upora,
skinąłem nań i pytam:*

– Znasz pana de Keralie?

– Znam, to nasz przyjaciel.

*– A wiesz, gdzie mieszka? To weź ten szal i
zanieś dla pani de Keralie. Powiedz, żeś go
znalazł.*

*Ostatni dyliżans pocztowy, który wrócił z
Poznania, zatrzymywano po drodze we Wrześni.
Tam nie ma już Prusaków, miastem rządzi polski
burmistrz. Przejrzano pocztę i zabrano listy
adresowane do władz pruskich w Warszawie.*

*Pocztylioni opowiadają, że widzieli porozbijane
tablice z pruskimi orłami. Na trakcie spotkali
zbrojnych mężów, którzy łączą się w oddziały
piesze i konne. Jest jeszcze w Poznaniu pruski
gubernator, ale i ten lada godzina pryśnie. Może
już prysnął.*

*Z Wrocławia przyjechał do Poznania pan Józef
Wybicki, powszechnym szacunkiem otoczony.
Mówią, że ma tam rządy sprawować po ustąpieniu
Prusaków.*

*O wojnie poznaniacy tyle tylko wiedzą, że jest
przez Napoleona wygrana. Czekają spokojnie na
przyjście legionistów Dąbrowskiego.*

*Jacyś ludzie, którzy potem zbiegli, pobili kijami
oficera pruskiego na Nowym Świecie.*

*Mówił mi Cnota, że ten oficer zwie się
Franciszek Karłowicz¹*

. Pobito go za zdradę narodu.

*Dowiedziałem się dziś, że nie ma już Prusaków
w Wielkopolsce. Cicho, bez żadnych zapowiedzi,
wynieśli się chyłkiem z Poznania i z innych miast,
gdzie rządy objęli Polacy.*

*Wedle tego, co poczytłioni mówią, lada dzień
przyjedzie tam generał Dąbrowski. Ochotników
będzie werbował.*

*Dużo piwa wypił Marcinek w bawarii Pod
Gwiazdą. Oczy mu błyszcząły jak dwie świecezki,
kiedy opowiadał o generale Dąbrowskim.*

– A co, Marcinku, chciałbyś się tam dostać?

– Jako żywo! A ty?

*Roześmiałem się na te słowa, podniosłem nogę i
pokazałem but świeżo podbity dubeltową skórą.*

– No chodź – rzekłem – pójdziemy na Marywil.

*Kupiłem mu tam pruskie buty wojskowe, mniej
dystyngwowane od warszawskich, ale mocne i do
długich marszów przydatne. Żeby starczyły do
Poznania.*

¹ Szkodliwy renegat. Rząd Księstwa Warszawskiego poszukiwał Karłowicza za pośrednictwem ogłoszeń w gazetach hamburskich.

ROZDZIAŁ XVI

Ostatni dzień rządów pruskich w Warszawie. – Zamknięto ulicę Bednarską. – Nagły popłoch. – Zecerzy składają manifest. – Straż obywatelska wychodzi na miasto. – Filipek i Marcinek zasnęli ze zmęczenia. – Budzi ich dzwon Św. Anny. – Gore, na pomoc! – Dramatyczne spotkanie. – Noc pod figurą Matki Boskiej Pasawskiej. – Księżę Józef śpieszy do płonącego mostu. – Francuzi na rogatce wolskiej. – Radość w Warszawie. – Desperacki postępek pana de Keralie. – Rozklejony manifest. – Cnota żegna przyjaciół. – Ostatni rzut oka spod kolumny. – List do dobrodzieja. – Przypisek zrobiony czyjąś ręką. – Koniec tej książki.

Poddała się Francuzom największa forteca pruska – Magdeburg.

Generał francuski, który ją oblegał, nie miał nawet porządnej artylerii, jeno pukawki polowe. Zaczął strzelać i to wystarczyło.

Komendant Magdeburga, rozmawiając potem z generałem francuskim, wstydził się swojego pośpiechu i rzekł na usprawiedliwienie:

– Kobiety z dziećmi mnie obstały i o poddanie miasta błagały. Nie mogłem znieść widoku ich też.

Dziś rano odjechały ostatnie dyliżanse pocztowe, wszystkie do Królewca, bo indziej nie ma gdzie już jechać. Patrzyliśmy z Marcinkiem, jak jadą przez most, a potem prawym brzegiem Wisły, na Ostrołękę i Olsztyn.

Pocztamt jest już pusty. W stajni jeden tylko koń został, bo kuleje. W izbie, gdzie Marcinek listy przyjmował i ważył, wisi jeszcze konterfekt króla pruskiego. Z ulicy widać go przez okno. Wejście zamknięte na kłódkę.

Marcinek, który mnie już teraz nie odstępuje, mówi, że Francuzów wczoraj w Sochaczewie widziano. Lada chwila mogą się zjawić w Warszawie.

Na mieście tłoczno. Ludzie stoją po kilku i coś radzą. Pokazało się dużo panien poprzybieranych we wstążki trójkolorowe, niebiesko-biało-czerwone.

– Spójrz – mówi Marcinek – Prusaków chodzących samopas już nie ma. Zawsze ci powtarzałem, że to jest bojaźliwe plemię.

Na straganach nie znać żadnego handlu, bo i towarów brak, i przekupkom już nie to w głowie; zebrali się, rajcują.

Marcinek opowiada, że jedną z ostatnich karetek odjechał do Królewca pan Amadeusz Hoffmann z

rodziną. Odprowadzali go: pan Elsner, pan Bogusławski, pan Dmuszewski, pan Żółkowski i kilku innych panów. Polką będąc, pani Hoffmannowa przy pożegnaniu gorzko płakała.

Muszę się śpieszyć i coraz szybciej pisać, bo czasu brak, a mam dużo rzeczy do zapisania.

Dla ludności zamknięto ulicę Bednarską. Na Krakowskim Przedmieściu wartownicy stoją i nikogo do mostu nie chcą przepuszczać. Mieszkańców ulicy Bednarskiej trzymają od kilku godzin za zamkniętymi drzwiami. Tyle, że im z okien wolno wyglądać.

Ludzie mówią, że most jest po bokach chrustem obłożony, saperzy chrust polewają smołą, żeby się łatwiej palił. Wystarczy przytknąć łuczywo i most przepadł.

Marcinek ciągle się mnie trzyma, nie odstępuje. Choć nic o tym nie mówi, wiem, że jestem jego największą nadzieją.

Jakiś popłoch ogarnął Prusaków. Ulica Bednarska aż dudni od kół

. Uciekają wozy taborowe, skrzyniaste i płótnem kryte, woźnice siekają się batami i kłócą o pierwszeństwo, byle prędzej przedostać się za Wisłę.

Staliśmy tak z Marcinkiem w zachwyceniu, patrząc na to wszystko, kiedy nadjechała artyleria z Cekhauzu. Żołnierz hardy, bo jeszcze w żadnej bitwie nie był i lania nie dostał. W ulicy Bednarskiej robi się ścisk. Artylerzyści żądają, żeby im furgony ustępowały z drogi. Klną i grożą.

Nasi ludzie, co na to patrzyli, zaczynają się śmiać. W oknie Dziekanki zasiadł jakiś muzykus i gra na waldhornie pobudkę Armii Renu.

– Marcinku – mówię – jak chcesz ze mną iść, to chodź. Idę na Miodową do pijarskiej drukarni. Może się tam od dobrodzieja czego dowiem.

Poszliśmy. Zmierzch już nastał, a wieczór był chłodny. Aż dziw, że na ulicach nie widać pruskich mundurów.

– W koszarach siedzą – rozumuje Marcinek. – Wystali przodkiem furgony i armaty, bo najcięższe, a infanterię rychtują do ucieczki.

W drukarni dobrodzieja nie było. Zabrał go pan Sołtyk zaraz po obiedzie. Gdzieś poszli.

Pomyślałem sobie, że warto by dobrodziejowi stancję pouprzątać i zamieść, ale że ciemno było, odłożyłem wszystko do jutra.

¹ W dniu tym, 27 listopada 1806 roku, na rogatce wolskiej ukazał się podjazd francuski, co wywołało zamęt zamęt w garnizonie pruskim. Francuzi weszli do Warszawy dopiero nazajutrz o godzinie szóstej wieczór.

Kiedym przechodził przez drukarnię, trochę mnie zdziwiło, że choć to noc, zecerzy przy kasztach stoją, świeczkami sobie przyświecając. Pytam ich, co robią.

Odpowiedzieli, że składają manifest księcia Józefa do obywateli miasta Warszawy.

Dowiedziałem się nadto, że pruski generał Koehler do księcia się zwracał o zwołanie straży obywatelskiej. Prusacy przyrzekli księciu, że gwałtów nad ludnością czynić nie będą, byle i ich pozostawiono w spokoju. Księżę omówił to wszystko ze starszymi cechów, stanęła ugoda z generałem Koehlerem i lada godzina straż ma wystąpić na ulice.

I jeszcze się dowiedział od zecerów, że księżę Józef był przed godziną w drukarni, błędy poprawiał i gorąco zalecał, żeby na rano odezwa była gotowa. Dlatego spać nikt nie poszedł. Z pałacu przysłano butek pszennych, pieczonej wołowiny i białego wina.

Wedle tego, co mówił księżę w drukarni, ostatni żołnierz pruski jeszcze tej nocy powinien z Warszawy się wynieść. Chodzi o to, że oprócz regularnego żołnierza w koszarach jest trochę ciurów i rekrutów. Chłopy zdrowe, ale karności nie ma wśród nich. Żeby więc zapobiec gwałtom i bijatykom, księżę Józef zwołał straż i sam na jej czele stanął.

Noc ciemna, chłodno. Przykazań pruskich nikt nie słucha; na ulicach gwar, ludzie przeważnie bez latarek. W kafehauzach jasno jak nigdy, a w Suchym Lesie najjaśniej, dokąd z Marcinkiem zaglądamy.

Dużo tam gości, rej wiodą aktorowie; kucharczyk poncz dolewa, bo szklanki szybko puściją. Patrzę, a nad szynkwasem, gdzie dawniej wisiał w ramce regulament pruski, teraz jest tylko czworokątna plama.

– Kończy się pruskie panowanie – mówi Marcinek.

Idziemy dalej, Miodową, i przez dziedziniec wchodzimy od tyłu do piwiarni Pod Gwiazdą, gdzie zastajemy kupę czeladzi rzemieślniczej, a każdy uzbrojony w co się da, są nawet alabardy. Cechy czekają na znak, żeby wyjść na ulice. Tym znakiem będzie, jak u Świętej Anny w dzwon uderzą.

Nie siadając nawet, bo miejsc wolnych nie ma, pijemy z Marcinkiem po pół kwarty i wychodzimy na Krakowskie Przedmieście. Tam spotykamy latarników, którzy prowadzą dużo pań i panów rozmawiających po francusku. Wyszli właśnie z teatru od pana Fourèze'a, a tknęci ciekawością, woleli wracać pieszo.

Zatrzymujemy się przed pocztamtem, bo Marcinek chciał strącić pruskiego gawrona, co nad wejściem wisiał. Podsadziłem Marcinka, nie

może dosięgnąć. Staje mi na ramionach, szuka, rękami maca po ścianie.

– Za późno – woła – ktoś go już strącił.

Zawracamy i małą uliczką na tyłach domu Wasilewskiego idziemy do Bednarskiej. Ciemno, posuwamy się między ścianami po omacku.

Dalej robi się jasno. Z obu stron wylotu Bednarskiej płoną smolne tuczywa. Piechurzy pruscy, z bagnietami na fuzjach, przegradzają drogę.

Nasi ludzie gapią się na to wszystko. Pytam tych i owych, odpowiadają mi, że przed chwilą przejechały tędy wozy czterokonne ze sprzętami z pałacu Brühlowskiego, Kamery Pruskiej i z innych urzędów. Publika czeka cierpliwie, bo chce zobaczyć uciekające z Warszawy wojsko pruskie.

Nadziwić się nie mogę i mówię do Marcinka, że przed kilku dniami człek nie śmiał wyjść z domu po zapadnięciu zmroku, a teraz wszyscy chodzą, jak chcą, żarty stroją i nawołują się z imienia.

Staliśmy tak dość długo, na odmarsz potęgi pruskiej czekając. Potem deszcz zaczął nas siec, wietrzno było, więcemy poszli do Krakowskiej Bramy i siedli we wnęce muru. Marcinek trząśł się trochę, zębami dzwonił; przemarzał nieborak.

– Poszedłbyś spać – mówię – bo zachorujesz i zamiast do wojska dostaniesz się do Dzieciątka Jezus. Tam cię doktory gładko na cmentarz przysposobią.

Słuchać nie chciał o spaniu w domu i ciągle powtarzał, że własnymi oczami musi widzieć ostatnich Prusaków, którzy z Warszawy uykają. Takż pierwszych Francuzów, którzy do miasta wchodzą. Uparty był.

Z jednego ramienia zdjąłem kożuszek i rzekłem:

– Wdziej na prawe ramię, chudy jesteś, zmieścimy się obaj.

Otuliłem Marcinka i siebie; ciepło było i sen nas rychło zmorzył. Ludzie chodzili przez bramę, gadali głośno, potracali nas, a myśmy spali i spali.

Obudził mnie Marcinek.

– Słyszysz?

– Tak.

– U Świętej Anny dzwonią.

Zaczął się skarżyć, że już nie zobaczy ostatniego Prusaka.

– Chodź – powiadam – może ich nad Wisłą dopędzimy.

Wstaliśmy, idziemy śpiesznie Krakowskim Przedmieściem. Po drodze spotykamy patrol straży obywatelskiej, a było ich czterech. Jeden miał flintę, dwaj mieli pałasze, czwarty latarnię trzymał.

Ktoś krzyknął przed nami, że piaskarze na pomoc wzywają, żeby most ratować. Ludzie zaczęli biec ku Wiśle, biegnę i ja z Marcinkiem.

*Ledwośmy skręcili w Bednarską, widzimy ogień.
Cwałujemy co tchu. Swąd i spalenizna. Przy
Powiślu dym pełza po ulicy. Słychać trzask
płonącego chrustu, słychać lament i nawoływania.*

*Koło mnie ktoś rzucił na ziemię wiadro blaszane,
zaklął i kopnął je butem. Potoczyło się po
kamieniach.*

*Spojrzałem w bok, a tam pod ścianą siedzi
niewiasta. Głowę ma opuszczoną, włosy zakryły jej
twarz. Obok stało kilka kobiet i nad czymś radzą.*

*Pytam ich, co się stało. Tłumaczą, że Prusak
pannę ranił. Jeden z tych, co podkładali ogień pod
most. Zaczęto z brzegu kamieniami w nich ciskać,
wtedy po fuzję sięgnął, strzelił i trafił w pierś tę
niebogę.*

*Odgarnąłem jej dukatowe włosy i zaraz ją
poznałem.*

*– Panienko – mówię – czy macie dość sił, żeby
wstać i dojść do Krakowskiego Przedmieścia? Bo
was tu dym zadusi.*

*Kiwnęła głową. I tak z Marcinkiem prowadziłem
ją pod górę, a ludzie biegli w dół i krzyczeli, żeby
most ratować.*

*– Panienko – powiadam do niej – przypomnijcie
sobie, jakem wam listy przynosił. Dawaliście mi
zawsze konfekt słodki, czekoladowy.*

*Znów kiwnęła głową i spojrzała mi w twarz, ale
mówić nie mogła.*

*Przywiedliśmy ją na Krakowskie i posadzili pod
figurą Matki Boskiej Pasawskiej. Tam było jasno,
bo na krzywym kabłąku wisiła latarnia. Rzekłem
do Marcinka, żeby nie ważył się odejść, póki nie
przyprawdzą pomocy.*

*Doktora Gagatkiewicza w domu nie było,
pobiegłem więc Lafontaine'a budzić. Ten choć
spał, nie był na mnie zły. I wysłuchawszy, jak to
Prusak do panny strzelił, zawołał tylko: „Szwynie!
Diabeł porwaj!”, ubrał się, złapał sakwę z nożami
i wraz ze mną wyszedł.*

*Niewiele miał doktorskiej roboty, bo kiedyśmy
stanęli pod figurą, panna już nie żyła. Powiedział
mi więc, żebym nieboszczki nie odstępował, on
tymczasem odszuka, kogo należy, i ludzi z noszami
przyśle.*

*Most gore, dymy sięgają Krakowskiego
Przedmieścia, od strony Wisły dolatuje gwar.*

*Marcinek trochę zapłakany, bo żał mu panny
było, poszedł się coś dowiedzieć. Może Francuzi
weszli już do miasta? Patrzyłem na jego wąskie
plecy, kiedy odchodził, i myślałem, czy taki mizerak
uniesie tornister.*

*Coraz jaśniej się robi w ulicy Bednarskiej, przez
którą łuna przepęłza i oświećla domy na
Krakowskim Przedmieściu. Wraz z łuną
przedostają się dymy i swąd pogorzeliśka. Dzwon u
Świętej Anny już zamilkł, a ludzie biegną i biegną
do płonącego mostu.*

*Głowę nieboszczki oparłem o cokół, ręce jej
złożyłem. Siegnąłem do ołtarzyka, wybrałem kilka
kwiatów. Matka Boska nie pożąda zieleń dla
niebogi.*

*Most gore, a ja siedzę przy zmarłej i myślę, co
też ją skłoniło, że tej nocy znalazła się nad Wisłą.
Kto wie, może miała nadzieję, że kogoś tam
spotka?*

*Marcinek przyniósł ciekawe nowiny. Na rogatce
wolskiej był podjazd. Francuzi posiadali z koni,
weszli do karczmy, napili się piwa, pogadali, z kim
się dogadać mogli, i odjechali.*

*Kiedy tak Marcinek opowiadał, coś mnie tknęło.
Nastawiam ucha i słyszę, że konie stąpają.
Oglądam się, jedzie książę Józef, a obok pan
Rautensztrauch.*

*Zatrzymali się o kilka kroków od nas, patrzą na
tunę, rozmawiają.*

*Ledwom zdążył kożuszek zdjąć i na nieboszczkę
zarzucić, żeby książę twarzy nie dojrzał. Niech
lepiej nie wie.*

*Dostrzegł jednak, że ktoś pod latarnią leży, bo
podjechał.*

– A co tam się stało?

– Prusak do niewiasty strzelił – powiadam.

– Żyje?

– Nie, zabita.

*Książę uchylił barankowej czapki i nic już nie
rzekł. Pokłusowali obaj do płonącego mostu.*

*Czekam i czekam, ludzie z noszami nie
przychodzą. Marcinek mówi:*

– Zaczekał książę Józef dosiadł konika.

*Te słowa mnie ucieszyły, bom nie wiedział, że
Marcinek się zna na końskiej urodzie.*

*– Szkoda – powiadam – żeś go za dnia nie
widział.*

*Podszedł do nas ront straży obywatelskiej i o
przypadku z nieboszczką musiałem relacją zdawać.*

*Jasno już było, kiedy przybyli pachotkowie z
noszami i chirurg miejski, który mnie wypytał.
Potem zabrali ją i ponieśli.*

*Radość w mieście i wesele. Wiatr porusza
haftowanymi orłami. Na Krakowskim Przedmieściu
rojno jak nigdy. Z pocztamtu wywleczono
konterfekt króla pruskiego i potrzaskano na drobny
mak. Coraz więcej widzi się panien
poprzybieranych w trójbarwne wstęgi. Ludzie
biegną na kopułę luterskiego kościoła, skąd widać
błonia wolskie.*

Mówię do Marcinka:

*– Trzeba pożegnać Dzibulę, dobry jest człowiek i
może go już więcej nie zobaczę.*

Poszliśmy razem. Na mieście coraz większy gwar i uciecha.

Pan de Keralie strzelił sobie w łeb z pistoletu.

Kerner, któregośmy spotkali, blady był i od niespania czerwone miał powieki. Mówił, że książkę Józef przez cały wieczór i część nocy z arabczyka nie zsiadał. Po mieście jeździł, posterunków straży obywatelskiej doglądając. Był też w Ujazdowie i wstępował do dworku pana Bacciarellego, ale panny nie zastał.

Podziwialiśmy na Rynku muzykusa z gitarą, który śpiewał mazurka Dąbrowskiego. Ludzie stali wokół i uczyli się słów. Do kapelusza rzucali mu miedziaki. Ja też rzuciłem, za siebie i za Marcinka, ale słów nie miałem czasu się uczyć, bo mi śpieszno było.

Marcinek wyrywa się w drogę, żeby prędzej do legionów dotrzeć. I znów pyta, czy go nie porzucę. Odpowiedziałem mu tak:

– Mój Marcinku, jużem ci mówił, że się razem będziemy trzymali. A jak zajdzie potrzeba, to i za świadka stanę, żeś jest chłopak do rzeczy, choć z aspektu ciastuch i mizeria.

Przed Krakowską Bramą narodu mrowie. Pośrodku stoi Cnota-Nowicki, macza szczotkę w wiaderku z klajstrem i nalepia anons. Lewą ręką to wszystko robi, a prawą tylko papier wygładza.

– Cnota! – wołam.

Obejrzał się i znaki mi daje, że zaraz skończy. Nakleił, a był to manifest księcia Józefa do mieszkańców Warszawy.

– No cóż – powiada – buty macie mocne. Nie trudno zgadnąć, co zamierzacie dalej czynić.

Poprawił zwitek anonsów pod pachą i rzekł, odchodząc:

– Bywajcie zdrowi. Taki jak ja musi zostać.

Przystanęliśmy z Marcinkiem pod kolumną. Spoglądam na kramiki, na kamienne lwy przy Krakowskiej Bramie, na zielony dach pałacu Pod Blachą.

Patrzę i żegnam to wszystko, żegnam starą kolumnę, która mi szczęście przynosiła.

Ludzi coraz więcej. Czytają manifest księcia Józefa...

W tym miejscu pamiętnik się urywa. Dalej jest jeszcze list, który przytaczamy z zachowaniem pisowni:

Dobrodzieiu moy, przyszedłem ostatni raz kwaterę wam zamieść, pożegnać was y błogosławieństwa prosić; bo choć wam o tem nie mówiłem, aleście się pewnie domyślali, że inaczej nie może się stać.

Odnoszę wam gramatykę, którą od was do Nauki miałem, odnoszę też te zapiski, żebyście ie razem z poprzedniami zachować raczyli. Na stole kładę Śkiełko dziwnie ślifowane do zapalania Tabaki; to dla was, dobrodzieiu moy, żebyście sobie palców nie kaleczyli krzesiwkiem. A iak nadymicie, nie zapominaycież okna uchylć.

Bywaycie zdrowi, dobrodzieiu, y oby stało się to, czegośmy sobie w skrytości życzyli.

*Nieco niżej ktoś postawił krzyżyk i dopisał:
Berezya A.D. 1812*

KONIEC

* * *

ZAMIAST POSŁOWIA

To miejsce przeznaczylismy na „posłowie”, do napisania którego Przemek przygotowywał się już dawno.

Oczywiście mówię o Przemku Cieślaku, twórcy tej witryny oraz wydawcy dwu książek Władysława Zambrzyckiego: „Kwaterna Bożych Pomyleńców” i „W Oficynie Elerta”. Przygotowywał do wydania „Pamiętnik Filipka”. Sugerował, że posłowie do tej książki powinno być inne, lepsze, z uśmiechem – jak mawiał bardziej zbliżone do tego szczególnego humoru w pisarstwie autora „Filipka”.

Nigdy nie był zadowolony z tego co napisał, jakże często „wylatywały” z komputera kolejne warianty posłowia.

Przemek miał niebywałą umiejętność czytania i rozumienia „wszystkich warstw” utworów Zambrzyckiego.

Myślę, że o tym wszystkim chciał powiedzieć w posłowiu, ale życie nie dało Mu tej szansy.

